

JONATHAN AYCLIFFE

Tajemnica posępnego domu
w horrorze autora *Pokoju Naomi*



SZEPTY W CIEMNOŚCI

JONATHAN AYCLIFFE

SZEPTY W CIEMNOŚCI

**Przekład
DANUTA GÓRSKA**



Korekta
Elżbieta Steglańska
Anna Tenerowicz

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Foniok

Ilustracja na okładce
Max Bertolini via Thomas Schlück Agency

Skład
Wydawnictwo Amber
Jacek Grzechulski

Druk
Opolgraf SA, Opole

Tytuł oryginału: Whispers in the Dark

Copyright © by Denis MacEoin/Daniel Easterman 1992
All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2009 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-3427-4

Warszawa 2009.

Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
00-060 Warszawa,
ul. Królewska 27
tel. 620 40 13,620 8162
www.wydawnictwoamber.pl

*Dla Beth,
która zawsze mnie nawiedzała
i zawsze będzie mnie nawiedzać*

I posiadają na wieki.
Księga Wyjścia 32,13.

Kolegium św. Botulfa
Elvet Place
Uniwersytet Durham
Durham
4 września 1991

Wiel. Norman Savage
Plebania
Kirkharle, obok Kirkwhelpington
Northumberland

Drogi Normanie,

zgodnie z obietnicą wysyłam ci dokumenty, na których tak ci zależało. Żałuję, że w ogóle o nich wspomniałem. Potraktuj je, jak chcesz, ale nie miej do mnie pretensji, jeśli będziesz po nich źle sypiał. Chyba dobrze robię, oddając je w twoje ręce: powinny cię szczególnie zainteresować jako pastora tej parafii. A może... może wy, duchowni, robicie coś specjalnego w takich przypadkach? Chciałbym w to wierzyć. Chciałbym się upewnić, że ona spoczywa w spokoju. Zrozumiesz. Kiedy przeczytasz jej dziennik do końca, zrozumiesz. Jeśli zdołasz doczytać do końca.

Chciałeś, żebym ci powiedział wszystko, co wiem o dzienniku, jak wszedłem w jego posiadanie i tak dalej. No cóż, niewiele mam do powiedzenia. Będę z tobą szczerzy, Normanie. Zanim dojdiesz do końca - jeśli w ogóle dojdiesz tak daleko - zaczniesz podejrzewać, że to jakiś wymyślny szwindel. Oczywiście znasz mnie i wiesz, że nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego. Przede wszystkim taka mistyfikacja nie leży w moim interesie. Dostatecznie krępujące jest to, że znalazłem dziennik.

Pomyślisz może: biedny Simpkins, połknął haczyk razem z przynętą. Powinien częściej bywać w świecie, odetchnąć prawdziwym powietrzem. Może i powinienem, ale zapewniam cię, że to nie żadna mistyfikacja. A jeśli nawet, to mistyfikacja tak piekielnie wiarygodna, tak dopracowana w każdym przekonującym szczególe, że oszust jest geniuszem. Oczywiście największy geniusz wykazał, ukrywając dziennik tak dobrze, że znaleziono go tylko na skutek nieprawdopodobnego przypadku.

Posłuchaj, powiem otwarcie: zależy mi, żebyś uwierzył w tę historię, żebyś ją potraktował z powagą i szacunkiem. Z tych stron bije prawda. Jeszcze ich nie czytałeś, jeszcze nie wiesz, o co mi chodzi, ale zrozumiesz, jeśli masz w sobie chociaż szczyptę współczucia. Albo bojaźni. Wiem, że ja uwierzyłem. Przeczytałem tylko kilka stron, zaledwie zacząłem, ale wiedziałem, wiedziałem na pewno, że ona pisała z głębi serca. Tak właśnie, z głębi serca: przeżywała każde napisane słowo, nie uprawiała ćwiczeń literackich. Jak mogło być inaczej w tych okolicznościach? Po tym, co widziała. I słyszała.

Sprawdziłem to, Normanie, na ile mogłem: nazwiska, daty, adresy, akta przytułku, spisy wyborców, rejestry cmentarne. Wszystko pasowało, Normanie. Nasza Charlotte miała dobrą pamięć i oko do szczegółów. Rzecz w tym, że wszystkie fakty się zgadzają. To prawdziwy dokument i ja przynajmniej wierzę, że ona widziała i słyszała wszystko, co opisała.

Znalazłem ten pamiętnik przed miesiącem wśród rzeczy ojca. Pamiętasz, jak zaraz po pogrzebie mówiłem ci, że zostały do uprzątnięcia śmiecie z całego życia? Moja matka, świeć Panie nad jej duszą, nigdy nie należała do porządników, a ojciec był jeszcze gorszy.

Większość papierów dotyczyła bezpośrednio jego praktyki, karty pacjentów i tego rodzaju rzeczy, archiwum pracowitego lekarza rodzinnego. Przekazałem je facetowi, który przejął praktykę, młodemu lekarzowi nazwiskiem Calvert. Nie wątpię, że do tej pory wyrzucił z połowę.

Niniejszy dokument znajdował się w teczce, którą ojciec trzymał w sejfie, razem z obligacjami i polisą ubezpieczeniową. Oczywiście była jego pacjentką; sprawdziłem to na miejscu w jego kartotece. Zgłosiła się do niego w październiku 1968 roku. Cierpiała na nawracającą depresję. Przepisał jej zwykłe leki, ale niewiele pomogły. Ojciec był staroświeckim lekarzem rodzinnym. Zamiast nafaszerować ją pigułkami albo odesłać do tak zwanego „specjalisty”, rozmawiał z nią. Sądząc po wpisach w jego notatkach, spędził z nią na rozmowach dużo czasu.

A potem, w 1970 roku, zaproponował jej, żeby dokładnie opisała, co ją trapi. Przypuszczam, że to go wytrąciło z równowagi. W następnym roku miał załamanie nerwowe.

No więc teraz oddaję to w twoje ręce, Normanie. Nie musisz niczego komentować, jeśli nie chcesz. Ale jak cię znam, skomentujesz.

Pozdrowienia
John

1.

CZERWIEC 1970

Kiedy byłam małą dziewczynką, powiedzieli mi, że Bóg jest dobry, że Bóg jest miłością. Szeptali mi to w zimowe noce, mówili, że Bóg kocha dzieci. Kazali nam śpiewać hymn. Śpiewaliśmy go w przytułku. Co rano, kiedy byłam mała, i dwa razy w niedzielę.

*Promyczku, co nie chce zgasnąć,
Kto sprawił, że świecisz jasno?
Kwiatuszku zwany stokrotką,
Kto sprawił, że pachniesz słodko?
To nasz Ojciec, Bóg na niebie,
On nas kocha, mnie i ciebie.*

To było sześćdziesiąt osiem lat temu. Całe życie. Teraz wiem lepiej, wiedziałam, odkąd skończyłam czternaście lat. Bóg nie jest dobry. Bóg nie jest nawet zły. Bóg jest po prostu obojętny. Pamiętam, jak modliłam się do Niego przez całą zimę, tamtą mroźną zimę, która trwała bez końca, ale On nigdy nie odpowiedział. Ani wtedy, ani później. Straciłam wiarę w Niego. Wiem, że On istnieje. Po prostu nie mogę na Nim polegać w żadnych ważnych sprawach.

Doktor Simpkins mówi, że powinnam przelać moją historię na papier. Mówi, że dobrze mi zrobi, kiedy wyrzucę z siebie to wszystko. Co on wie, co ktokolwiek może wiedzieć? Ale zrobię to, żeby spełnić jego życzenie. I przynajmniej znajdę sobie zajęcie wieczorami, skoro noce znowu się dłużą. Dłgie noce, kiedy leżę rozbudzona całymi godzinami

i nasłuchuję. Oddycham i słucham. Jak robiłam tyle lat temu. W innym życiu.

Czego nasłuchuję? No cóż, to musi poczekać, aż opowiem część swojej historii. Nawet doktor Simpkins nie wie, prawda, doktorze? Ale wkrótce się dowie; przeleję wszystko na papier zgodnie z jego zaleceniem. Początek wszystkiego. Koniec wszystkiego.

Przyszłam na świat w grudniu 1887 roku. To był rok Królewskiej Jubileuszowej Wystawy w Newcastle, na której mój ojciec miał stoisko. Rok huraganów, zamieci śnieżnych i przedłużonego strajku górników w Northumberland. Mój brat Arthur urodził się osiemnaście miesięcy później. Początkowo chorował i mało nie umarł. Matka też mało nie umarła przy porodzie i lekarz powiedział, że nie powinna mieć więcej dzieci. Rzecz dość niezwykła jak na tamte czasy; ludzie mieli duże rodziny (nierzadko sporą część progenitury na cmentarzu). Kiedy byłam małą, zastanawiałam się, dlaczego jesteśmy tylko we dwoje z Arthurem. Teraz to całkiem normalne, ale wtedy ludzie patrzyli dziwnie, kiedy mówiłaś, że jest was tylko dwoje. Litowali się nad nami, chociaż Arthur i ja wcale nie potrzebowaliśmy litości. Przynajmniej na początku, kiedy byliśmy mali.

Mój ojciec, Douglas Metcalf, był zamożnym człowiekiem, bystrym przedsiębiorcą, który zbił majątek na fabryce chemicznej Tyneside. Były to czasy wielkich zakładów alkalicznych wokół Haverton Hill. Ojciec założył własne zakłady sody amoniakalnej pomiędzy zakładami Tennant i Allhusen, cztery lata przed moim urodzeniem. Wykorzystał nowy proces Solvaya i po kilku latach zarobił dość pieniędzy, żeby kupić dom, w którym się urodziłam, Kenton Lodge. Mieszkaliśmy w Gosforth, wówczas niemal wiejskiej okolicy na północ od Newcastle, niezbyt daleko od miejsca, gdzie teraz mieszkam.

Co roku jeździliśmy do Bridlington na dwa tygodnie wakacji. Pamiętam tamte ciepłe wieczory. Orkiestra w szklanym pawilonie grała popularne melodie. Co noc muzyka dolatywała do mojego okna, a w oddali morskie fale uderzały o brzeg. Muzyka i szum fal kołysały mnie

do snu. Czasami budziłam się w środku nocy, kiedy orkiestra i publiczność już dawno poszli spać i tylko fale szumiały w ciszy, i wiedziałam, że morze rozciąga się bez końca, daleko w noc. I co roku, kiedy wracaliśmy do miasta, pozostawały we mnie nadmorskie odgłosy i zapachy. Towarzyszą mi teraz, bardzo słabe, ale wyraźne.

Pamiętam perkalową koszulę nocną z szydełkowym wykończeniem szyi i rękawów. I gazową lampę palącą się nad moim łóżkiem, płomień jak złota aureola. Ale w naszym domu jako jednym z pierwszych zainstalowano elektryczność. Niewiele osób teraz pamięta, że pierwsze na świecie elektryczne oświetlenie zapalono tutaj, w Newcastle. Stało się to dokładnie dziewięć lat przed moim urodzeniem, co do dnia. Joseph Swan zademonstrował prototyp swojej słynnej lampy na zebraniu Towarzystwa Chemicznego Newcastle. Mój ojciec zasiadał wśród publiczności, w tamtym roku należał nawet do komitetu.

I pamiętam ogień na kominku w dziecięcej sypialni, zmieniający się w popiół podczas długiej zimowej nocy. I jabłoń, która rosła tuż pod oknem dziennego pokoju dzieciennego, gdzie Arthur i ja bawiliśmy się pod opieką Hannah, naszej niani. Kiedy byłam starsza, Hannah zabierała mnie na spacer codziennie po południu, z Arthurem w wózku, a później oboje dreptaliśmy obok niej, jedno z jednej, drugie z drugiej strony. Czasami pozwalano nam kupować słodczyce w sklepie na High Street, prowadzonym przez panią Clutch. Szepty Kupida i dropsy Tomcia Palucha, hiszpańskie wstążki, lukrowe pałeczki, cukrowe ciasto i ciągutki toffi nazywane wigga wagga.

Wspomnienia nigdy mnie nie opuszczają, nigdy nawet nie blakną. Dlaczego tak jest, skoro tyle innych rzeczy odeszło, tyle cennych części przeszłości, które zapomniałam, chociaż myślałam, że nigdy ich nie zapomnę? On codziennie pojawia się w moich myślach. Arthur. Arthur i inni, nawet teraz stale obecni. Zestarzałam się, zanim się spostrzegłam. W tym roku skończę osiemdziesiąt trzy lata; umysł mam całkiem jasny, ale ciało stało się ciężarem. Przez sześćdziesiąt dziewięć lat żyję w strachu, poznałam codzienny, dręczący, bezrozumny strach.

Czego naprawdę się boję? Wspomnień? Twarzy, które wciąż widzę? Głosów, które przychodzą do mnie wczesnym rankiem i szepeczą tak, jak szeptały przez te wszystkie lata?

Stwierdzenie, że tyle się zmieniło od tamtych czasów, że świat stał się inny, jest banalne, niemniej jednak prawdziwe. Świat się zmienia, ale my wciąż trwamy, z nietkniętymi wspomnieniami, wciąż myślimy, że nic się właściwie nie zmieniło, że pozostaliśmy tymi samymi ludźmi. Czasami budzę się rano, głupia starucha, i spodziewam się, że zobaczę moją matkę stojącą nad łóżkiem, pilnującą mnie jak dawniej, może uśmiechającą się do mnie. Albo Hannah, która nie żyje od ponad sześćdziesięciu lat.

Albo nawet Arthura. Arthura, jakim go najpierw zapamiętałam, małego chłopczyka, który przychodził do mojego jasno oświetlonego pokoju, żeby mi opowiadać swoje sny. Takie sny! Nie pamiętam już żadnego, ale wciąż widzę twarz mojego brata, na której maluje się strach, niepewność pozostała po nocy, jak niewyraźna blizna.

Był takim słodkim dzieckiem. W dzisiejszych czasach to prawie zniewaga. Moje córki nie rozumieją, dlaczego tak się martwię o wnuki. Ale one zachowują się tak gwałtownie i oglądają tyle przemocy w telewizji. Och, wiem, że to niemodne mówić takie rzeczy, ale kiedy one krzyczą i wrzeszczą, nawet przeklinają, trudno mi uwierzyć, że to tylko dzieci. Arthur był łagodny. Troszczył się o rzeczy. I o ludzi.

I był taki śliczny. To nie znaczy, że był jakimś pieszczoszkiem z loczkami, chłopczykiem z pudełka czekoladek, w aksamitnym garniturku, z kółkiem do serso w ręku. Arthur nie miał w sobie cienia kokieterii; mój ojciec nie zniósłby tego. Żadne z nas nie było rozpieszczone ani zepsute. Ale łagodność Arthura, liczenie się z cudzymi uczuciami, to była wrodzona cecha, jakiej nie mogły mu wpoić żadne niańki czy nauczyciele, i dlatego wszyscy go kochali. Czasami, jako mała dziewczynka, bywałam zazdrosna o Arthura, nad którym wszyscy się rozplýwali w ten dość afektowany sposób, typowy dla tamtych czasów.

Ale moja zazdrość nigdy nie trwała długo, ponieważ kochałam Arthura jak wszyscy i życzyłam mu jak najlepiej.

Oczywiście teraz on już nie żyje, od bardzo dawna. Ale czasami mówię sobie w sekrecie, że to nieprawda, że Arthur wciąż żyje, że jest tutaj, w tym domu, patrzy na mnie. Przygląda mi się cichutko, jak dawniej mi się przyglądał, zanim się obudziłam. Czasami myślę, że mogę z nim rozmawiać, wystarczy odwrócić głowę i powiedzieć: „Cześć, Arthur”, a on odpowie jak dawniej, tyle lat temu: „Cześć, Charlotte. Dużo czasu minęło”.

Mieszkam teraz w innej części Newcastle, w Jesmond, wśród obcych, mężczyzn i kobiet, którzy mijają mnie na ulicy i kiwają głowami, ale nigdy nie mówią „Dzień dobry”. Kiedy byłam młoda, mężczyzna uchylał kapelusza i kłaniał się, gdy spotykał znajomą; no, dżentelmen zachowywał się tak w stosunku do damy, kiedy się mijali. Ale nie teraz. To kolejna rzecz, która się zmieniła. Jednak nie powinnam narzekać. Młody człowiek w urzędzie pocztowym na Clayton Road zawsze traktuje mnie bardzo życzliwie.

Jesmond było dawniej lepszą częścią miasta, tak zwaną „elegancką” dzielnicą. Tutaj mieszkali ludzie dobrze sytuowani, Żydzi i biznesmeni, prawnicy, bankierzy, ludzie z wyższej klasy. Mieszkało tu wielu przyjaciół moich rodziców. Pamiętam mnóstwo dużych domów, wspaniałych domów dwu- i trzypiętrowych, z pięknymi ogrodami od frontu, za ogrodzeniami z kutego żelaza. Chociaż żaden nie mógł się równać z Kenton Lodge. Oczywiście większość ogrodzeń przetopiono podczas ostatniej wojny i nigdy nie odbudowano.

Teraz wszystko się zmieniło. Ludzie mają niniejsze rodziny i już nie potrzebują takich dużych domów. Większość sprzedano i podzielono na mieszkania, ale kilka pozostało. Ciągle mieszkam w tym domu naprzeciwko parku. John i ja kupiliśmy go po ślubie. Umarł tu, w tym pokoju.

Niewiele mam tutaj spokoju i niewiele cierpienia. Żyję z dnia na dzień, nie spodziewam się niczego. John zostawił mnie dobrze zaopatrzoną; mam własne pieniądze, sporo pieniędzy, nie lękam się ubóstwa.

Czego mogę pragnąć w moim wieku? Żyję tylko po to, żeby pamiętać. To najtrudniejsze. Nie sama pamięć. Łatwo jest pamiętać, ale trudno znieść bolesne wspomnienia, uczucia z nimi związane.

Owdowiałam dwadzieścia trzy lata temu. Tak długo jestem sama. Ale nie samotność mnie przeraża ani znużenie, ani brak nadziei. Śmierć wkrótce położy temu kres. Nie samotność mnie przeraża, tylko zapach wspomnień, ich smak, brzmienie i dotyk, i świadomość, że nikomu nie mogę się zwierzyć. Stary Simpkins coś podejrzewa. Wspominałam przy nim o pewnych rzeczach. Dlatego zaproponował tę terapię. Może na coś się przyda.

2.

Wszystko zaczęło się od skręconej kostki. Przynajmniej dawniej tak myślałam, szukając przyczyny. Kiedy moja matka miała siedemnaście lat, pośliznęła się na splekanym bruku elżbietańskich murów w Berwick-upon-Tweed i skręciła nogę w kostce. Pojechała tam z całą rodziną - matka, ojciec, dwie siostry, ciotka i wuj, i troje kuzynów - na doroczne wakacje nad morzem. Nie odniosła poważnych obrażeń, ale nie mogła chodzić przez dobry tydzień. Zastanawiano się nad powrotem do domu, ale dopiero co przyjechali, pogoda była wspaniała i matka nalegała, żeby zostali. Leżała w swoim pokoju w hotelu Pod Koroną, otoczona wygodami i hojnie zaopatrzona w romansowe powieści, a krewni odwiedzali ją od czasu do czasu w przerwach pomiędzy wakacyjnymi rozrywkami.

Te rozrywki obejmowały z dawna planowaną wycieczkę łodzią na Lindisfarne, inaczej Świętą Wyspę, niedaleko od brzegu, kilka mil na południe od Berwick. Był to bodajże trzeci dzień inwalidztwa mojej matki, która miała już dosyć siedzenia w pokoju i przeniosła się na

antyczny szezlong w bawialni na dole. Coraz bardziej doskwierało jej zamknięcie w czterech ścianach, znudziły jej się uwodzicielskie spojżenia i nikczemne zdrady bohaterów powieści. O mało nie zaczęła nalegać, żeby ją zabrali ze sobą na wycieczkę, ale to nie wchodziło w grę. Musiałaby schodzić i wchodzić po stromych stopniach, żeby wsiąść i wysiąść z łodzi, nie mówiąc o energicznym marszu, kiedy już dopłyną na miejsce. Matka niechętnie zgodziła się zostać.

Po lunchu przeniesiono ją do ogrodu, żeby skorzystała z morskiego powietrza, chociaż trzymała się w cieniu, ponieważ w tamtych czasach (i moich również) uważano, że opalenizna nie przystoi damie. Jednakże w miarę jak mijało popołudnie, w jej altance robiło się coraz zimniej. Słońce prażące przez cały poranek skryło się za ławicą chmur, które późnym popołudniem przesłoniły grubą warstwą całe niebo. Morska bryza, tak rozkoszna na początku, kiedy matka zeszła do ogrodu, teraz zrobiła się nieprzyjemna i dokuczliwa. W końcu matka wróciła do bawialni i ponuro obserwowała pogarszającą się pogodę przez okno, które wkrótce zalały strumienie deszczu.

Ulewa szybko przeszła w prawdziwy sztorm, jak to się zdarza w tych okolicach. W porze podwieczorku zapadła ciemność, na wiele godzin przed zachodem słońca. Matka zaczęła się martwić, że jej rodzina będzie zmuszona spędzić noc na Lindisfarne. Kierownik hotelu uspokoił ją, że na wyspie jest wygodna gospoda, gdzie mogą przenoćować w razie konieczności. Matka próbowała się odprężyć, przekonana, że nie zrobią takiego głupstwa, żeby płynąć z powrotem przy złej pogodzie.

I nie popłynęli. Ponieważ przewoźnik, widząc nadciągający sztorm, przezornie postanowił zostać na wyspie. Nikt nie wiedział dokładnie, co się później stało. Podobno wybuchła kłótnia i mój dziadek, człowiek porywczy, zamienił parę przykrych słów z przewoźnikiem, co na niewiele się zdało. Nawet nie zbliżyli się do gospody. Widocznie któreś z nich zaproponowało, żeby wrócić na stały ląd piechotą. Jak wiadomo, Świętą Wyspę łączy z wybrzeżem grobla długości około pięciu kilometrów. Ciągłe się zdarza, że ludzie źle wyliczają czas, więc na nowej

grobli są „schroniska” dla pechowych kierowców zatrzymanych przez przyływ, wtedy jednak ich nie było. Rodzina wyruszyła starym szlakiem pielgrzymek po dnie morza, pozornie bezpiecznym podczas odpływu, ale zdradliwym dla osób nieobznajomionych z kapryсами pogody.

Nikt nie wiedział, jak daleko doszli. Może zaledwie kilka metrów dzieliło ich od brzegu, kiedy przyływ, który nadszedł wcześniej z powodu sztormu, zmył ich do morza.

Łódź wróciła następnego ranka i podniesiono alarm. Poszukiwania przy brzegu nic nie dały i nikt nie miał wątpliwości co do losu zaginionych. Przed wieczorem pierwszego dnia wiadomo było, że wszyscy utonęli. Pierwsze ciała znaleziono następnego popołudnia, wyrzucone na Fenham Flats, nieco na południe od grobli.

Pozostała jeszcze jedna ciotka, stara panna imieniem Harriet, zamieszkała w Tynemouth, gdzie w lecie prowadziła pensjonat. Moja matka, pogrążona w rozpacz, pojechała do niej i mieszkała tam, dopóki nie wyszła za mojego ojca, trzy lata później. Nadal pamiętam Harriet, niemądrą, dobroduszną kobiecinę w wysokim czepku obszytym koronką z Nottingham, starającą się wszystkich zadowolić, częstego gościa w naszym domu, dopóki nie zmarła, kiedy miałam osiem lat.

Moja matka miała innych dalekich krewnych, którzy już dawno powyjeżdżali do Australii, Kanady albo Afryki Południowej. Zawiadomiono ich o wypadku, zgodnie z formalnymi wymogami tamtych czasów, i kilku odpowiedziało z obowiązku, równie formalnymi listami, napisanymi w pośpiechu pomiędzy stryżeniem owiec a obliczaniem rachunków. Matka opowiedziała mi o tym po latach, jakie okropne jej się wydawały te zdawkowe listy, jak nigdy nie mogła liczyć na więcej niż napuszone słowa i niezręczne zdania, jak zawsze brakowało „kontaktu”. A jednak ileż bólu dałoby się zaoszczędzić, gdyby któryś z tych wygnańców okazał nieco współczucia wtedy lub później.

Po śmierci dziadka moja matka stała się poniekąd dziedziczką. Z czasem jej uroda jeszcze bardziej podkreśliła powaby majątku, co zaoocowało tuzinem propozycji małżeńskich, zanim ukończyła

dziewiętnaście lat. Wszystkie odrzuciła stanowczo, kierując się radami Harriet i własnym rozsądkiem. Nigdy nie lubiła się bawić, nie chodziła na bale, rzadko chodziła do kościoła; ale plotki o jej piękności i pieniądzech szybko się rozeszły, toteż wielu się za nią uganiało. Lecz żaden jej nie schwytał.

Dopóki mój ojciec nie wkroczył na scenę. Jakże często opowiadała mi o ich pierwszym spotkaniu, i następnym, i następnym. Podbił jej serce; zawrócił jej w głowie. A kiedy się oświadczył, ani przez chwilę się nie wahała. Opowiedziała mi to wszystko później, kiedy byłam dość duża, żeby cokolwiek zrozumieć. Nawet wtedy, po latach, wciąż wypełniał jej myśli i nie mogła się powstrzymać, żeby nie opowiadać o nim każdemu, kto chciał słuchać, nawet mnie, jego córce, albo Arthurowi. Darzyła go niemal bluźnierczym uwielbieniem.

Oczywiście my też go uwielbialiśmy, Arthur i ja, ponieważ ojciec posiadał wszystkie zalety, jakie przypisywała mu matka, i podejrzewam, że znacznie więcej. W tamtych czasach ojcowie byli posępnymi, niedostępnymi osobnikami, którzy pozostawiali wychowanie dzieci żonom i niańkom. Ale nasz ojciec zawsze wyprzedzał swoje czasy. Spędzał z nami całe godziny, bawił się, czytał nam historyjki, wysłuchiwał naszych zmartwień.

Oczywiście ojciec był zajęтым człowiekiem, ale nie jak tyłu nowoczesnych biznesmenów, zawsze w biurze, romansujących z sekretarkami, goniących za pieniędzmi, jakby dopiero je wynaleziono. Nie, nasz ojciec pracował ciężko i prowadził bogate życie towarzyskie, ale spędzał z nami czas, kiedy tylko mógł, czyli często. Szczególnie niedziele były święte.

Jego wielką miłością, prawdziwą miłością były zebrania Towarzystwa Literackiego i Filozoficznego na Westgate Road. Raz na tydzień, od jesieni do lata, całował nas na pożegnanie i wychodził w wieczorowym ubraniu na wykład o najnowszymi naukowych odkryciach albo, na przykład, o dziełach Homera. Był wszystkożerny; dla wszystkiego znajdował zastosowanie w swoim otwartym umyśle. Uważałam, że jest

taki mądry, zwłaszcza przy dwóch okazjach, kiedy poproszono go o wygłoszenie wykładu. Mój własny ojciec i ci wszyscy ważni ludzie w muszkach i sztywnych białych koszulach, którzy go słuchali. Uważałam, że jest najmądrzejszy i najprzystojniejszy z nich wszystkich, młody bóg. Matka nawróciła mnie na to bałwochwalstwo. No cóż, wtedy był moim bogiem i od tamtej pory nie znalazłam innego.

Gdyby mnie usłyszeli w kościele, doktorze, jak by mnie ocenili pana zdaniem? Hę? Staruszka zarażona bluźnierstwem. Zgięta pod ciężarem bałwochwalstwa, oddająca cześć dawno zmarłym rodzicom, deifikująca brata, do którego wkrótce dołączy w zaświatach.

Pewnie pan też myśli, że to haniebne z mojej strony, bardzo niestosowne. Oczywiście nie znam pana myśli; pan nigdy nie mówi o sobie. Może pan nie uważa, że to haniebne, najwyżej niemądre i „wiktoriańskie” - tym uniwersalnym epitetem pańskie pokolenie zwykło odsyłać moje na śmietnik przesłodzonych sentymentów i hipokryzji.

To prawda, posiadaliśmy te wszystkie przywary. I gorsze, dużo gorsze. Nasza epoka obfitowała we właściwe sobie występki i modłę się, żeby to się nigdy nie powtórzyło. A jednak... A jednak byłam wtedy naprawdę szczęśliwa. Nie tylko w retrospekcji, w cieniu tego, co zdarzyło się później, ale naprawdę i szalenie szczęśliwa przez całe dzieciństwo. Niczego mi nie brakowało, byłam zdrowa, kochająca i kochana, lato zdawało się trwać bez końca, życie płynęło łagodnie do przodu i ja płynęłam razem z nim bez wysiłku, jak na morzu bez fal. I miałam Arthura.

I tak wspaniale się bawiliśmy. Nieważne, że Arthur był chłopcem, a ja dziewczynką w czasach, kiedy chłopcy i dziewczynki dorastali w oddzielnych światach. Nigdy nie rozstawaliśmy się na dłużej niż godzinę. Sypialiśmy w osobnych pokojach, ale rzadko zdarzały się noce, kiedy Arthur nie przekradał się do mojego pokoju na bajkę albo zabawę. Niejeden raz nas przyłapano i ukarano klapsami, ale trzymaliśmy się tego zwyczaju z uporem, który teraz mnie zdumiewa.

Widzę Arthura tak wyraźnie, doktorze. Boże, wybacz mi, jeśli widzenie zmarłych jest grzechem: jego oczy, jego dłonie, jego paznokcie. Leży w łóżku chory na żółtaczkę i ja mam pilnować, żeby nie wstawał; podpala kapelusz kucharki i dostaje za to lanie, i później przychodzi do mnie wcale nie zapłakany, ale uradowany, ponieważ to był wyjątkowo ohydny kapelusz i on go nie cierpiał; ssie cukierki w kościele z nabożnym, anielskim wyrazem twarzy; biegnie jak jelonek po brzegu morza, z pasmem wodorostów w rękę, które za nim powiewają; toczy pisanki ze wzgórze na wrzosowisku na Wielkanoc, jedną po drugiej, żeby się rozbiły na dole.

Najbardziej kochał święta Bożego Narodzenia. Co roku na Gwiazdkę padał śnieg, przynajmniej tak zapamiętałam. Arthur i ja byliśmy bardzo wierzący, jak wszystkie dzieci z naszej klasy społecznej i naszego wyznania, wszystko się nam mieszało w cudownym psychicznym galimatiasie: Dzieciątko Jezus, Trzej Królowie niosący dary, anielskie głosy, Święty Mikołaj i jego renifery, wróżka na czubku naszej choinki.

Teraz magia odeszła, nie tylko dlatego, że się zestarzałam. Boże Narodzenie straciło swój czar. Staram się wypełnić tę pustkę wspomnieniami, ale chyba nikt tego nie zauważa. Moje prawnuki żądają głośnych gier i telewizji, mnóstwa zabawek, a Świętego Mikołaja uważają za żart. Pamiętam, jak siadywaliśmy z Arthurem w oknie ojcowskiego gabinetu wychodzącym na ogród i patrzyliśmy, jak niebo jaśnieje tym dziwnym perłowym blaskiem, kiedy zaczyna padać śnieg. W każdym pokoju na kominku paliły się żywiczne szczapy, były zapalone świece i ostrokrzew, który sami zbieraliśmy, i wstążki, które sami zawiązyaliśmy, i choinka obwieszona świecalkami, które migotały w ciemności. Wszystko odeszło, przeminęło, zapakowane w kosze i kufrы ze wspomnieniami.

Nigdy pana nie okłamałam, doktorze, nie potrafię kłamać, nigdy świadomie nie mówię nieprawdy. Przyznaję, że kilka rzeczy przemilczałam, rzeczy, które wołałam zachować dla siebie; ale teraz nie ukrywam niczego. Nasze życie toczyło się szczęśliwie i spokojnie, właśnie tak. Nie omijały nas zmartwienia, moi rodzice wycierpieli swoje. Ale

ja o niczym nie wiedziałam i cieszę się z tego. Miałam szczęśliwe dzieciństwo, miałam najlepszego brata na świecie; nic mi tego nie odbierze, nic. Nawet to, czego najbardziej się boję.

Nie chodzi mi o śmierć, doktorze, proszę mnie źle nie zrozumieć. Myśli pan, że boję się umierania, ale pan się myli. Myśli pan, że lękam się nadejścia ciemności, ale to nieprawda. Znam większą ciemność. Znam rzeczy, które budzą większy strach. Zobacz pan, doktorze; pokażę panu, opowiem panu wszystko, sam się pan przekona.

3.

O co panu wczoraj chodziło, kiedy pan powiedział, że muszę „ograniczyć się do faktów”? Myślał pan, że pana nabieram, snuję opowieści o szczęśliwej rodzinie, ukrywam maltretowanie czy molestowanie seksualne? Nigdy panu się nie podobało, że potrafię się odgryźć, prawda? Że nie przypominam innych staruszek, z zadowoleniem wracających do domu, żeby łykać pigułki czy nakładać gumowe reformy na nietrzymanie moczu. Irytuje pana, że mam stopień naukowy, że pracowałam zawodowo, że potrafię mówić we własnym imieniu, prawda? Mam rację?

Wy, lekarze, wszyscy jesteście tacy sami, myślicie, że Bóg ulepił was z innej gliny. Najmniejszy przejaw niezależności pacjentów i zaraz się boicie, że stracie władzę albo już straciliście. No, w tym przypadku nie zamierzam pana pocieszać. Stracił pan władzę. Opowiem moją historię tak, jak mi się podoba, i proszę się więcej nie wtrącać. Jeśli zrzędzi pan już na tym etapie, Bóg jeden wie, co pan zacznie wyprawiać, kiedy przejdę do rzeczy. Więc od tej chwili zachowam te zapiski dla siebie. Zobacz pan całość, gdy skończę i dopiero wtedy o tym porozmawiamy.

Ale proszę mi wierzyć, że mówię prawdę. O wszystkim. Miałam

szczęśliwe dzieciństwo i tyle. Jeśli to się panu wydaje nienormalne, tym gorzej dla pana i dla profesji, która każe panu tak myśleć. Ale żeby panu sprawić przyjemność, wspomnę o jedynej chmurce, która wisiała nad nami. Wtedy wydawała się maleńka i niegroźna.

Początkowo nie bardzo do mnie docierało, że moja matka nie ma rodziny. Zanim skończyłam siedem czy osiem lat, wiedziałam już, co spotkało moich dziadków. A potem, kiedy miałam osiem lat, zmarła ciotka Harriet. Nigdy naprawdę nie przeboleła śmierci siostry, tych wszystkich śmierci, nigdy nie przestała śnić o wodzie. Miała udar, ale myślę, że utonęła we śnie, w wyobrażonym morzu.

Pamiętam późniejsze poczucie wielkiej izolacji, ponieważ ojciec też nie miał rodziny, a przynajmniej bardzo nieliczną. Myślę, że początkowo to go ciągnęło do matki, że wyczuwał podobieństwo. W jego życiu nie wydarzyła się żadna tragedia, żaden przyływ tak szybki i gwałtowny, ale coś się stało i wiedzieliśmy o tym nawet jako dzieci. Jego rodzice zmarli jakiś czas temu, matka na gruźlicę, ojciec dwa lata później na atak serca, rzadkość w tamtych czasach. Był jedynakiem, jeszcze za życia ojca założył własny interes i zdobył niezależność.

Mówiono - czasami podsłuchiwaliśmy, kiedy myśleli, że nie słuchamy - o ciotce, kuzynkach, dalekich krewnych, których nie znaliśmy. Zanim skończyłam dziesięć lat, wiedziałam, że doszło do jakiegoś rozdzwieku, zerwania stosunków dawno temu, za czasów mojego dziadka albo jeszcze wcześniej. Ojciec nigdy nie mówił otwarcie o tym rozłamie, tej separacji. O własnych rodzicach opowiadał często i bez oporów, starał się, żebyśmy ich chociaż trochę pokochali poprzez te opowieści i zdjęcia z jego albumu. A jeśli nie pokochali, to przynajmniej poznali, stworzyli sobie ich obraz, jakby patrząc jego oczami. On kochał ich mocno i ogromnie przeżył ich stratę.

Ale pewnego dnia - miałam chyba dziewięć lat - zadałam głupie pytanie. Pamiętam, że tamtego dnia byłam na przyjęciu urodzinowym, kosztarnej uroczystości z falbaniastymi sukienkami, różowymi kokardami i okrutnymi zabawami, które kończyły się łzami. Louisa, dziewczynka, na

której cześć wydano przyjęcie, przedstawiła mnie nie mniej niż sześcioro „kuzynkom” i wtedy pierwszy raz cierpiałam męki zazdrości.

- Czy ja mam jakieś kuzynki, tato?

Pamiętam to pytanie, jakbym je zadała przed chwilą. Ciszę, która nastąpiła, potem wybuch ojca, zupełnie dla mnie niezrozumiały. Zapamiętałam to jako jeden z rzadkich przypadków, kiedy ojciec stracił panowanie nad sobą. Przyszedł do mnie później, kiedy leżałam w łóżku, i przeprosił. Wspominałam już, że nie był typowym wiktoriańskim ojcem.

Powiedział, że nie rozgniewał się na mnie, tylko na okoliczności. Tak, przyznał, rzeczywiście miałam kuzynki, ale nigdy ich nie poznał. Dawno temu w rodzinie nastąpił rozłam - nie mówił dokładnie, kiedy - i nigdy nie odnowiono zerwanych kontaktów. To nie była jego wina ani wina kuzynów, ale żadna ze stron jakoś nie miała ochoty przerzucić mostu nad przepaścią. Przypuszczał, że następne pokolenie zapomni nawet o pierwotnej kłótni. Wówczas sam fakt pokrewieństwa popadnie w niepamięć i pozostanie tylko kwestią genealogiczną. To było moje pierwsze długie słowo, „genealogiczny”, i nigdy go nie zapomniałam.

Zapytałam go o pierwotną kłótnię, o której wspominał, on jednak tylko się uśmiechnął i powiedział, że to sprawa dla dorosłych, że powie mi później, jeśli zechcę, kiedy będę młodą damą, zdolną zrozumieć takie sprawy. Oczywiście nigdy mi nie powiedział. Ale z czasem sama się dowiedziałam.

I tyle mogę panu powiedzieć, doktorze. Bardzo niewiele kłótni, najwyżej dziecięce napady złości. Żadnych tajemnic oprócz tego małego znaku zapytania, dotyczącego moich kuzynek. Byliśmy szczęśliwą rodziną, dopóki...

Dopóki mój ojciec nie umarł. Miałam jedenaście lat, Arthur dziewięć i pół. Wciąż pamiętam... wciąż pamiętam, jak drzwi do pokoju dziecinnego się otwierają, matka każe Hannah wyjść i zamyka drzwi za sobą, z oczami tak pełnymi łez, że nic nie widzi. I okropna świadomość, że stało się coś złego, zanim jeszcze zaczęła mówić, świadomość, że od

tej chwili wszystko się zmieni.

Arthur był bardzo cichy przez cały wieczór. Spędziliśmy tę noc razem w moim łóżku, przy zapalonym świetle, i prawie nie spaliśmy. Wylażałam wszystkie łzy. Słuchałam, jak matka lka samotnie w swoim pokoju. Zmarł na atak serca, przedwcześnie, jak jego ojciec. Przynieśli go do domu z fabryki, kiedy nie widzieliśmy, i ludzie w czerni przyszli, żeby go ubrać do pogrzebu. Leżał teraz na dole w trumnie, w najlepszym ubraniu, jakby spał.

Widocznie zasnęłam, co zdarza się nawet w najgorszych chwilach. Pamiętam, że zbudziłam się z męczącego snu, trochę nieprzytomna. Światło wciąż się paliło, lecz Arthur zniknął. Nie było go w pokoju ani w korytarzu. Pomyślałam, że poszedł do matki, ale ona spała.

Znalazłam go wreszcie w salonie, gdzie trumna ojca spoczywała na dwóch ciemnych kozłach. Stał, po prostu stał obok otwartej trumny, jakby na coś czekał, jakby się spodziewał, że ojciec otworzy oczy i wstanie. Strasznie się bałam, jeszcze nigdy nie widziałam trupa, ale podeszłam, wzięłam Arthura za ramiona i wyprowadziłam z pokoju.

Nigdy później o tym nie wspominał. To było prywatne pożegnanie, w którym nikt inny nie brał udziału. Na pogrzebie Arthur nie uronił nawet jednej łzy i podsłuchałam, jak jakaś starucha wygłasza nieżyczliwą uwagę, że to bardzo nienaturalne. Ale widziałam wyraz jego twarzy tamtej nocy, kiedy zabrałam go z pokoju, gdzie leżał ojciec, i zaprowadziłam z powrotem do łóżka. Z nas wszystkich Arthur chyba najbardziej cierpiał w tamtych okropnych dniach.

Dopiero po pogrzebie zaczęły się prawdziwe kłopoty. Jeszcze przed śmiercią ojca mieliśmy trudności. W 1890 roku powstała United Alkali Company i wkrótce wszystkie pozostałe firmy się z nią połączyły. Tenant i Allhusen zachowały niezależność przez rok czy dwa, ale firmę ojca zamknięto i zlikwidowano.

Ojciec otworzył nowe przedsiębiorstwo produkujące żarówki elektryczne, ale nie mógł konkurować ze swoimi bohaterami, Edisonem i Swanem; kiedy przenieśli się do Kentu, zabrali ze sobą większość

klienteli. Myślę, że te troski go zabiły.

Lecz dopiero po jego śmierci poznaliśmy całą prawdę. Przez lata ojciec dokonywał licznych ryzykownych inwestycji i stracił wiele pieniędzy w zagranicznych spekulacjach. W testamencie zostawił wszystko mojej matce, Arthurowi i mnie. Ale po odczytaniu testamentu notariusz poinformował nas, że nie dostaniemy ani pensa. Wręcz przeciwnie. Odziedziczyliśmy ogromne długi. Widocznie ojciec zapożyczał się na prawo i lewo, licząc na spadek po ciotce, zamożnej kobiecie mieszkającej wówczas w Morpeth. Teraz, po jego śmierci, nadzieje na spadek się rozwiły i wierzyciele żądali całkowitej spłaty długów wraz z odsetkami. Pieniądze matki wydano już na ostatnią próbę ratowania fabryki żarówek. Wszystko, co zostało, na skutek jakiejś prawniczej pomyłki weszło w skład majątku ojca. Byliśmy zrujnowani, gdyby nikt nie przyszedł nam z pomocą.

Matka natychmiast pojechała do Morpeth, gdzie ciotka ojca, owdowiła pani Ayrton, nie wpuściła jej za próg. Pamiętam, jak matka wróciła tamtego wieczoru, zrozpaczona i przemoczona. Padał ulewny deszcz, a ona nie miała pieniędzy na kryty powóz. Dzieci Ayrtonów, brat i siostra, mieszkali w Barras Hall, dużej rezydencji na pustkowiach Northumberlandu, w pobliżu Elsdon. Matka napisała do nich, ale nie odpowiedzieli ani słowa, nie przysłali nawet zdawkowych kondolencji.

W rosnącej desperacji matka zwróciła się do pozostałych krewnych, a potem do przyjaciół. Większość nawet nie pofatygowała się odpisać. Ci, którzy odpisali, zaczęli listy od obowiązkowego zwrotu: „Bardzo żałuję, ale...” Nasz dom i meble sprzedano, ale cały dochód szybko pochłonęły długi i koszty prawnicze. W ciągu miesiąca przeprowadziliśmy się do coraz skromniejszych mieszkań.

Zdrowie mojej matki, zawsze delikatne, poważnie szwankowało.

Patrzyłam, jak posiwiała i nawet skóra jej zszarzała.

W listopadzie 1899 roku stanęliśmy przed bramą przytułku dla ubogich w dawnej parafii mojej matki, Chester-le-Street. Nad budką

odźwiernego wisiał dzwonek. Nadal pamiętam jego dźwięk w zimnym powietrzu. Przez długi czas staliśmy, drżąc z zimna, zanim odźwierny otworzył wąską bramę i wpuścił nas do środka. Najzimniejsze powitanie. I najokrutniejsze rozstanie. Zabrali nam Arthura i umieścili w męskim skrzydle. Mieli swoje zasady, od których nie robili wyjątków, chociaż matka płakała tak, że mało jej serce nie pękło.

4.

Te pierwsze dni w przytułku złamały mi serce. Gdyby nie to, co zdarzyło się później, opisałabym te dni jako najgorsze w moim życiu. Nawet teraz, kiedy powracają w snach, budzę się na poduszce mokrej od łez. Stara kobieta wylewająca dziecięce łzy. Czemu nie? Wszyscy nosimy w sobie dziecko aż po grób. I dalej.

Kobieta o ostrym nosie i ostrym języku, którą wkrótce poznałam jako panią Moss, zaprowadziła matkę i mnie do zimnego pomieszczenia wykładanego kafelkami, gdzie wepchnięto nas do kabin i kazano się rozebrać. Ubrania, w których przyszliśmy - wtedy już nędzne łachmany - zostały zrewidowane, oznakowane i zamknięte w blaszanej skrzynce.

Matka zachowała kilka okruchów z przeszłości, drobiazgów, które trzymała w taniej szmacianej torbie. Były tam fotografie, pukiel włosów ojca, obrączka ślubna, której pomimo wszelkich nalegań nie chciała sprzedać ani zastawić w lombardzie, plik listów związanych wstążką, listów, które ojciec do niej napisał i których nigdy nie pozwoliła mi przeczytać, kilka zasuszonych kwiatów, medalion ze zdjęciem ojca w środku. Wszystko jej wyrwano i zamknięto w skrzynce.

Po latach, kiedy przyjechałam odebrać naszą własność, obrączka i medalion zniknęły ze skrzynki. Przede wszystkim pani Moss złamała

przepisy, przyjmując do przytułku osoby posiadające takie skarby na sprzedaż. Skoro je mieliśmy, widocznie nie spadliśmy jeszcze na najniższy poziom ubóstwa, nie osiągnęliśmy tego etapu krańcowej nędzy, który komisarze praw dla ubogich uznali za warunek konieczny korzystania z luksusów przytułku.

Odebrano nam na zawsze poprzednie życie jednym ciosem, jakby nigdy nie istniało. Przyniosłam ze sobą małą szmacianą laleczkę, której dałam na imię Annabel i która towarzyszyła mi zawsze od wczesnego dzieciństwa. Pomimo moich głośnych protestów zabrano mi lalkę i wrzucono razem z pozostałymi rzeczami do cuchnącej skrzynki.

Następnie odbyła się zimna kąpiel i szorowanie mydłem karbолоwym. Potem kazano nam usiąść na twardych stołkach i obcięto nam włosy. Czy to się wydaje surowe? I słusznie. Musicie pamiętać, że przytułek nie był pierwowzorem nowoczesnych świadczeń społecznych. Nie stworzono go, żeby złagodzić los nędzarzy czy uratować ich przed śmiercią głodową. Przytułek miał zmusić ubogich nierobów, żeby poszukali sobie pracy, nawet najgorszej, niebezpiecznej czy źle opłacanej. Strach przed przytułkiem stanowił bodziec. Bardzo skuteczny bodziec.

Zawsze miałam przepiękne rude włosy, sięgające prawie do pasa. Hannah codziennie je myła i szczotkowała, i obiecano mi, że kiedy dorosnę, pozwolą mi je upiąć na znak, że stałam się damą. Teraz czułam dotyk zimnych nożyc na głowie i płakałam gorzko, kiedy włosy spadały na ziemię, już nienależące do mnie.

Pamiętam wyraz twarzy mojej matki podczas tego wszystkiego, nieskończoną rozpacz, nieskończoną beznadzieję. Nic nie zrobiło wrażenia na pani Moss, ani moje łzy, ani rozpacz matki. Widziała już takie rzeczy, a nawet dużo gorsze. Co dla niej znaczyło jeszcze kilka łez, jeszcze kilka bolesnych spojrzeń? Od dnia, kiedy weszłam do tego okropnego miejsca, do dnia, kiedy stamtąd wyszłam, nigdy nie powiedziała dobrego słowa do mnie ani do nikogo innego.

Wydano nam sukienki z szorstkiej wełny oraz nabijane ćwiekami

buty z żelaznymi noskami, w których ciężko się chodziło. Podobno zawsze można rozpoznać dziecko z przytułku po chodzie, z powodu tych butów. Sukienki miały kolor spłowiałej bieli z niebieskimi pasami biegnącymi od góry do dołu. Bezkształtne worki, pozbawione wcięcia w talii, sięgały nam do kostek i wyglądały jak skrojone i uszyte przez bezręką ofiarę jakiegoś okropnego wypadku.

W tym miejscu nie było niczego jasnego, miękkiego ani ładnego, niczego, żeby pocieszyć zbolące serce. Żadnych obrazków na gołych, bielonych ścianach, żadnych kwiatów na wysokich parapetach okien, żadnych zapachów prócz woni gotowanej kapusty, karbolu i środków dezynfekujących. Upadliśmy na duchu tak bardzo, że straciliśmy wszelką nadzieję. Wyszłam za mąż, mam dzieci i wnuki, żyję we względnym komforcie; ale moje serce nigdy się nie podźwignęło od tamtej chwili. Od tamtej chwili i późniejszych wydarzeń.

Myślałam o moim bracie Arthurze, samotnym w męskim skrzydle, o moim łagodnym bracie z ostrzyżonymi jasnymi włosami. Ta myśl mnie zmroziła i zraniła. Jeśli nadejdą nocne koszmary - a jakich innych snów może się spodziewać dziecko w takim miejscu? - dokąd on pójdzie, do kogo się zwróci? Nawet teraz drzę na myśl, jakie sny miewał w tamtym miejscu. A co najgorsze... a co najgorsze, chyba wiem.

Rozdzielono mnie z matką na resztę dnia. Później się dowiedziałam, że zaprowadzili ją prosto do dużego, zimnego pokoju, pełnego innych kobiet w takich samych workowatych sukienkach, które siedziały na twardych ławkach i darły pakuły. W wielu przytułkach nadal wykonywano taką pracę, w kilku chyba do chwili, kiedy wreszcie je zamknięto w latach trzydziestych XX wieku. Później sama spędziłam trochę czasu w tym pokoju, chociaż początkowo oszczędzono mi tego ze względu na młody wiek.

Później matka mi opowiadała, jak ciężko jej było, pokazywała mi ręce, całe poobcierane, krwawiące i pełne odcisków. Nie traktowano ulgowo osób nieprzyzwyczajonych do pracy fizycznej, których ręce jeszcze nie stwardniały od tego, co podobało im się nazywać uczciwym

znojem. Matka dostała tobołek starych lin pociętych na kawałki, w większości stwardniałych od smoły. Dzienna norma wynosiła półtora kilograma, ale matka do kolacji nie zrobiła nawet połowy. Należało rozpleść liny z powrotem na luźne włókna, używane następnie do takich celów, jak uszczelnianie statków. Co za praca. Co za oglupiająca, bezsensowna, niekończąca się praca. Jakże matka jej nienawidziła. Jakże to ją wyniszczało.

Posłali mnie od razu do szkoły w przytułku, która znajdowała się tuż przy głównym budynku. W tamtych czasach większość przytułków posyłała dzieci do szkół państwowych, ale nasz należał do wyjątków, więc musiałam się przystosować i stać się uczennicą w warunkach dalekich od ideału. Do tej pory uczyłam się tylko prywatnie, podobnie jak Arthur. Lekcje pobieraliśmy w domu od dochodzących guwernantek, nierzadko o wątpliwych kwalifikacjach.

Nie utrzymywały się długo, przychodziły i odchodziły tak, jak im dyktowała zmiana pór roku albo stan ich kieszeni, albo podaż atrakcyjnych mężczyzn. Matka nie uważała za konieczne ani korzystne angażowania guwernantki na stałe, skoro mieszkaliśmy blisko miasta i niewyczerpanych zasobów niedouczonych młodych kobiet, szukających dobrej posady.

Budynek szkolny był podzielony wysokim murem na dwie połowy, jedna dla chłopców, druga dla dziewczynek. Nawet podczas przerw nie mogliśmy się spotykać. Podczas tych lat najbardziej ze wszystkiego pragnęłam, żeby złamano albo zawieszono ten przepis, żebym mogła jeszcze raz zobaczyć Arthura, może zamienić z nim kilka słów i potem opowiedzieć matce, jak on wygląda, jak rośnie.

Klasa dziewczynek - przypuszczam, że u chłopców wyglądało tak samo - była duża, wysoka na dziesięć stóp i długa na dwadzieścia, z małymi kwadratowymi oknami zamalowanymi wapnem. Zamalowali je, żebyśmy nie wyglądały na podwórzu dla dorosłych, znajdujące się bezpośrednio pod oknami. Zimą czy latem w klasie panował zaduch, ponieważ okna trzymano szczelnie zamknięte. Jediną wentylację

stanowiły niewielkie otwory pod sufitem i rzędy cynkowych rur z dziurkami, biegnące od ściany do ściany.

Kiedy mnie wprowadzono, nauczycielka spojrzała na mnie ze zmarszczonymi brwiami. Nigdy jej nie zapomnę. Nazywała się panna Golightly i miała zwyczaj podkreślać swoje słowa uderzeniami krótkiej skórzanej pałki, którą nosiła w kieszeni.

Wypchnięto mnie pospiesznie na środek klasy, gdzie stałam drżąca i usiłowałam powstrzymać łzy.

- Kim jesteś, dziewczyno? Jak się nazywasz?

Nie mogłam odpowiedzieć ze strachu. Bałam się nauczycielki i innych dzieci, które wpatrywały się we mnie jak w ofiarę na rzymskiej arenie, wietrząc krew.

- Przestań chlipać, dziecko. Chlipanie ci nie pomoże. Tutaj masz pracować, nie chlipać.

- Ja... - zaczęłam, ale nie mogłam wydobyć z siebie nic więcej.

Nauczycielka sięgnęła do mnie długą, wyćwiczoną ręką, złapała mnie za ucho i przyciągnęła do siebie.

- Nie toleruję krnąbrnego zachowania, rozumiesz? Masz odpowiadać, kiedy pytam, skakać, kiedy kiwnę palcem, siadać, kiedy ci każę, i wypróżniać się, kiedy ci pozwolę, ani chwili wcześniej. Jeśli cię przyłapię na rozmowach, śmiechu czy zabawie za moimi plecami, gorzko tego pożałujesz. Zapytaj tamte dziewczyny, one ci o mnie opowiedzą. Znają mnie od dawna, znają moją twardą rękę i twardey kij.

Wyciągnęła pałkę z kieszeni i groźnie pomachała mi przed twarzą.

- Stary Martin - tak nazywała swoją pałkę, nie wiadomo dlaczego - jest w robocie dziesięć razy dziennie. Nigdy się nie leni i nigdy nie brakuje mi okazji, żeby z niego zrobić dobry użytek. Jeśli spóźnisz się jedną sekundę na lekcję, wytłumaczysz się przed Starym Martinem. Jeśli zrobisz błąd w dodawaniu, przekonasz się, że łatwo policzyć, ile razy dostaniesz po łapach. Teraz przestań beczeć, usiądź na wolnym miejscu obok Annie Greenup i trzymaj ręce przy sobie. Zmarnowałyśmy już dość czasu.

I lekcja trwała dalej. Nic do mnie nie docierało ani tego popołudnia, ani następnego dnia, toteż zarobiłam kilka uderzeń Starego Martina za nieuwagę. Nikt mi nie współczuł, nawet matka, ponieważ prawie nie mogłyśmy się spotykać i sypiałyśmy w oddzielnych dormitoriach. A nawet kiedy się spotkałyśmy, matka była tak wyczerpana harówką i tak pogrążona w rozpamiętywaniu przeszłości, że dawała mi coraz mniej wsparcia. Od pierwszego dnia musiałam stać o własnych siłach.

Inne dziewczynki na początku wcale mi nie pomagały. Wręcz przeciwnie. Zdradził mnie akcent, delikatne dłonie i blada cera. Od razu zgadły, że upadłam z wysoka. Ale nie okazywały mi współczucia, ponieważ tylko im przypominałam, jak bardzo niegdyś nad nimi górowałam, jakie dostatnie życie prowadziłam, gdy one od początku nie miały nic prócz nędznej stawy i twardych pięści. Dlaczego któraś z nich miałaby wystąpić w mojej obronie albo podsunąć sposób na złagodzenie warunków, w jakich kazano mi żyć?

Z czasem przystosowałam się do tego okropnego miejsca. Przez całą mroźną zimę donośny dzwon budził nas o siódmej, ale od marca do września musiałyśmy wstawać o piątej albo ponieść konsekwencje. O wpół do ósmej modlitwa, potem śniadanie: kleik i ciemny chleb. Od ósmej zaczynałam lekcje, a matka pracę.

W południe dostawałyśmy obiad: trochę chleba z serem w niedziele, poniedziałki, środy i piątki. We wtorki dawali mięso i ziemniaki, najlepszy posiłek tygodnia; w czwartki cienką zupę z chlebem; w soboty boczek. Potem znowu szkoła. Kolacja o szóstej: znowu chleb z serem. Wszystko popijane zwykłą wodą, w lecie czy w zimie.

Pamiętam, jak pewna staruszka - starsza niż ja teraz, przynajmniej taka mi się wydawała - namówiła przyjaciółkę z zewnątrz, żeby przyniosła jej czajniczek, w którym od czasu do czasu parzyła trochę herbaty. Ale pani Moss to odkryła, potłukła czajniczek w drobny mak i zrugła nieszczęsną starowinę za tak oburzające pogwałcenie przepisów. Od tamtej pory nigdy nie zapominam, jak ważne w życiu są drobne wygody.

Po kolacji znowu kazano nam się modlić - chociaż każda z nas o wiele bardziej wolałaby filiżankę herbaty - i odsyłano prosto do dormitoriów, dzieci i dorosłych. Ciągle pamiętam sześć klucza w zamku punktualnie o ósmej i długie noce, wlokące się w nieskończoność. Oczywiście co noc dręczyły mnie złe sny. Koszmary, przygotowujące mnie do koszmaru, który dopiero miał nadejść.

Czas mijał bardzo powoli, ale mijał. Inne dziewczynki stopniowo zaczęły mnie tolerować i w końcu nawet mnie polubiły - przynajmniej niektóre. Moją najlepszą przyjaciółką została Annie Greenup, ta sama towarzyszka niedoli, obok której kazano mi usiąść pierwszego dnia w klasie. Odtąd już zawsze siedziałyśmy w jednej ławce. Sprzymierzyłyśmy się z Annie przeciwko pannie Golightly i Staremu Martinowi, kryłyśmy nawzajem swoje błędy w miarę możliwości, wymienialiśmy znaczące spojrzenia za plecami nauczycielki. Annie nauczyła mnie więcej niż wszystkie guwernantki czy zarozumiała panna Golightly. Zawsze była biedna i wiedziała, że zawsze pozostanie biedna, ale znała wszystkie sztuczki, które pomagały znosić biedę.

Powiedziała mi, że była praktycznie sierotą. Oboje rodzice żyli, przynajmniej tak myślała, ale nie miała pojęcia, co się z nimi dzieje. Raz mówiła, że jej matka uciekła z marynarzem, porzuciwszy ją i brata na pastwę losu. Kiedy indziej marynarz zmienił się w żołnierza, którego przeniesiono do Indii i matka pojechała za nim. A raz wyznała chyba prawdę, że jej matka zmarła z przepicia.

Ojca pijaka prawie nie znała. Niemal całe krótkie życie spędziła w rozmaitych przytułkach i drżała ze strachu za każdym razem, kiedy ojciec ją zabierał. Dużo później powiedziała mi, dlaczego. W tamtych czasach nie mówiło się o seksualnym wykorzystywaniu dzieci przez rodziców. Annie była wykorzystywana, odkąd pamiętała. Przytułek stanowił jej jedyne schronienie. Oczy miała pełne bólu, łagodne oczy, zawsze na granicy łez.

Annie i ja byłyśmy z grubsza w tym samym wieku. Nie znała daty swoich urodzin, ale w urzędowym formularzu opisano ją kiedyś jako „w wieku ośmiu lat” i od tamtej pory co roku dodawała jedynek do

swoich obliczeń. Jej brat Bob był trochę młodszy. Najbardziej zbliżyło nas podobieństwo naszej sytuacji, chociaż Annie nie łączyła z Bobem taka zażyłość jak mnie z Arthurem.

Arthur. Widziałam go tylko raz podczas pobytu w przytułku. Mijał rok, odkąd tam mieszkaliśmy. W tygodniu przed świętami Bożego Narodzenia miejscowy pastor zaprosił dzieci z przytułku, żeby śpiewały kolędy podczas nabożeństwa. Był nowym człowiekiem, pełnym religijnego zapału, i uważał, że działa w słusznej sprawie. Kiedy nam powiedziano o tym planie, wiedziałam, że wreszcie mam szansę zobaczyć Arthura, nawet z nim porozmawiać. Przez ponad dwa tygodnie ciułałam, zebrałam i pożyczalam, żeby dać mu cokolwiek na Gwiazdkę. Niewiele mogłam mu ofiarować, zaledwie ołowianego żołnierzyka, którego jedna z dziewczynek przesznurowała do przytułku i za którego zapłaciłam wysoką cenę w jedzeniu z mojego talerza. Ale ten żołnierzyk znaczył dla mnie bardzo wiele, bo miałam świadomość, ile znaczyłby dla Arthura.

Moje modlitwy się spełniły: był tam, w szeregu chłopców idących przed nami do kościoła. Rozpoznałam go od razu i przyłapywałam jego spojrzenia, kiedy oglądał się, szukając mnie wśród dziewcząt. Nie pozwolili nam usiąść razem, to byłoby niewyobrażalne wykroczenie przeciwko chrześcijańskiemu duchowi, ale z pomocą Annie udało mi się zająć miejsce tuż przy nim, kiedy wreszcie weszliśmy do kościoła. Wyglądał tak mizernie, ze smutnymi oczami, z krótko obciętymi włosami, ale nadal pozostał moim Arthurem; nie mogłam od niego odebrać wzroku. A kiedy inni śpiewali *Przybieżeli do Betlejem*, udało mi się szepnąć do niego kilka słów poprzez przejście między ławkami. Potem za karę dostałam lanie, najgorsze lanie w moim życiu, i przez kilka dni nie mogłam ani siedzieć, ani stać; ale te kilka słów warte były każdego lania.

Powiedziałam mu, że jestem zdrowa, że myślę o nim codziennie, że wkrótce będziemy razem, żeby nie tracił nadziei. I zadałam mu najtrudniejsze pytanie, czy zawiadomiono go o śmierci naszej matki. Odpowiedział, że nie, nie wiedział, nikt mu nie powiedział.

Los mojej matki został przypieczętowany w chwili, kiedy przekroczyła próg przytułku. Wyraz jej twarzy mówił wszystko. Życie straciło dla niej sens; zgnębiona i zagubiona, postanowiła umrzeć. I rzeczywiście umarła sześć miesięcy później, pod koniec maja, w słoneczny poranek, taki jak ten, z otwartymi oczami i twarzą zwróconą do ściany. Powiedzieli mi o tym wieczorem, po kolacji, zaraz po modlitwie, zanim nas odesłano do łóżek. Ale zapomnieli powiedzieć Arthurowi albo uznali, że to bez znaczenia.

Pochowali ją w zbiorowym grobie, bez całunu, w taniej trumnie z popękanych desek. Po latach, kiedy wreszcie mogłam ją przenieść do naszego rodzinnego grobowca w Gosforth, nie dało się zidentyfikować jej szczątków wśród tak wielu bezimiennych grobów, tylu nieoznaczonych trumien, tylu połamanych kości. Nadal często o niej myślę. Czasami, w najciemniejsze noce, wyciągam do niej rękę.

5.

Kiedy miałam czternaście lat, doszli do wniosku, że odebrałam wystarczającą edukację, i przenieśli mnie do klasy służących, żeby mnie wyuczyć na pokojówkę. Pamiętałam jeszcze nędzny żywot młodszych pokojówek w naszym domu. Ale po pobycie w przytułku nie przerażała mnie taka perspektywa. Przeciwnie, niczego bardziej nie pragnęłam, niż wyrwać się z tego miejsca, choćbym miała harować jak niewolnica. W klasie służących pracowałam po dziesięć godzin dziennie, w kuchni, pralni albo szorując podłogi.

Zaczynałam wcześniej rano, zaraz po śniadaniu, sprzątałam oddział ogólny, gdzie zamykali włóczęgów. Po każdej stronie korytarza było dziewięć cel. Pracowałam z jeszcze jedną dziewczyną i każda dostawała jedną stronę, a także łazienki i ubikacje. Miałam tylko szmaty, wiadro i trochę sody. Sama zrobiłam sobie podkładkę do kłęczenia, bo bez

niej taka praca to morderstwo. Sprzątałam przez cały ranek i w południe byłam wykończona. Ale po obiedzie zaczynałyśmy znowu.

Szorowałyśmy drewniane podłogi i długie stoły, i biada dziewczynie, która opuściła jakieś miejsce, na wierzchu czy pod spodem. Przedtem miałam niewiele do czynienia z panią Moss, ale sprzątanie, zmywanie i rozpalamie w piecach stanowiły jej domenę i nie szczydziła starań, żeby nam to uświadomić. Współcześni lekarze pewnie nazwaliby ją sadystką. Wiele takich osób zatrudniało się w przytułkach.

Zanim skończyłam czternaście lat, włosy mi odrosły i oceniono, że jestem gotowa podjąć pracę. Pozwalali dziewczętom zapuszczać włosy na rok wcześniej, zanim je wysłali w świat. Jedyny miłosierny uczynek, chociaż nie dla naszej wygody, tylko żeby oszczędzić przyszłym pracodawcom widoku naszych ostrzyżonych głów. Teraz, kiedy widzę młode kobiety z ogolonymi głowami i ubrane w workowate stroje, przypominam sobie czas spędzony w przytułku, z bezlitośnie ostrzyżoną głową i szorstką szmatą na grzbiecie. Biedactwa, pewnie myślą, że mam nie po kolei w głowie, kiedy widzą mój wzrok pełen litości.

Pani Moss przyszła do mnie z kwaśną miną pewnego ranka na początku 1902 roku. Właśnie polerowałam mosiężne elementy w pokoju, gdzie opiekunowie spożywali lunch podczas comiesięcznych wizyt w przytułku. Myślałam, że ktoś umarł - to się zdarzało, ale nie rozumiałam, dlaczego zechciała osobiście mnie zawiadomić. Chyba że... przeszedł mnie dreszcz strachu, kiedy pomyślałam o Arthurze.

- Spakuj manatki - powiedziała pani Moss. - Jest dla ciebie miejsce na zewnątrz. Spodziewają się ciebie dzisiaj w porze obiadu. To dom lekarza w Birtley. Będiesz pomywaczką. Nie licz na zapłatę, ale dostaniesz wyżywienie i miejsce do spania. To więcej, niż zasługujesz, ale z pewnością zaczniesz się skarżyć przed upływem tygodnia. No więc rusz się. Na co czekasz?

Serce podeszło mi do gardła i tak zostało. Nie pamiętałam prawie nic ze świata na zewnątrz. Przedtem zawsze towarzyszyła mi matka, a teraz miałam wyjść na ulicę i sama sobie radzić. Strach, który czułam

przed chwilą, jeszcze nie całkiem minął, tylko zmienił się w tępy lęk o siebie.

- Ale... - wyjąkałam - ja nie znam drogi. Jak się tam dostanę?
- To nie moje zmartwienie. Masz dwie nogi, możesz chodzić jak inni. Tylko pamiętaj, bądź tam przed drugą, bo inaczej wylądujesz na ulicy. Pani Venables nie toleruje spóźnialskich, sama się przekonasz. Nie życzy sobie leniwych dziewczyn.

Znowu się zająknęłam. Nogi tak mi się trzęsły, że mało nie upadłam.

- Jak tam dojdę? Jeszcze nigdzie nie chodziłam sama.
- Niczego was nie nauczyli w tej szkole? Dam ci adres, zapytasz kogoś o drogę. Nie mam obowiązku niańczyć takich, co są za głupie albo za leniwe, żeby samodzielnie przejść z punktu A do B.

Co powiedziawszy, złapała mnie za ramię i zaciągnęła do pomieszczenia, gdzie przechowywano dobytek pensjonariuszy. Z miejsca się posprzeczałyśmy o to, czy mam prawo zabrać ze sobą drobiazgi, które moja matka przyniosła do przytułku. Pani Moss oświadczyła, że matka nie sporządziła testamentu, więc jej rzeczy należą do opiekunów - pod tym określeniem rozumiała siebie. I zatrzymałaby je, gdyby nie ukradła już obrączki i medalionu. Rzadko trafiały jej się takie wartościowe łupy. Zamiast ryzykować, że za rok czy dwa narobię szumu, pozwoliła mi zabrać zawartość skrzynki w nadziei, że zapomnę o ukradzionych przedmiotach. Nawet te żałosne drobiazgi stanowiły wtedy dla mnie bezcenny skarb.

- Czy mogę zobaczyć brata, zanim odejdę? - zapytałam, ponieważ koniecznie musiałam pomówić z Arthurem. Chciałam mu zostawić adres, pod którym miałam zamieszkać, żeby mnie odnalazł po opuszczeniu przytułku.

- Brata? Jakiego brata? Twój brat odszedł dawno temu - odpowiedziała.

Jej słowa uderzyły we mnie jak jeden z ciosów, które lubiła rozdać. Krew odpłynęła mi z twarzy. Nie wiem, dlaczego nie zemdlałam,

ponieważ strach, który poczułam przedtem na jej widok, teraz powrócił ze zdwojoną siłą. Przez chwilę myślałam, że Arthur nie żyje.

- Odszedł? - zdołałam wykrztusić.

- Tak, oczywiście. Myślałaś, że zostanie tu na zawsze, może żeby czekać na starszą siostrę? To nie hotel. Nasi lokatorzy nie płacą za swoje utrzymanie jak porządni ludzie. Dla twojego brata znaleziono miejsce i odesłano go jak innych chłopców w jego wieku.

- Kiedy? Kiedy odszedł? Jak dawno go nie ma?

Nachyliła się nade mną, przysunęła brzydką twarz do mojej twarzy, jej czerwone oczka zabłyśły. Czułam dżin w jej oddechu i ocet, czułam jej pot, ciemny, wilgotny odór. Zemdliło mnie.

- Myślisz - warknęła - że nie mam nic lepszego do roboty, niż odpowiadać na twoje pytania przez cały dzień? Jeśli ci się wydaje, moja panno, że wrócisz do dawnej pozycji, że pokojówki będą ci usługiwać i niańki będą ci podcierać tyłek, lepiej wybij sobie z głowy takie durnoty. Zdaje ci się, że tutaj jest ciężko, ale to nic w porównaniu z tym, co cię czeka na zewnątrz.

Wyprostowała się i łypnęła na mnie szyderczo.

- Ale ja muszę wiedzieć. Arthur...

Trzasnęła mnie mocno w twarz wierzchem dłoni. Przedtem dość już od niej wycierpiałam bezsensownej przemocy, ale nigdy nie zapomniałam tego szczególnie okrutnego ciosu. Gdziekolwiek teraz jest pani Moss, mam nadzieję, że cierpi. Boże przebacz mi, ale naprawdę tak czuję, nawet po tylu latach, jakby policzek wciąż mnie piekł od uderzenia. Ponieważ gdyby wtedy mi powiedziała to, co chciałam wiedzieć, gdyby pomogła mi odnaleźć Arthura, wszystkie późniejsze wypadki mogłyby się nie zdarzyć i oboje, on i ja, żywi czy martwi, moglibyśmy dzisiaj zaznać spokoju.

Długo szłam w zimnie do domu doktora Lincotta. Pani Moss wysłała mnie w ubraniu, w którym przyszłam do przytułku, czy raczej w sukience i butach matki, bo ze swoich wyrosłam. Buty były za duże, ale wypchałam je kawałkami podartego papieru i wystarczyło na jakiś czas.

Po niecałym kilometrze nogi zaczęły mnie okropnie boleć i wkrótce kulałam. Zaczęłam nawet tęsknić do moich starych buciorów nabijanych ćwiekami niczym do najmodniejszego obuwia. Ubrania i resztę dobytku niosłam w małej szmacianej torbie, z którą matka przyjechała do Chester-le-Street. Jakaś staruszka pokazała mi drogę.

Dom doktora Lincotta nie był nawet w połowie tak okazały jak ten, w którym się wychowałam. Ale i tak drżałam jak osika, kiedy się do niego zbliżałam. Widziałam na zegarze, że dochodziła druga, więc obawiałam się, że przyjmą mnie nieżyczliwie, może nawet odesłają z kwitkiem i każą wracać do przytułku. I przez cały czas myślałam o Arthurze, że może już nigdy go nie zobaczę.

Zgłosiłam się do tylnych drzwi, jak mi kazano. Pani Venables, gospodyni, nazywała je na wyrost „wejściem dla służby”, ale były to zwykłe tylne drzwi, do których prowadziło kilka stopni. Musiałam pukać mocno i długo, zanim ktoś mi otworzył. A wtedy znalazłam się w domu wariatów. Korytarz wyłożony kamiennymi płytami prowadził do kuchni, skąd dochodził przeraźliwy brzęk naczyń i zgiełk podniesionych głosów. Lincottowie trzymali niewiele służby - gospodyni, kucharka, podkuchenna, dwie pokojówki i posługacz - ale ta gromadka przekrzykiwała się jak przekupki na jarmarku. Nie przywykłam do takiego hałasu, bo w przytułku słyszałam tylko zniżone głosy i szuranie stóp.

Posługacz szeroko otworzył drzwi i zobaczył mnie na progu, rozdygotaną i szlochającą. Pomimo wcześniejszych obaw teraz niczego nie pragnęłam bardziej, niż wejść do tego domu, gdzie mogłam znaleźć przynajmniej odrobinę ciepła i kęs strawy. Lecz ogarnął mnie śmiertelny strach, że ktoś zatrzaśnie mi drzwi przed nosem i ostrym tonem rozkaże zabierać się z powrotem. Chłopak - później się dowiedziałam, że miał na imię George - zawołał do kogoś w głębi i po chwili pojawiła się pani Venables (choć wtedy nie miałam pojęcia, że to ona).

- Ty pewnie jesteś ta nowa dziewczyna z przytułku - burknęła.
- Wyjęła z kieszeni duży zegarek, otworzyła go i zamknęła z trzaskiem.
- Mało się nie spóźniłaś. Co cię zatrzymało?

- Proszę pani, ja...

- Nieważne. Robota sama się nie zrobi, jeśli będziesz tu stała i pociągała nosem. George, wprowadź tę dziewczynę i powiedz Lottie, żeby zaraz zagoniła ją do pracy. Porozmawiam z nią później, kiedy znajdę wolną chwilę. No chodźże, przestań się guzdrać.

Z tymi słowami złapała mnie za kark i dosłownie wciągnęła w korytarz. Jeszcze chwila i zniknęła.

- Uważaj na Venables - szeptął George, nachylając się blisko. - Jak ją rozzłościsz, wylecisz z powrotem na ulicę.

Wziął moją torbę i rzucił niedbale do kąta. Próbowałam ją odzyskać, ale on chwycił mnie za ramię i powłókł przez korytarz do kuchni, nie zważając na moje utykanie. W korytarzu panowało lodowate zimno, ale od żaru w kuchni aż się zachłysnęłam.

Wielka kobieta w umączonym fartuchu, którą słusznie wzięłam za kucharkę, podpłynęła do mnie jak okręt.

- Nowa dziewczyna? Masz jakieś imię?

- Yy...

- Nie wystarczy, dziewczyno. Użyj języka, który dostałaś od Boga. Imię?

- Char... Charlotte.

Oczy jej się rozszerzyły.

- Tak jak ja. Ale nie myśl sobie, że możesz się spoufalać z tego powodu. Masz pracować. Na początek pozmywaj te garnki i rondle. Gdybyś przyszła wcześniej, zrobiłabyś już połowę.

I tak zaczął się mój dzień. Nikt mnie nie spytał, czy jestem głodna. Musiałam zakasać rękawy i wziąć się do roboty, zmywać i szorować bez żadnych detergentów, które mamy dzisiaj. W domu lekarza obowiązywały wysokie normy czystości, co znaczyło, że każdą rzecz należało czyścić na wysoki połysk. Po śniadaniu, po lunchu, po podwieczorku i po obiedzie. Oczywiście zmywanie garnków, rondli i zastawy stołowej stanowiło zaledwie ułamek moich obowiązków. Poza tym rozpalałam w kominkach co rano, zanim wszyscy wstali. Szorowałam drewniane podłogi, czyściłam toalety, sprzątałam łazienki dwa razy w

tygodniu. Pranie i prasowanie, trzepanie dywanów, polerowanie mosiądzu, mycie okien, zamiatanie i odkurzanie, czyszczenie kredensów, zamiatanie tylnego podwórza - to wszystko należało do mnie.

W zamian pani Venables pozwoliła mi spać w kuchni i zjadać wszystkie ochłapy, które zostały, kiedy inni służący już się uraczyli resztkami z pańskiego stołu. W niektóre dni dostawałam tylko kromkę chleba z tłuszczem z pieczeni. Nigdy nie miałam w ustach gorącej herbaty, masła ani dżemu. George ostrzegł mnie, że poprzednia dziewczyna została przyłapana na obgryzaniu kości od szynki zostawionej na półmisku, zbita i natychmiast zwolniona. Pani Venables prowadziła dom żelazną ręką.

Wstawałam przed piątą, skradałam się w ciemnościach, żeby nie obudzić domowników, dokładałam do pieców i rozpalałam ogień w kuchni, w salonie, w gabinecie doktora, w pokoju porannym i w sypialni pana domu. I od tej chwili harowałam jak wół do wieczora, czasami do dziesiątej albo jedenastej. Jeśli wydawano obiad proszony, który się dłużej przeciągnął, wszyscy tyraliśmy w kuchni do dwunastej albo pierwszej. Pani Venables nie pozwoliła nikomu wymknąć się do łóżka, dopóki ostami ronderek nie został umyty i odstawiony na miejsce. Co do mnie, nie miałam wyboru, ponieważ i tak sypiałam w kuchni. A następnego dnia znowu musiałam wstać przed świtem, żeby napalić w piecach.

Pewien incydent z tamtych czasów zapisał mi się w pamięci. Ellen, pokojówka, która zwykle ścierała kurze, zachorowała i w zastępstwie wysłano mnie do salonu, żeby odkurzyć meble, zanim pani Lincott wróci z porannej herbatki z paniami z komitetu opieki nad miejscowym szpitalem.

Kiedy sprzątałam z duszą na ramieniu, przerażona, że upuszczę i stłukę jakiś delikatny przedmiot, dostrzegłam fotografię na ścianie obok kominka. Pokazywała grupę mężczyzn w strojach wieczorowych, bardzo formalnych i wykrochmalonych. Zdjęcie wyglądało jak coś nie z tego świata, a jednak wydawało się dręcząco znajome. A potem uświadomiłam sobie, że mój ojciec miał bardzo podobną fotografię. Spojrzałam na podpis wygrawerowany na miedzianej płytce przytwierdzonej

do ramki pod zdjęciem: „Komitet Towarzystwa Literackiego i Filozoficznego Newcastle, 1884”.

Z walącym sercem znowu spojrzałam na fotografię. Ojciec stał w tylnym rzędzie, jak doskonale pamiętałam, ponieważ to samo zdjęcie wisiało w jego gabinecie i widziałam je za każdym razem, kiedy go odwiedzałam. Co wieczór miał zwyczaj zapraszać mnie na pół godziny czytania. Pamiętałam *Sekretne życzenie Kitty* i *Krok po kroku*, i jego miękki głos, i jak bezpiecznie się czułam na jego kolanach, w kręgu światła lampy.

Teraz, kiedy patrzyłam na tę znajomą fotografię, załamalam się i zalałam gorzkimi łzami. Prawie nie miałam czasu oplakiwać ojca, ponieważ po jego śmierci inne kłopoty spadły mi na głowę w związku z katastrofą finansową. W przytułku przebolełam śmierć matki i nieobecność Arthura. Teraz jednak czułam się samotna jak jeszcze nigdy w życiu i nic nie mogło powstrzymać moich łez.

Nie usłyszałam, że drzwi się otwierają i ktoś przechodzi przez pokój.

- Co się stało, dziewczyno? Na litość boską, co ci jest?

Kłęczałam skulona, z twarzą ukrytą w dłoniach.

- No, dziecko, powiedz, czemu płaczesz?

Podniosłam wzrok i zobaczyłam kobietę stojącą nade mną. Nie panią Venables, ale kogoś innego, kobietę młodszą i znacznie lepiej ubraną. Z mdlącym uczuciem zrozumiałam, że to pewnie pani Lincott, moja chlebodawczyni, której dotąd nie widziałam na oczy.

Długo to trwało, ale w końcu zdołałam wykrztusić coś o moim ojcu.

- Ojciec? Ojciec? Nie rozumiem. Co z twoim ojcem?

- On... - przełknęłam i podniosłam na nią wzrok. - On nie żyje, pszepani.

Spojrzała na mnie dość łagodnie, nawet ze współczuciem.

- Przykro mi - powiedziała. - Właśnie teraz się dowiedziałas?

Pokręciłam głową i próbowałam wyjaśnić.

- Ale skoro on nie żyje od tylu lat, dlaczego teraz płaczesz? Nie rozumiem, doprawdy.

Wskazałam na fotografię, na mojego ojca, mężczyznę z bokobrodami, w wieczorowym ubraniu.

- On... to jest mój ojciec - oznajmiłam.

- Twój...? Nonsens, dziewczyno. - Jej zachowanie się zmieniło, kiedy spostrzegła, że ją nabieram. - To jeden z przyjaciół mojego męża. Na pewno to widzisz, głupia dziewczyno. Czy on wygląda jak prosty robotnik?

Trochę już doszłam do siebie. Pokręciłam głową.

- Pani nie rozumie - powiedziałam. - Mój ojciec nie był robotnikiem. Nazywał się Metcalf. Douglas Metcalf. To jego zdjęcie.

Na chwilę osłupiała, jakby moje słowa do niej nie docierały. Potem stopniowo zaczęła jej, świtać prawda. Przede wszystkim mój głos. Podczas pobytu w przytułku nie całkiem straciłam akcent klasy średniej, chociaż często się z niego wyśmiewano. A pani Lincott знаła nazwiska przyjaciół męża.

- Ten Metcalf, który miał zakłady alkaliczne?

Przytaknęłam.

Poderwała rękę do ust.

- Dobry Boże... słyszałam...

Usiadła na najbliższym krześle i gapiła się na mnie, jakbym wypadła z komina.

- Wielkie nieba, dziecko, jakim sposobem znalazłaś się w tak opłakanym stanie?

Staralam się wyjaśnić, chociaż wtedy jeszcze nie całkiem rozumiałam, co się stało. Niemniej pani Lincott zorientowała się w sytuacji.

- I mówisz, że twoja matka zmarła w tym okropnym miejscu?

Potwierdziłam i nowe łzy trysnęły mi z oczu. Po raz pierwszy od śmierci matki prowadziłam cywilizowaną rozmowę. Wyobrażałam sobie, że ta kobieta - kobieta z mojej klasy, kobieta, która mówiła i ubierała się jak moja matka - wstanie z krzesła, chwyci mnie w ramiona i uwolni od wiecznego szorowania, i zamieszka z nią i jej dziećmi jako członek rodziny. Jak księżniczka z bajki, która po latach biedy odzyskała należną pozycję.

Naprawdę wierzę, nawet teraz, że taka myśl przemknęła przez głowę pani Lincott. I przez chwilę moja chlebodawczyni o mało nie uległa impulsowi, który nią zawładnął. Ale pohamowała się, wykazując isticie bohaterskie opanowanie. Kiedy znowu spojrzała na mnie, zobaczyłam z zamierającym sercem, że postanowiła nadal traktować mnie jak zwykłą pomywaczkę.

- No cóż, to rzeczywiście smutna historia - stwierdziła, wstając z krzesła. - Opowiem o tym mężowi. Chyba raz spotkaliśmy twoją matkę na obiedzie wydawanym przez Towarzystwo. Pomyśleć, że zmarła w takich warunkach. I tak młodo. Jakie to tragiczne.

Podeszła do drzwi, potem zatrzymała się i obejrzała na mnie.

- Skończ tutaj szybko, dobrze? - poprosiła. - Za pół godziny mam gości.

Drzwi otwarły się i zamknęły, i znowu byłam sama.

6.

Nie nastąpiła żadna poprawa. Mijały dni, tygodnie, całe miesiące. Jeśli pani Lincott w ogóle o mnie myślała, traktowała mnie z dystansem, jako abstrakcję, przykład na to, jak grzechy ojców odbijają się na dzieciach. A może uważała mnie za kłopotliwy przypadek, który wolała ukryć w kuchni. Z pewnością nigdy nie pomyślała o mnie jak o osobie. A jeśli nawet pomyślała, nigdy nie okazała tego w żaden konkretny sposób. Nie dostałam ubrań ani pościeli, ani dodatkowego jedzenia. W tym domu nigdy nie zaznałam niczego oprócz ciężkiej pracy.

Przyszła wiosna i minęła, co ledwie zauważyłam w mroku zmywalni, gdzie najczęściej pracowałam. Nie miałam wolnych dni. A nawet gdybym dostała wolne, co bym robiła? Nie miałam wyjściowego ubrania ani pieniędzy, nawet pensa, żeby kupić kawałek ciasta. Życie nie niosło dla mnie żadnych obietnic; w najlepszym razie mogłam zostać pokojówką i dzielić zimny pokój na poddaszu z jedną czy dwiema

dziewczynami, i cieszyć się z pary starych butów i taniego kapelusza, i wolnego wieczoru raz na tydzień. Osiągnęłam już wiek wystarczający, żeby pójść na ulicę, moje ciało stało się warte szylinga czy dwóch dla marynarza w Newcastle czy South Shields; ale nie wiedziałam prawie nic o tej profesji, tylko tyle, co podsłuchałam, kiedy inne dziewczyny plotkowały w przytułku.

Minęło lato. W niektóre dni w kuchni panował żar nie do wytrzymania. Wymykałam się na podwórze przy każdej okazji, czyli dość rzadko, spoglądałam ponad murem i dachami sąsiednich domów na błękitne niebo i rozmyślałam, jakie to uczucie być wolnym jak ptak. W pewnym sensie lato było gorsze niż zima. Częściej płakałam, samotna w nocy na moim posłaniu ze szmat. I myślałam o Arthurze, o naszych zabawach w ogrodzie, gdzie rosły kwiaty i wielkie drzewa rzucały dobroczynny cień na miękką trawę.

Nadeszła jesień z łagodnymi wiatrami, a potem ostrymi. Dni mijały jeden za drugim, nieróżniące się niczym. Pewnej nocy, bardzo późno, zbudziłam się nagle ze snu i usłyszałam, jak wiatr świszczy na ulicach. Coś ciężkiego przetaczało się tam i z powrotem w alejce. Nie mogłam się otrząsnąć z tego snu.

We śnie widziałam Arthura. Stał samotnie w oknie ciemnego domu, oświetlony od tyłu nikłym blaskiem świecy. Drapał w okno, skrobał paznokciami po szybie, jakby chciał od czegoś uciec. Ciągle słyszałam to skrobanie; nie chciało ucichnąć. I nagle we śnie spostrzegłam, że to ja stoję w oknie w ciemnym domu, w pokoju ze świecą, że Arthur jest za oknem i drapie w szybę paznokciami, chce się dostać do środka. A ja nie chciałam go wpuścić. Bałam się jego bladej twarzy i długich, chudych rąk.

W październiku pojawiły się pierwsze oznaki zimy. Któregoś dnia spadł grad, a inny dzień był taki ciemny, że od rana paliły się światła. Następnego dnia zdarzyło się coś cudownego. Przynajmniej dla mnie. Do tylnych drzwi zapukała nowa osoba, ktoś z przytułku - jak mówiła Lottie - na posadę pokojówki dla najstarszej córki doktorostwa, panny

Emily, która skończyła piętnaście lat. Byłam w kuchni, kiedy weszła nowa dziewczyna, i na jej widok mało nie upuściłam rondla, który właśnie szorowałam; to była Annie, niepodobna do siebie w czepku i szalu, drżąca na progu.

Venables przeprowadziła ją przez kuchnię, zanim zagoniła ją do kwatery pokojówek na poddaszu. Przechodząc, Annie spojrzała na mnie i mrugnęła. Ledwie zdołałam ukryć podniecenie.

Tamtej nocy leżałam bezsennie, wiedząc, jak bliski jest ratunek. Od-tąd każdego dnia czekałam niecierpliwie na Annie. Im dłużej czekałam, tym bardziej rosły moje nadzieje, tym bardziej fantazjowałam o naszym spotkaniu. Ale minął ponad tydzień, zanim trafiła się okazja. W drugą niedzielę pobytu przekradła się na dół po lunchu.

Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, kiedy na mnie spojrzała. Stała i gapiła się jak na dziwoląga w cyrku. Wreszcie odezwała się zniżo-nym głosem, jak przy łóżku chorego:

- Co oni z tobą robią, Charlotte? Wyglądasz jak szkielet.

W następnej chwili padłyśmy sobie w objęcia, obie ze łzami. Potem Annie odsunęła mnie na długość ramienia, cmokając z dezaprobatą.

- Musisz stąd odejść - powiedziała. - Wykończysz się, jeśli tu zo-staniesz.

- Odejść? - Ten pomysł przeraził mnie równie mocno jak perspek-tywa harowania do końca życia w kuchni Lincottów. - Dokąd? Dokąd pójdę? Nie mam pieniędzy, nie mam nikogo.

Annie pokręciła głową.

- Właśnie że masz, oślątko. Chcesz znaleźć brata, prawda?

Popatrzyłam na nią ze zdumieniem.

- Wiesz, gdzie on jest?

Uśmiechnęła się i uniosła brwi.

- Może wiem, oślątko. Może wiem.

- Więc powiedz mi, powiedz...

Usiadła przy stole.

- Siedź spokojnie i posłuchaj. Wypuścili nas dwa tygodnie temu, Boba i mnie. On dostał pracę w Gateshead, mnie ta stara suka Moss

przysłała tutaj. Ale najpierw spędziliśmy kilka dni razem, z powodu taty.

- Twojego ojca?

Kiwnęła głową.

- Pochowali go. Dlatego wyszliśmy.

- Przykro mi.

Uśmiechnęła się.

- Niepotrzebnie. Nienawidziłam starego drania. Lepiej nam bez niego. W każdym razie nasz Bob mówi, że widział twojego brata, z nim wyszedł.

- On jest ciągle w przytułku? Ale mówili mi...

- Nie, zanim twój brat wyszedł.

- Czy Bob się dowiedział, dokąd go wysłali?

Annie przytaknęła.

- Do jednego miejsca w Gateshead, całkiem jak Boba. Do odlewni Clarka. To nie miejsce dla takiego chłopaka. Bob nie myślał, że on tam wytrzyma. Ale i tak nie zamierzał tam zostać. Powiedział Bobowi, że przy pierwszej okazji daje nogę.

- Ucieknie? Ale dokąd?

- Mówił, że chce pójść do waszych krewnych w Northumberland. Że go przyjmą pod swój dach, a później sprowadzą ciebie z przytułku. Taki miał plan.

- Krewni? - Popatrzyłam na nią, nie rozumiejąc. - My nie mamy żadnych bliskich krewnych, Annie. Nikt nas nie przyjmie pod dach.

- No, twój brat powiedział Bobowi, że oni mają wielki dom na wsi, niedaleko Morpeth. Mówił, że to lordowie i damy, szlachetnie urodzeni, i że nigdy nie pozwolą, żeby on i jego siostra przymierali głodem, skoro wystarczy otworzyć przed wami drzwi.

Serce we mnie zadrzało. Na pewno wiedział, na pewno pamiętał. Nigdy nie odpowiedzieli na listy mojej matki. Nawet Arthur nie mógł wejść przez te drzwi.

- Czy nazywali się Ayrton? Arthur tak powiedział? - zapytałam.

Annie zmarszczyła czoło, potem kiwnęła głową.

- Tak, chyba Bob tak mówił - przyznała. - Ayrton.

Tamtej nocy miałam kolejny sen. Śniło mi się, że Arthur przyszedł do mnie w nocy. Był starszy, niż go pamiętałam, chudy i dziwnie ubrany, i zapuścił długie włosy. Szedł do mnie przez kuchnię, przez kałużę księżycowego blasku leżącą na zimnych kamiennych płytach, ale nie słyszałam jego kroków. Na dworze wiatr ustał, ani powiewu. W domu panowała głęboka cisza, złowieszcza i przytłaczająca. Arthur zbliżał się powoli z wyciągniętymi rękami, mój młodszy braciszek, z otwartymi ustami i rozszerzonymi oczami jak u lunatyka. I przemówił, ale jego głos dochodził jakby z daleka, z całkiem innego miejsca.

- Pomóż mi, Charlotte - szepnął. - Proszę, pomóż mi.

- Co się stało, Arthurze? - odszepnęłam. - Mama nie żyje, a ja ci nie pomogę, jeśli nie wiem, co się stało.

Ale on tylko stał z otwartymi ustami, bezradnie wyciągając białe ręce, z których opadały rękawy długiej koszuli, szeptem wzywając pomocy.

Ocknęłam się nagle. Przez chwilę zdawało mi się, że wcale nie spałam.

7.

Uciekłam następnego soboty. Annie wszystko dla mnie załatwiła. Naraziłam Lincottów najwyżej na chwilową niewygodę, stratę pomywaczki, której nawet nie płacili za pracę i którą łatwo mogli zastąpić inną spośród niezliczonych szeregów zdesperowanych nędzarzy.

Ojciec Annie zostawił jej trochę pieniędzy, z czego dała mi trzy szylingi i sześć pensów, sumę, jakiej nie miałam nigdy w życiu. Teraz to jest warte siedemnaście i pół pensa, za co nie kupisz nawet gazety.

- Kiedy ci się odwdzięczę? - zapytałam.

- Kiedy zostaniesz bogatą damą w tym wielkim domu - zaśmiała się. - Możesz nas przyjąć na służbę.

- Nie, zamieszkacie z nami. Zostaniecie moimi przyjaciółmi, ty i twój brat.

- Zapomnisz o nas, kiedy się wzbogacisz. Zobaczysz.

- Nigdy cię nie zapomnę, Annie.

I nigdy nie zapomniałam. Codziennie wspominam Annie. Tyle razy próbowałam ją znaleźć, ale daremnie. Zniknęła bez śladu. Dużo później odwiedziłam Lincottów i wypytywałam o nią, ale prawie nie pamiętali jej imienia i nie wiedzieli, co się z nią stało. Nie dałam im się poznać, bo nie przypuszczam, żeby się ucieszyli.

- Napiszę do ciebie - obiecałam. - Jak tylko znajdę sobie miejsce.

Nie powiedziałam jej, jakie nierealne wydaje mi się spełnienie naszych marzeń. Ayrtonowie nie wpuszczą mnie za próg i koniec pieśni. Najbardziej się martwiłam, jak później znajdę Arthura.

Annie pouczyła mnie, dokąd iść i jak przejść przez Gateshead i Newcastle. Oprócz pieniędzy dała mi coś jeszcze znacznie większej wartości: parę starych, lecz mocnych butów, które na razie pasowały. W rezultacie mogłam przejść całą drogę na piechotę i oszczędzać skromne fundusze. W Gateshead znalazłam odlewnię Clarka, okropne miejsce, pełne dymu i hałasu, gdzie mi powiedzieli, że Arthur pracował przez miesiąc, a potem zniknął. Tylko tyle wiedzieli.

Przejechałam przez rzekę do Newcastle po moście High Level w półpensówce, starym breku ciągniętym przez konia, który wciąż kursował wtedy i jeszcze przez wiele lat. Wszyscy wysiedliśmy po drugiej stronie niedaleko zamku. Ruszyłam dalej piechotą z trzema szylingami w kieszeni, zdając sobie sprawę, jak mało znaczę w ogólnym planie rzeczy. Ciągle zdawało mi się, że słyszę za sobą kroki: pani Moss, zamierzająca odzyskać mnie i bezwartościowe drobiazgi, które jej ukradłam; pani Venables, oburzona i szukająca zemsty; pani Lincott, zimna, pogardliwa, wyniośle kierująca mnie z powrotem do zmywalni. Na każdym rogu spodziewałam się, że je zobaczę. Na widok policjanta kurczyłam się jak ścigany przestępca.

Spędziłam tę pierwszą noc w taniej noclegowni na Black Boy Yard, przy Groat Market. Pokoje były brudne i zatłoczone, cienki koc, który dostałam, prawie nie chronił przed zimnem, ale leżałam tam z narastającym uczuciem,

którego nie potrafiłam nazwać, świadomością, że w ciągu kilku godzin wzięłam swój los w swoje ręce. Teraz wiem, że to uczucie nazywa się wolnością.

Następny dzień poświęciłam na wydostanie się z miasta. Postępowałam według wskazówek Annie, pytałam ludzi o drogę, aż dotarłam na Claremont Road. Stamtąd ruszyłam na północ przez Kenton w stronę Ponteland. Byłam zmęczona i głodna, nogi okropnie mnie bolały, ale maszerowałam dalej. Dymy i hałasy Newcastle zostały za mną. Wkrótce znalazłam się na otwartej przestrzeni i wciąż podążałam na północ - miałam nadzieję, że tą samą drogą, którą szedł Arthur kilka miesięcy wcześniej.

Drugą noc spędziłam w Wpolsington, w zimnej szopie pełnej rzepy. Za sześć pensów żona farmera przygotowała dla mnie obiad, mój pierwszy gorący posiłek, odkąd odeszłam z przytułku.

Następnego ranka, kiedy wyruszyłam w drogę, pogoda się pogorszyła. Nieruchome chmury wisiały na niebie. Wszędzie dookoła zrobiło się ciemno, cienie leżały za każdym krzakiem i żywopłotem. Zimny wiatr nadleciał z północy i hamował moje kroki. Skrzydła czarnych ptaków rozcinały nieboskłon. Widziałam na polach mężczyzn i kobiety, starych mężczyzn i stare kobiety, ale daleko, poza zasięgiem mojego głosu, zgarbionych nad dziwaczными narzędziami, zajętych jakąś robotą, której nie pojmowałam.

Im dalej szłam, tym bardziej pustoszała okolica. Teraz ludzie podróżują w dużych samochodach, z dziećmi, chronieni przed zimnem i ciemnością. Jadą po gładkich, czarnych drogach, każda długa jak wszystkie drogi mojego dzieciństwa zebrane razem. Wożą karty kredytowe w portfelach i spisy kierunkowych telefonów w schowkach na rękawiczki swoich volvo. Boją się najwyżej tego, że zabraknie im benzyny na długim odcinku od Otterburn do Belsay. I czego się boją? Że będą musieli czekać godzinę czy dwie, aż pojawi się facet w mundurze automobilklubu, żeby ich wyratować z opresji.

Ani nimi nie gardzę, ani im nie zazdroszczę. Pracują ciężko, mają prawo do swoich weekendowych wypadów, swoich pamiątkowych kubków, swoich chrupek ziemniaczanych. A jeśli ceną za to jest jakaś

wewnętrzna pustka, z której nie zdają sobie sprawy, jakaś utrata siebie, nieświadomość miejsca, w którym się znajdują, to chyba niewysoka cena za poczucie komfortu.

Ja zapłaciłam wyższą cenę za wędrówkę przez te pola i nie czułam żadnego komfortu, spokoju ani jedności z naturą. To tylko udawanie. Nie wiercie we wszystko, co mówi moje pokolenie. Czułam tylko strach, narastający niepokój. Każdy zagajnik, który mijałam, skrywał własną gmatwaninę cieni. Ale nie tylko cienie. Także obecność. Świadomość, że właśnie tutaj, gdzie zielone pola ustępowały miejsca wrzosowiskom, jestem najbardziej bezbronna. Coś na mnie czekało, coś, czego nie potrafiłam nazwać ani określić. Ale wiedziałam, pokonując kolejne zakręty, że to czeka, czeka cierpliwie.

Wcześniej trzeciego dnia dotarłam do wioski Kirkwhelpington. „Barras Lodge, obok Kirkwhelpington”, taki adres matka napisała na kopercie, kiedy zwracała się o pomoc do kuzynów mojego ojca. Mała, smętna osada na krańcu świata, ze stareńkim parafialnym kościołem, szkołą i prawie niczym więcej. Dalej ciągnęły się tylko lasy, chaszczki i wrzosowiska.

Znalazłam małą gospodę, gdzie sprzedali mi ser, chleb i szklanekę piwa do popicia. W obskurnym pomieszczeniu stało tylko parę stołów z surowego drewna i kilka stołków. Kiedy skończyłam, córka właściciela przysłała sprzątnąć ze stołu. Była to dziewczyna niewiele starsza ode mnie, rumiana i dobrze zbudowana, ale nieładna.

- Możesz mi powiedzieć, jak znaleźć Barras Hall? - zapytałam.
- Barras Hall? Po co tam chcesz iść?
- Mój brat tam jest - odpowiedziałam. - Muszę go znaleźć.
- Jaki interes ma twój brat z takimi jak oni?
- To znaczy z Ayrtonami?
- A z kim? Oni mu nie dadzą pracy, jeśli tego szuka. Nikt nie chodzi do Barras Hall szukać pracy.
- Dlaczego?
- No bo tak.
- Niemniej przypuszczam, że on tam jest. Możesz mi powiedzieć, jak tam trafić?

Zawahała się, potem kiwnęła głową.

- Idź główną drogą, kiedy stąd wyjdiesz, to droga do Cambo. Miesz Cambo i dojdiesz do Scot's Gap. Potem skręcisz w lewo przed Hartburn. Dojdiesz aż do Barras Hall. Na pewno trafisz. Wszędzie dookoła jest mur i tylko jedno wejście.

Podziękowałam jej i wyszłam. W powietrzu wyczuwało się zapowiedź śniegu. Poranny szron na trawie jeszcze nie stopniał. Mijałam ciemne lasy, gdzie oszronione gałęzie bezlistnych drzew odcinały się na tle sosen jak języki płomienia. Nie spotkałam nikogo na drodze.

W Cambo ponownie zasięgnęłam języka. Do tej pory prawie całym już zdarłam buty i nie wiedziałam, ile jeszcze zdołam w nich przejść. Nawierzchnia była w fatalnym stanie i zanim dotarłam do Scot's Gap, zaczęłam utykać. Trochę dalej inna droga, niewiele szersza niż ścieżka, skręcała na północ pomiędzy wysokimi, ściętymi mrozem żywopłotami.

Wkrótce pojawił się mur. Wysoki i gruby, nie do pokonania. Trawa porastała go na dole, a wierzchołek pokrywał mech. Za nim gęstwina drzew przesłaniała widok. Nie dostrzegłam ani śladu domu. Po lewej wysokie granie odcinały się ostro na płaskim tle nieba.

Przeszłam co najmniej trzy kilometry, zanim dotarłam do przerwy w tej długiej ścianie z kamienia. Pomiedzy wysokimi słupami tkwiła zarzewiała brama. Za nią zobaczyłam jakiś budynek, z powybijanymi oknami, z drzwiami zabitymi deskami.

Pchnęłam skrzydło bramy i weszłam do środka.

8.

Wcale nie śpię, a jednak na jawie śnię o przeszłości. Przedemną biegnie długa ścieżka albo podjazd, chociaż z tego miejsca widzę tylko niewielki fragment. Po obu stronach rosną gęste zimozielone krzewy, tuż przy ścieżce, tworząc nieprzebytą ścianę. Wysokie, bezlistne drzewa

wznoszą się spomiędzy zarośli i przesłaniają niebo. Im dalej od ścieżki, tym wydają się grubsze i bardziej splątane, aż rozplývają się w niewyraźne cienie, przez które nie widzę już nic.

Zupełnie jakbym, przechodząc przez bramę, zerwała wszelkie kontakty ze światem zewnętrznym, jakby mój wszechświat nagle się skurczył do tej wąskiej, odległej, zwirowanej ścieżki, zarośniętej chwastami. Obejrzałam się za siebie. Ciężka brama zamknęła się za mną niedosłyszalnie, jakby działała w zмовie z drzewami i krzewami, żeby po cichu zamknąć i chronić wszystko, co tam trafiło. Chronić, ale także uwięzić.

Co dziwne, ta myśl mnie pocieszyła, bo czyż w istocie nie należało się strzec świata, z którego przybyłam? Mur i brama, które początkowo wywarły na mnie takie złowrogie wrażenie, teraz nabrały całkiem innego charakteru, jako przedpola fortecy, gdzie - jeśli wszystko dobrze pójdzie - odnajdę wreszcie na powrót bezpieczeństwo, którego mnie pozbawiła śmierć ojca. Za tymi wyniosłymi murami zapomnę o nędzy i podłości tamtej egzystencji. Żeby tylko tak się stało. Zamknęłam oczy i w duchu zmówiłam modlitwę. Żeby tylko tak się stało.

Najwyraźniej ścieżka była rzadko używana. Niemal ginęła wśród mchu i chwastów. Zaczęłam się obawiać, że Barras Hall okaże się opuszczony albo zrujnowany. Czy dlatego listy mojej matki pozostały bez odpowiedzi? Drzewa - dęby, buki i jawory - rosły dziko, zaniedbane. Przypomniałam sobie wspaniałe stare drzewa w naszym ogrodzie w domu, nieustannie przycinane i przystrzygane przez naszego ogrodnika Toma, który twierdził, że to konieczne dla ich zdrowia. Tutaj kępki brudnozielonego mchu i szpecące plamy grzybów przywierały do pni, przeżerając i niszcząc korę. Zauważyłam kilka martwych drzew i jedno trafione przez piorun, które opierało się ciężko na swoim sąsiedzie i przyginało go do ziemi.

Maszerowałam prawie przez pół godziny. Miejscami żwir ustępował miejsca kałużom na wpół zamrzniętego błota, przez które brnęłam z trudnością.

Ścieżka ostro skręciła i nagle ujrzałam przed sobą dom w całej okazałości. Pod skarłałym niebem, jakby wycięty z niego i postawiony na

ziemi, stał przede mną niczym mur z szarego kamienia. Kolana ugięły się pode mną, kiedy na niego patrzyłam. Zrozumiałam, jaka byłam głupia, żeby tu przyjść, jaka naiwna, żeby sobie wyobrazić, że przyjmą mnie z kuzynowską życzliwością.

Takie domy zwiedza się na wycieczkach. Kierowcy z kartami kredytowymi i termosami kawy z mlekiem przyjeżdżają w weekendy, żeby na palcach, przejęci podziwem, chodzić po wytwornie umeblowanych pokojach. Nigdy nie podzielałam fascynacji tych ludzi, którzy pewnie odnajdują w sobie wspomnienia przeszłości, jakiej nigdy nie znali.

Dotarłam do kresu mojej drogi. Wiedziałam, że jeśli każą mi wracać tam, skąd przyszłam, niechybnie umrę gdzieś w rowie.

Fasada wyglądała jak jedna płyta granitu, z wysokimi oknami na parterze i mniejszymi, kwadratowymi, na pierwszym piętrze. Pośrodku widniał prostokątny portyk z grubymi kolumnami, ustawionymi w jednakowych odstępach i zwieńczonymi trójkątnym frontonem. Poza tym dom nie miał żadnych ozdób. Nawet festony bluszczu, pnącego się po kamieniach, nie mogły złagodzić wrażenia surowości bijącego z każdego szczegółu. Nie była to surowość, do jakiej przywykłam, ponury utylitaryzm przytułku czy fabryki, ale coś całkiem innego rodzaju.

Dom miał w sobie majestat - ponieważ górował nad wszystkim dookoła - oraz pewną rezerwę. Lecz surowość linii sugerowała coś jeszcze. Wyniosłość połączoną... z czym? Barbarzyństwem? Nie całkiem, raczej z czymś bardziej cywilizowanym, cywilizowanym i jednocześnie bardziej starożytnym, o ile to możliwe.

Z wahaniem weszłam po stopniach do drzwi. Stałam tam przez długi czas, zawieszona pomiędzy sprzecznymi obawami. Kilka razy sięgałam po rączkę dzwonka i za każdym razem cofałam dłoń. Przez cały czas światło odpyływało z popołudniowego nieba. Nadchodziła noc. Zimno stało się jeszcze bardziej przenikliwe. W końcu zmusiło mnie, żebym pociągnęła za dzwonek. Szarpnęłam tylko raz, mocno, z determinacją, po czym nastąpiła długa, nieznośna cisza.

A potem usłyszałam kroki, z początku ledwie dające się rozróżnić, ale coraz bliższe. Drzwi otwały się bezgłośnie i w drżącym blasku świecy zobaczyłam wysoką kobietę ubraną na czarno. W talii mocno ścisnął ją szeroki skórzany pas, przy którym wisiało duże kółko z kluczami. W jednej ręce trzymała wysoką szklaną lampę, w której płonęła świeca.

- No, dziewczyno, o co chodzi? Co cię sprowadza?

Głos miała ostry i nieprzyjazny. Wyjąkałam mój wielokrotnie przećwiczony tekst.

- Proszę pani, przyszedłam... do pana i pani Ayrton. To znaczy do sir Anthony'ego i panny Antonii.

Prawie się roześmiała. Z pewnością mój wygląd i bezpośredniość mojego żądania wydawały się komiczne, wręcz absurdalne. Lecz jeśli nawet dostrzegła humorystyczną stronę tej sytuacji, szybko stłumiła rozbawienie.

- Zabieraj się stąd, bezczelna smarkulo, zanim każę Huttonowi spuścić psy.

- Nie, proszę. - Strach przezwyciężył moją nieśmiałość. - Przyszedłam z daleka na piechotę. Z Newcastle. Muszę z nimi pomówić. To moi kuzyni. To znaczy...

Chciała już zamknąć mi drzwi przed nosem, ale na słowo „kuzyni” zamarła.

- Co? Co powiedziałaś, dziecko?

- To znaczy... mój ojciec był ich kuzynem. Więc ja chyba też...

Widocznie mój akcent wpadł jej w ucho. Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Ojciec? Twój ojciec? Jak się nazywasz?

- Charlotte, psze pani. Charlotte Metcalf.

Przez chwilę coś jakby litość błysnęła w jej oczach. Nie rozumiałam wyrazu jej twarzy. Zmarszczyła brwi i zasznurowała usta.

- Zaczekaj tutaj, dziewczyno. Nie ruszaj się z tego miejsca, jeśli ci życie miłe.

Z hukiem zatrzasnęła drzwi. Słyszałam jej oddalające się kroki na czarno-białej marmurowej posadzce, którą widziałam wcześniej w holu za jej plecami.

Zrobiło się bardzo zimno. Byłam taka zmęczona, że chciałam się położyć na progu i zasnąć. Nawet pod osłoną portyku ostry wiatr przenikał mnie do kości. Za domem zaszczekał głośno pies i przestraszyłam się, że wysoka kobieta poszczuje mnie psami, jak zagroziła. Jednak czekałam, drząc. Nie miałam dokąd pójść.

Drzwi ponownie się otwały. Kobieta w czerni wróciła, wciąż z nieruchomą twarzą. Spoglądała na mnie z góry jak na ślimaka, który wszedł jej w drogę.

- Pójdiesz ze mną - rozkazała. - Nie zostawaj z tyłu i trzymaj ręce przy sobie.

Odetchnęłam głęboko i przekroczyłam próg. Jak łatwo napisać: „przekroczyłam próg”. Ale niektóre kroki prowadzą nas dalej, niż zamierzaliśmy, tam, skąd nie ma powrotu. Ten krok należał do takich. Nie ma dla mnie powrotu. Nigdy już nie będę tym dzieckiem na progu, tym drżącym, obdartym biedactwem skrzywdzonym przez los.

Kobieta zamknęła za mną drzwi. Znalazłam się w wysokim, mrocznym holu, oświetlonym przez ogromny kandelabr wiszący pośrodku. Ani gaz, ani elektryczność nie dotarły tak daleko od miasta, nawet w tamtych czasach. Tutaj wciąż używano świec lub nafty.

Pod ścianami stały kolumny z ciemnoróżowego marmuru, na których umieszczono popiersia rzymskich cesarów wyrzeźbione w alabastrze. Nad ogromnym kominkiem z białego marmuru, wygaszonym, wisiało wielkie lustro, w którym migotały maleńkie odbicia świec. Spodziewałam się ruiny, a tymczasem ujrzałam bogactwo, jakiego dotąd nigdy nie widziałam na oczy. Wprawdzie Barras Hall nie należał do najbardziej okazałych domów, brakowało mu wspaniałości pobliskiego Wallington czy Seaton Delaval, ale ja przyszłam z takiego pustkowie, że wszystko wzbudzało mój podziw.

Wysoka kobieta szła przodem przez długi, nieoświetlony korytarz, potem bocznym przejściem oświetlonym przez samotną lampę naftową, które kończyło się wąskim ciągiem schodów.

- Patrz pod nogi - ostrzegła mnie. - Stopnie są wytarte i jeśli się poślizniesz, złamiesz kark.

Ostrożnie wspięłam się za nią. Wyszliśmy na szeroki korytarz, gdzie promienie zachodzącego słońca wpadały przez rząd okien. Dopiero teraz słońce wyszło zza chmur i pomalowało wszystko czerwonią. Pomiędzy oknami na długich sznurach wisiały duże olejne portrety, mężczyźni i kobiety ubrani według mody sprzed stu lat i jeszcze wcześniejszej. Na całej długości korytarza małe chińskie gablotki i pozłacane krzeselka błyszcząły w słońcu. Prawie potknęłam się na spłowiałym dywanie, kiedy uświadomiłam sobie ze wstrząsem, że to pierwszy, na którym postawiłam stopę od lat, nie licząc dywanu w salonie Lincotów. Rozkoszna miętkość pod nogami wydawała się niemal grzeszna.

Dotarliśmy wreszcie do wysokich, pozłacanych drzwi. Wysoka kobieta przystanęła, uniosła świecę na wysokość piersi i zapukała. Słaby głos odpowiedział, a ona otworzyła drzwi.

- Wejść - rozkazała. - Panna Antonia czeka na ciebie.

Ogarnął mnie strach. Po co ja tu przyszedłam? Żądać spuścizny, do której nie miałam prawa? Zdać się na łaskę krewnych, którzy odesłali już moją rodzinę z pustymi rękami? Wysoka kobieta nie wspomniała o Arthurze. Widocznie jednak tutaj nie dotarł. Zadrżałam, wchodząc do pokoju.

Spodziewałam się... sama nie wiem, czego. Czegoś nieskończenie wielkopańskiego i imponującego, salonu wypełnionego pozłacanymi meblami i obwieszzonego kosztownymi gobelinami, gdzie odbywają się wytworne przyjęcia z wytwornymi gośćmi. Ale zobaczyłam tylko niewielki pokój, salonik skromnych rozmiarów, oświetlony licznymi rzędami świec, wygodnie urządzonego w całości wiktoriańskim stylu. Brakowało luster; od razu to zauważyłam, ponieważ tak intensywnie oczekiwałam, że pokój będzie nimi wypełniony. Na kominku płonął ogień, suty ogień, którego ciepło docierało do wszystkich zakamarków niedużego pokoju.

Na niskiej sofie, ustawionej pod ścianą naprzeciwko kominka, siedziała najbardziej zachwycająca kobieta, jaką dotąd widziałam. Wstrzymałam oddech, gdy ją ujrzałam. Była smukła, jasnowłosa i bardzo,

bardzo piękna. Wtedy nie umiałam ocenić jej wieku, teraz jednak przypuszczam, że była po trzydziestce albo przed czterdziestką. Należała do tych kobiet, więcej niż zwyczajnie ładnych, których uroda nie przemija wraz z pierwszą młodością. Kiedy zwróciła na mnie oczy, wyczułam mieszaninę emocji: ciekawość, zadowolenie i ukryty głębiej niepojęty smutek.

Miała na sobie piękną czarną suknię z mieniącego się jedwabiu, z fioletowym obramowaniem na kołnierzu i rękawach, jakby była w półżałobie. Ogólny efekt, zamierzony czy nie, był na wskroś wiktoriański, jakby kobieta siedząca przede mną przeniosła się z przeszłości odległej o dwadzieścia czy trzydzieści lat.

Stałam niepewnie przy drzwiach, nie wiedząc, czy dygnąć, zrobić krok do przodu czy do tyłu. Ona przyszpiliła mnie spojrzeniem tych idealnych, niemrugających, wszystkowiedzących oczu, jakby konsumowała mnie samym wzrokiem, w małych, satysfakcjonujących dawkach.

- Podejdz, dziecko.

Miękkość jej głosu zaskoczyła mnie i dziwnie dodała otuchy. Ten muzyczny ton szybko osłabił moją rezerwę. Nie zawierał ani śladu szorstkości czy nagany. Mój strach od razu się zmniejszył.

- Nie bój się. Chcę ci się przyjrzeć.

Podeszłam do niej nieśmiało, jakby z obawą, że nogi ugną się pod mną i upadnę na twarz. Nie mogłam mówić. Przez cały czas wpatrywałam się w dywan.

- Pokaż mi buzię - szepnęła, kiedy zatrzymałam się w odległości kilku stóp.

Podniosłam wzrok. Ona przyglądała mi się łagodnymi błękitnymi oczami, wyrażającymi ciekawość zmieszaną z litością. Chciało mi się płakać.

- Mówisz, że jesteś moją kuzynką Charlotte. Czy tak?

- Ja... - Słowa zamarły mi na ustach.

- Spokojnie, dziecko. Nie ma się czego bać. Nie zrobię ci krzywdy. Nawet jeśli w twojej historii nie ma prawdy, nie odeślę cię z pustymi rękami. Nie obawiaj się niczego. Mów śmiało.

- Tak, psze pani. To znaczy mój ojciec był pani kuzynem.

- Twój ojciec? A jak się nazywał?

Zachowywała się tak miło, tak przyjaźnie.

- Nazywał się Douglas Metcalf. Mieszkaliśmy w Kenton Lodge w Gosforth. Dopóki nie umarł.

- Rozumiem. Chodzi o Gosforth w Newcastle, oczywiście.

Przytaknęłam.

- Kiedy i jak zmarł twój ojciec?

Podaliśmy jej datę i okoliczności. Oczy jej się rozszerzyły, jakby pierwszy raz usłyszała o jego śmierci.

- Dziecko, skąd to wszystko wiesz?

- Mówiłam pani, był moim ojcem.

- Ale... - zawahała się. - Ale dlaczego jesteś tak ubrana? W łachmany. Z pewnością...

- Pisaliśmy do was. To znaczy moja matka pisała. Wyjaśniła, jak straciliśmy pieniądze.

Otworzyła usta. Wydawała się zaskoczona, zaniepokojona moimi słowami.

- Pisaliście? Straciliście pieniądze? Kiedy to się stało?

W jej głosie pojawiło się napięcie.

- No, zaraz po śmierci ojca. Nie odpisaliście. Nikt nie odpisał. Nikt nie chciał nam pomóc. Musieliśmy iść do przytułku.

Nie zdołałam ukryć goryczy. Podczas gdy ta piękna kobieta żyła tutaj w luksusie, moja biedna matka musiała zabrać mnie i brata do tego okropnego miejsca.

- Ależ, moje drogie dziecko...

Wstała nagle i spojrzała na mnie z góry.

- Powiedz mi, że to nieprawda - zażądała. - Powiedz, że zmyślasz.

Pokręciłam głową.

- To wszystko prawda. - Podniosłam torbę. - Mam zdjęcia. Ojca i swoje. Matki. Może pani je obejrzyć. Mam listy. To wszystko prawda. Każde słowo.

- A twoja matka i brat? Gdzie oni są?

- Moja matka nie żyje. Zmarła w przytułku.

Uniosła rękę do ust. Powoli osunęła się na sofę.

- Dobry Boże - szepnęła. - Nie dostaliśmy żadnego listu. Żadnego, słyszysz?

Spojrzała na mnie ze zgrozą, z niekłamana zgrozą, jak pomyślałam.

- Och, moje kochane dziecko. Co myśmy ci zrobili? Co myśmy zrobili?

Miała łzy w oczach. Wyciągnęła ręce, otworzyła ramiona. Przez tyle lat nikt nie otwierał przede mną ramion. Krzyk wyrwał mi się z ust, okropny krzyk rozpacz i samotności. A potem rzuciłam się ku niej i zatonęłam w jej objęciach.

9.

Później zostałam niemal ceremonialnie przekazana wysokiej kobiecie - dowiedziałam się, że nazywa się pani Johnson i pełni funkcję gospodyni - w celu rozebrania mnie z łachmanów, wykąpania, upudrowania, uperfumowania i przebrania w stosowny strój. To ostatnie stanowiło pewien problem, gdyż w Barras Hall nie mieszkały żadne dzieci ani dorastające panienki i nie miałam pojęcia, jakim cudem pani Johnson zdoła wyczarować dla mnie garderobę z niczego. Jednakże zostawiła mnie w kąpieli i znikła na jakieś dwadzieścia minut.

Powróciła z naręczem ubrań, które pasowały na mnie niemal idealnie. Były trochę staroświeckie, sprzed dwudziestu czy trzydziestu lat, podobnie jak suknia mojej kuzynki Antonii, ale najwyższej jakości i w bardzo dobrym stanie.

W tamtych czasach kobiety tyle wkładały na siebie, a najwięcej bielelizny. Zaczęłam od długiej wełnianej kombinacji, potem biała bawełniana kombinacja, zapinana na guziczki i z falbankami, i czarne wełniane pończochy; na to szły bawełniane reformy i biały gorset z halką,

ozdobnie haftowany, wyposażony we własny komplet guziczków i falbanek; na to krótsza flanelowa halka i falbaniasta halka z alpaki; i wreszcie śliczna błękitna jedwabna sukienka, najpiękniejsza, jaką miałam w życiu.

Potem, wykąpana i wyszorowana, z włosami uczesanymi i ułożonymi w coś na kształt fryzury, jednym słowem przeobrażona z żebraczki w młodą damę, ponownie zostałam wprowadzona do małego saloniku. Teraz zobaczyłam, że to tylko przedpokój, połączony podwójnymi drzwiami z następnym, znacznie większym pokojem. Towarzyszyła mi moja przyrodnia kuzynka, która nalegała już, żebym zwracała się do niej po imieniu, Antonia, oraz jej brat Anthony. Antonia i ja siedziałyśmy obok siebie na małym szezlongu, trzymając się za ręce, natomiast Anthony, smukły mężczyzna po czterdziestce, stał przy kominku, niemal parodia wiktoriańskiego dżentelmena. Uznałam, że jest bardzo przystojny, ale nieco onieśmielający.

Przyniesiono mi lekką kolację, jagnięcinę z groszkiem i tłuczonymi ziemniakami, którą splukałam odrobiną wina. Na deser dostałam kandyzowane gruszki. Po raz pierwszy od lat czułam się najedzona i zadowolona. Ścisnęłam dłoń Antonii i usiłowałam się skupić na słowach mojego kuzyna Anthony'ego.

- Mówisz, że twój brat opuścił Newcastle i zmierzał tutaj?

Głos miał łagodny, ale ja tak odwykłam od męskiego towarzystwa, że ledwie mogłam odpowiadać na jego pytania. Kiwnęłam głową.

- Jak dawno temu?

Pokręciłam głową.

- Nie wiem, sir. Chyba kilka miesięcy temu.

- Chyba?

- Anthony, nie traktuj jej surowo. Pomyśl tylko, przez co ona przeszła. Na pewno stara się sobie przypomnieć.

- Oczywiście, moja droga, oczywiście. - Zwrócił do mnie twarz z uśmiechem. - Moja droga Charlotte, nie nazywaj mnie „sir”. Jestem twoim kuzynem i ufam, że twoim przyjacielem. Zwracaj się do mnie „kuzynie Anthony”, jeśli chcesz.

Nie mogłam mówić. Czułam się oszołomiona. W tak krótkim czasie z wyrzutka stałam się - mocno wstrzymywałam oddech, kiedy o tym myślałam - znowu członkiem rodziny. W tamtej chwili martwiłam się jedynie losem mojego brata Arthura.

- Dziękuję, sir. To znaczy dziękuję, kuzynie Anthony.

Uśmiechnął się szeroko.

- No więc wróćmy do tematu twojego młodszego brata. Czy na pewno znał nazwę tego domu? Albo czy znał przynajmniej nasze nazwisko, Ayrton?

- Chyba... chyba tak. Kiedy wymieniłam to nazwisko przy Annie, ona jakby je rozpoznała.

- Ale Arthur jest młodszy od ciebie i mógł coś pomylić. Northumberland to duża kraina; młody człowiek łatwo może tu zabłądzić.

Przytaknęłam. Na własnej skórze przekonałam się, jak łatwo można zboczyć z drogi w tym ponurym, monotonnym krajobrazie.

- Muszę go znaleźć - oświadczyłam. - Jestem za niego odpowiedzialna. Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli coś mu się stanie.

- Ani my - zapewniła mnie Antonia, ściskając moją dłoń. - Ale nie uważam za dobry pomysł, żebyś sama go szukała. Nie wiedziałabyś, od czego zacząć. Prawda, Anthony?

Mój kuzyn oparł się o gzyms kominka.

- W rzeczy samej. To zadanie dla profesjonalisty. Sprowadzę detektywa z Londynu. Człowieka, który zna się na rzeczy, posiadającego odpowiednie środki, żeby prowadzić poszukiwania. Jeśli wyśle pomocników, raz dwa znajdą młodego Arthura.

- Ale... - zaczęłam.

- Anthony ma rację, moja droga - przerwała mi Antonia. - Sama nic nie zwojujesz. Przecież to środek zimy. Niech Anthony się tym zajmie. Znajdziemy Arthura. Dajemy ci słowo.

Zawahałam się przed wypowiedzeniem na głos tego, co mnie nurtowało.

- Dziękuję - bąknęłam. - Dziękuję, że obiecujecie znaleźć Arthura. I dziękuję za to wszystko. - Wskazałam ubranie, w które mnie wystrojono.

- Ale... co się stanie ze mną, kiedy będziecie szukać Arthura?

Antonia spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Stanie? Ależ, moja droga Charlotte, nic się nie stanie. Zamieszkaś z nami. Z pewnością nie myślałaś inaczej. Po wszystkim, co się stało. Już o tym rozmawialiśmy z Anthony'm. Zostaniesz u nas. Tutaj, w Barras Hall. Zakładam, że dom spełnia twoje wymagania.

Szeroko otwarłam usta. Bo chociaż liczyłam na to i modliłam się o to, nie śmiałam wierzyć w taką odmianę losu. Widocznie miałam bardzo głupią minę, bo Antonia roześmiała się, przyciągnęła mnie do siebie i jeszcze raz uściskała.

Kiedy wreszcie mnie wypuściła, zobaczyłam, że Anthony nadal stoi przy kominku i przygląda nam się z dziwnym wyrazem twarzy. Napotkał mój wzrok i się uśmiechnął.

- Jestem bardzo wzruszony - szepnął. - Tak, bardzo wzruszony. Szkoda, że matka tego nie dożyła. Prawda, Antonio?

Odsunęła się ode mnie i lekko skinęła głową. Przypomniałam sobie, jak moja matka pojechała do Morpeth, jak ją haniebnie odpędzono, ale nic nie mówiłam. Jakie to miało znaczenie?

- A skoro to ustalone - powiedziała Antonia - musimy cię wysłać do łóżka. Na pewno jesteś strasznie zmęczona.

Jej brat pociągnął za sznur dzwonka obok kominka i po paru chwilach zjawiała się pani Johnson, jakby czekała na wezwanie.

- W swoim czasie dostaniesz własną sypialnię - oznajmiła Antonia. - Ale na razie możesz spać w zachodnim skrzydle. Jest tam pokój bardzo odpowiedni dla panienki w twoim wieku. I takiej ładnej panienki. Prawda, Anthony? Prawda, że ona jest ładna?

- Istotnie, moja droga. Istotnie jest bardzo ładna. Nie wątpię, że wyrośnie na piękność jak ty.

- Taki z niego pochlebca, Charlotte. Przekonasz się o tym z czasem. Nie wierz w połowę tego, co ci powie. Ale mówi prawdę, kiedy chwali twoją urodę.

Zrobiła przerwę.

- Johnson - zwróciła się do gospodyni - panienka Charlotte zamieszka z nami. Przyjmiemy ją do rodziny, ponieważ naprawdę jest naszą kuzynką. Czy różowa sypialnia już gotowa?

Johnson przytaknęła. Nowo uzyskane poczucie bezpieczeństwa sprawiło, że nie bałam się jej tak bardzo i mogłam jej się dokładnie przyjrzeć. Włosy nosiła ściągnięte w surowy kok. Według mojej oceny miała około pięćdziesiątki, ale wyglądała na osobę, która nie zmienia się z wiekiem. Jakby upływ czasu wcale jej nie dotyczył, jakby zawsze tu była i zawsze miała pozostać. Wargi miała bardzo wąskie, policzki zapadnięte, oczy senne, lecz zdolne błyskawicznie nabrać czujności, jak oczy kota.

- Tak, milady. Przewietrzyłam pokój i łóżko. Jest jeszcze trochę wilgoci, ale rozpałiłam porządną ogień. Na pewno panience Charlotte będzie tam wygodnie.

Trochę mnie zdziwiło, że pani Johnson zajęła się tym osobiście, wkrótce jednak się dowiedziałam, że poza nią i niejakim Huttonem w domu praktycznie nie było służby. Hutton wykonywał wszystkie ciężkie i nieprzyjemne prace, ale dom prowadziła pani Johnson z pomocą starszej kobiety nazwiskiem Hepple, która mieszkała gdzieś w czeluściach budynku i bardzo rzadko wychodziła na zewnątrz. Wtedy składałam to na karb odludnego położenia Barras Hall i wynikających z tego trudności w znalezieniu służby.

Powiedzieliśmy sobie dobranoc, ustaliliśmy, że spotkamy się na śniadaniu, po czym Johnson wyprowadziła mnie, niosąc świecę jak przedtem. Przed nami rozciągał się korytarz z oknami, teraz pogrążony w ciemnościach, które w regularnych odstępach rozjaśniały samotne świece. Zadrzałam, bo po ciepłym pokoju przenikliwie zimno jeszcze bardziej dało mi się we znaki.

- Tutaj na noc trzeba się dobrze otulać, panienko - powiedziała Johnson. - Znajdę dla panienki szal. Dostanie go panienka rano.

We wszechogarniającej ciemności prawie nie widziałam, dokąd mnie prowadzono, tyle że wędrowałam przez długie, puste korytarze, w górę i w dół po wąskich schodach, obok zamkniętych drzwi pokoiów. Oświetlenie dawały tylko lampy naftowe albo świece w lichtarzach.

Dorastałam w świecie gazu i elektryczności i chociaż często pracowałam przy świecy, nigdy nie przebywałam w domu tak rozległym i pełnym przyczajonych cieni.

Lecz chociaż początkowo cienie trochę mnie niepokoiły, nie wzbudziły prawdziwego strachu, ponieważ wzbierała we mnie czysta radość i szczęście. Nigdy nie czułam takiego szczęścia, nawet w dzieciństwie, w domu rodzinnym z matką i ojcem. Ponieważ wtedy nie znałam niczego innego, nie miałam żadnego porównania, żadne troski nie zakłócały mojego spokojnego, wygodnego życia. Teraz moją radość mącił tylko żal, że Arthura tu nie ma, żeby dzielić ze mną szczęście. Ale nawet ten ciężar zdjęto mi z ramion. Myśl, że zespół wykwalifikowanych detektywów - z samego Londynu - wkrótce zacznie szukać Arthura, ogromnie dodała mi otuchy. Wierzyłam, że to tylko kwestia czasu, bardzo krótkiego czasu, zanim znowu go zobaczę. Ślubowałam wówczas, że kiedy znowu się połączymy, nic - ani małżeństwo, ani dzieci, ani kariera - więcej nas nie rozdzieli.

Dotarliśmy wreszcie do niskich drzwi na końcu korytarza z dziwnym sufitem, sufitem malowanym w postaci aniołów, ze skrzydłami ledwie widocznymi w słabym świetle. Pani Johnson otwarła drzwi i odsunęła się na bok, żeby mnie przepuścić.

- Dzisiaj panienska śpi tutaj. Dopóki nie wyszukujemy innego pokoju.

Weszłam do środka. Za ledwie przekroczyłam próg, przeszył mnie dreszcz. Przypisałam to zmianie temperatury, chociaż wydawało się dziwne, skoro weszłam z zimnego korytarza do pokoju, w którym na kominku buzował ogień.

W retrospekcji trudno mi oddzielić moje pierwsze wrażenia z tego pokoju od tych, które wyniosłam na koniec. Ściany pokrywała delikatna tapeta w deseń z altanek obrośniętych pnącymi różami i peoniami. Łóżko zaparło mi dech w piersiach. Wysokie, na kanelowanych nogach, nakryte brokatową narzutą haftowaną w perski wzór. Wysoko nad łóżkiem zwisiał z sufitu okrągły baldachim, z którego opadały do wezłowania dwie długie kotary, związane na końcach.

Ktoś położył na łóżku koszulę nocną i odchylił narzutę.

- Kazałam Hepple włożyć butelkę. Niech panienka zostawi ogień, żeby się dopalił do końca, ze względu na wilgoć. Śniadanie jest o siódmej, ale panna Ayrton powiedziała, że może panienka spać, jak długo zechce. Proszę tylko zadzwonić na mnie, jak się panienka obudzi. Sznur jest obok łóżka.

Podziękowałam jej i stanęłam niezdecydowana na środku pokoju. Kiedy gospodyni skierowała się do drzwi, nieśmiało zrobiłam krok w jej stronę.

- Pani Johnson?

Odwróciła się z twarzą bez wyrazu.

- Tak, panienko Charlotte?

- Ja... chciałam tylko pani podziękować.

- Już mi panienka podziękowała.

- Nie... podziękować za to, że mi pani uwierzyła. Kiedy zadzwoniłam do drzwi, pani chciała mnie odprawić. Ale nie odprawiła. Poszła pani do kuzynki Antonii i powiedziała, kim jestem. Gdyby nie pani...

- Z pewnością wszyscy się cieszymy, że to się dobrze skończyło. Bóg czuwa nad nami. Na swój sposób.

Kiedy odeszła, przysunęłam fotel do ognia. Siedziałam przez długi czas, zapatrzona w migotliwe płomienie, śledząc iskierki pędzące na wyścigi do komina. Słyszałam, jak na dworze wiatr huczy w koronach drzew. Od czasu do czasu okno stukało. Ja jednak czułam się bezpieczna i spokojna, bo wiedziałam, że tutaj nie dosięgnie mnie żaden wiatr. Ani wiatr, ani mróz, ani głód. Zasnęłam w fotelu i zdawało mi się, że znowu jestem w domu mojego dzieciństwa.

10.

Następnego ranka zbudziłam się i zobaczyłam, że Antonia pochyla się nade mną.

- Moja kochana Charlotte, tak mi przykro. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

Przetarłam oczy i spróbowałam wstać. Nadal siedziałam w fotelu, w którym zasnęłam.

- Chodź, pomogę ci. Na pewno cała jesteś obolała po nocy spędzonej na fotelu. - Uśmiechnęła się. - Przyszłam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku. Już bardzo późno i wiem, że nie chcesz tracić całego dnia. - Popatrzyłam na nią, mrugając, potem powoli rozejrzałam się po pokoju. Ktoś odsunął zasłony. Wydawało się niemożliwe, że to prawda, że to jednak nie był sen. Sen? Jakaś myśl przemknęła mi przez głowę i natychmiast uleciała. Coś mi się śniło, coś ważnego, ale nie mogłam sobie tego przypomnieć.

- Johnson zaraz przyjdzie, żeby pomóc ci się przebrać w czyste ubranie. Nie powinnaś jej się bać. Jest u nas od tak dawna, przywykliśmy do niej, ale rozumiem, że czasami budzi lęk w osobach, które jej nie znają.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła lok, który spadł mi na twarz.

- Jak już wstaniesz i się ubierzesz, Charlotte, poproś Johnson, żeby wskazała ci drogę do pokoju porannego. Śniadanie już się skończyło, ale na pewno znajdziemy coś dla ciebie. Sama tego dopilnuję. Zaczekam tam na ciebie.

- Przepraszam, która godzina?

- No, już po dziesiątej, moja droga. Ufam, że nie okażesz się śpiochem.

Pokręciłam głową.

- Więc musimy ci znaleźć zegarek. W tym domu jest ich pełno, chociaż wyznam, że nie wszystkie pokazują dokładny czas.

Po czym obdarzyła mnie jeszcze jednym uśmiechem i wypłynęła z pokoju. Ogień dawno wygasł i panował lodowaty ziąb, ale przyzwyczaiałam się wstawać przed świtem w zimne poranki. Wkrótce pojawiła się Johnson, niosąc kilka sukienek przerzuconych przez ramię, z których pozwoliła mi wybrać jedną. Wybrałam jaskrawożółtą sukienkę z satyny wykończoną jedwabiem.

- Zwężymy je na panienkę, jeśli wystarczy panience cierpliwości, żeby ponosić te na zmianę, kiedy zajmę się innymi. Przepraszam, że są trochę niemodne.

Dla mnie mogły wyjść z mody sto lat temu albo dawniej. Gospodyni pomogła mi zdjąć niebieską sukienkę, fatalnie wygniecioną po nocy przespanej w fotelu, i włożyć żółtą. Następnie posadziła mnie przy toalecie i wyszczotkowała mi włosy, teraz już całkiem długie. Ledwie mogłam uwierzyć, że twarz w lustrze to ta sama maska głodu z zapadniętymi policzkami, która patrzyła na mnie ze lśniących garnków i rondli w kuchni Lincottów jeszcze przed kilkoma dniami.

Skończywszy ubieranie, podeszłam do wykuszowego okna, wychyliłam się nad wbudowaną ławeczką i po raz pierwszy wyjrzałam na zewnątrz. Dzień był bezchmurny. Jaskrawe promienie słońca padały ukośnie z bezchmurnego nieba na zimową trawę i nagie gałęzie drzew. Duży ogród, zaniedbany i skuty mrozem, ciągnął się w stronę gęstego zagajnika nagich drzew. Na obrzeżach głównego trawnika stały rzeźby, niewyraźne sylwetki, słabo widoczne z mojego okna. Pośrodku trawnika wznosiła się ozdobna fontanna, a jeszcze dalej dostrzegłam jakby skraj dużego labiryntu.

- Lepiej niech się panienska pospieszy. Panna Antonia czeka na dole.

Kiedy wychodziłyśmy z pokoju, po raz pierwszy zobaczyłam starą Hepple. Weszła, szurając nogami, dźwigając ciężkie wiadro z węglem i podpałkę, ubrana w brudny fartuch i czepek, który pamiętał lepsze czasy. Uśmiechnęłam się do niej, wspominając ze współczuciem moje przejścia w domu Lincottów, ale ona odwróciła wzrok i szybko podreptała dalej.

Antonina czekała na mnie w pokoju porannym, zgodnie z obietnicą. Teraz, po latach, wciąż widzę ten pokój wyraźniej jak wtedy, kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy. Pokój luster i złudnych sztuczek, niemal oszukańczych. Kwiaty, owoce i gzymsy pięły się po ścianach i suficie, wszystkie zręcznie namalowane w stylu *trompe l'oeil*. Duże lustro na końcu stwarzało iluzję nieskończonej przestrzeni. Połączone meble

błyszczały w słońcu jak szczerze złoto. Antonia siedziała na niskiej otomanie, wygładzając fałdy sukni.

Przygotowała niewielki posiłek z mięsa na zimno, jajek, miodu, marmolady i świeżo upieczonej brioszki, wszystko ustawione na niskim stoliku nakrytym białym adamaszkowym obrusem. Nigdy w życiu nie widziałam równie pięknych talerzy: z białej sewrskiej porcelany, kruche, z delikatnym wzorem. Para unosiła się z dziurki w pokrywce srebrnej *chocolatière*. Kiedy usiadłam, Antonia naląła czekolady do filiżanki i podała mi z uśmiechem.

Znowu ogarnęło mnie skrępowanie, powróciła dawna nieśmiałość. Wzięłam spodeczek drżącą ręką. Filiżanka przewróciła się i strumień gorącego brązowego płynu chlusnął na obrus. Spodeczek spadł na podłogę i rozbił się na sto kawałków. Przez mgnienie coś jakby gniew błysnęło w oczach Antonii, potem zerwała się i dużą serwetką zaczęła osuszać obrus.

- Zostaw, zostaw - mamrotała. - Nic się nie stało, naprawdę. To tylko filiżanka.

Wstałam, rozejrzałam się, zobaczyłam swoje odbicie w dwudziestu lustrach i wybuchnęłam płaczem.

- Nigdy... nie powinnam... tutaj przychodzić - wyszlochałam. - Tylko... wykorzystuję... waszą dobroć. Chciałam tylko... znaleźć miejsce... tutaj. Mogę... pracować jako służąca. Naprawdę... jestem służącą. Nie mam prawa... być tutaj... z tobą.

Antonia rzuciła serwetkę, objęła mnie i ucałowała.

- Co ty wygadujesz? Jesteś moją kuzynką, moją dawno utraconą kuzynką. Nigdy więcej nie chcę od ciebie słyszeć takich rzeczy. Nie jesteś służącą, Charlotte, jesteś młodą damą z urodzenia, która przeżyła trudny okres, to wszystko. Na szczęście twoje kłopoty się skończyły. Odtąd zamieszkas z Anthony'm i ze mną jako członek naszej rodziny. To twoje przeznaczenie, Charlotte. Twoje przeznaczenie. Będiesz dla mnie młodszą siostrą, której nigdy nie miałam. Więc przestań pomniejszać swoją wartość. No, wytrzymaj łyżę i siadaj, bo zanim zjesz śniadanie, przyjdzie pora na lunch. Dam ci czystą filiżankę.

Jeszcze raz mnie uściskała ze śmiechem, potem posadziła po drugiej stronie stołu, przesunęła mój talerz i wyjęła z małego kredensu drugą filiżankę. Wkrótce nasze wspólne śniadania w pokoju porannym stały się rytuałem, tylko my dwie i nikt inny.

- Nie spodziewam się, żeby Anthony wrócił przed wieczorem - powiedziała Antonia. - Wyjechał do Morpeth w interesach. Między innymi odwiedzi swoich prawników. Zamierza im zlecić, żeby wynajęli w Londynie ludzi do poszukiwań twojego drogiego brata Arthura. Mają natychmiast zabrać się do roboty. Koszty nie grają roli. Nie musisz się już martwić. Znajdziemy go. Możesz spać spokojnie.

- Wierzę ci - zapewniłam, bo najbardziej na świecie chciałam jej uwierzyć. Zadręczałam się myślą, że podczas gdy ja mam wszystko: dom, wygodę, życzliwych krewnych, Arthur zaharowuje się na śmierć gdzieś w fabryce albo w kopalni.

- A więc, droga Charlotte, co dzisiaj robimy?

- Robimy? - Przełknęłam jajecznicę. - Najchętniej wolałabym nic nie robić.

- Nieładnie jest próżnować. Z pewnością twoja matka tego cię nauczyła. Oczywiście oprowadzę cię po domu. Musisz się tutaj orientować. To wcale nie taki labirynt, jak się wydaje. Jeśli nie będzie za zimno, wyjdziemy na spacer do ogrodu. Później będzie czas na dalsze zwiedzanie. Niestety mamy do pracy tylko Huttona i tereny nie są utrzymane tak dobrze jak za czasów mojego ojca; ale na pewno znajdziesz jakieś przyjemne zakątki. Jest labirynt i pawilon, a na wiosnę w dolinkach zakwita całe mnóstwo dzikich kwiatów. Jeśli to ci się spodoba.

- O tak. Marzę o kwiatkach. Tam nigdy nie było kwiatów... tam, gdzie byłam.

Cień przemknął jej po twarzy.

- Po południu opowiesz mi o swoich... przygodach. Chyba że mówienie o tym sprawi ci ból...

Pokręciłam głową.

- Jeśli masz czas, żeby mnie wysłuchać, Antonio. Chcę, żebyś wiedziała o mnie wszystko. Każdy szczegół.

- Zamierzam się dowiedzieć wszystkiego. I powiedz mi, Charlotte... dobrze czytasz?

- Czytam?

- Czy kiedyś czytałaś na głos?

- Tak, mogę czytać. Nie mam zbytnej wprawy. Ale ojciec mi czytał i czasami mama, więc wiem, jak to się robi. Jeśli w książce nie ma dużo trudnych słów, na pewno dam sobie radę.

- Doskonale. Więc musisz mi czytać. Tutaj dni się dłużą, Charlotte. Mieszkamy na głuchej wsi. A wieś bywa nudna, zwłaszcza w zimie, kiedy nikt nie przyjeżdża z wizytą. Często tęskniłam za kimś do towarzystwa w te długie dni. Mamy wielką bibliotekę, półki pełne książek, ale brakuje mi cierpliwości, żeby czytać samej. Zgodzisz się, Charlotte? Będziesz mi czytać?

- O tak. Z największą przyjemnością. O niczym innym nie marzę.

- Więc załatwione. Zaczniemy dzisiaj. - Zamilkła na chwilę. - Ale nie powinnaś zaniedbywać własnych spraw, Charlotte. Postąpiłabym wyjątkowo egoistycznie, gdybym próbowała monopolizować twój czas, chociaż mam na to wielką ochotę.

- Wcale nie egoistycznie. Bardzo chciałabym spędzać czas z tobą, Antonio. Przy tobie czuję się szczęśliwa.

Uśmiechnęła się.

- A ja jestem szczęśliwa, że to słyszę. Zapewniam cię, że poznasz większe szczęście. No cóż, jesteś jeszcze młoda i przykro mi to mówić, ale straciłaś mnóstwo czasu w ciągu tych ostatnich lat. Musimy pomyśleć o twojej edukacji.

- Miałam lekcje w przytułku. Umiem czytać i rachować całkiem nieźle. Cmoknęła i pokręciła głową.

- Nonsens, dziecko, nie to rozumiem przez edukację. Nie zostaniesz urzędniczką ani guwernantką. Nie chcę cię zamykać na cały dzień w dusznej klasie. Nie potrzebujesz arytmetyki ani geografii, zapewniam cię. Myślę jednak, że potrzebujesz nieco oglądy. Wkrótce wejdiesz do towarzystwa. Musimy cię przygotować stosownie do twojej pozycji społecznej. Trochę francuskiego, odrobinę włoskiego, nauka gry na

fortepianie, malarstwa, znajomość mody, *haute cuisine*. Nie masz nic przeciwko, prawda?

- Ależ skąd. Myślę... że nawet mi się spodoba.

- Doskonale. Sprawa załatwiona. Mieszkamy za daleko, żeby zaangażować guwernantkę. Nie chcą przyjeżdżać, nie chcą zakopać się na wsi, jak to nazywają. - Uśmiechnęła się ujmująco. - No, mają trochę racji. Czasami bywa tu nudno. Zatem sama pokieruję twoją nauką. W zamian za godziny, które poświęcisz na czytanie mi na głos. Czy to uczciwa transakcja?

Jej uśmiech zniewalał, oczy urzekały.

Wstała.

- A więc, Charlotte, chyba pora się ruszyć. Chcesz obejrzeć najpierw dom czy wolałabyś raczej wyjść na dwór?

- Na dwór, proszę. Taki śliczny poranek. Zupełnie inaczej niż wczoraj. Jakby cały świat się zmienił.

- Rzeczywiście. Zmienił się dla nas wszystkich, prawda?

Antonia pożyczyła mi ciepłą pelerynę i mufkę. Wyszliśmy razem przez małe drzwi na tyłach domu. Mróz szczypał, chociaż świeciło słońce. Po schodkach zeszliśmy do tylnej części ogrodu, z niskimi żywopłotami i grządkami kwiatowymi, wśród których stały tu i tam drewniane, zniszczone ławki.

Antonia wzięła mnie za rękę i pociągnęła na ścieżkę prowadzącą do fontanny.

- Fontannę zbudował w tyśiąc siedemset sześćdziesiątym roku włoski architekt nazwiskiem Zefferino Puccianti. Teraz nie wygląda nadzwyczajnie, ale na wiosnę znowu puścimy wodę. Wtedy nabierze wspaniałego wyglądu.

- Myślę, że już teraz wygląda wspaniale - odparłam.

- Zaczekaj, aż podejdziesz bliżej.

Przypomniałam sobie, jak oglądałam fontannę z okna mojej sypialni. Ciekawe, czy odgadnę, które to moje okno. Puściłam rękę Antonii, odwróciłam się i popatrzyłam na dom, na okna parteru w zachodnim skrzydle. Za jednym z ostatnich okien dostrzegłam lekkie poruszenie. Zobaczyłam twarz. Ktoś nas obserwował.

- Antonio - powiedziałałam - czy to nie Anthony?
- Obejrzała się.
- Co mówiłaś?
- Wskazałam na okna. Twarz tymczasem znikła.
- Myślałam, że Anthony na nas patrzył.
 - Anthony? Na litość boską, dziecko, już ci mówiłam, że pojechał do Morpeth. Spotkać się z adwokatem. Na pewno widziałas Johnson. Czemu nie pomachałaś?
 - Teraz tam nikogo nie ma.
 - Nie. Nikogo nie ma.
- Odwróciła się i uśmiechnęła do mnie.
- Nikogo.

11.

Tego wieczoru jedliśmy obiad o ósmej. Dla mnie było to dziwne doświadczenie. Dopóki żył ojciec, nigdy nie jadłam obiadu z nim ani z matką, ponieważ oni oczywiście spożywali posiłki na dole w jadalni - często razem z gośćmi - podczas gdy Arthur i ja jadaliśmy z guwernantką w pokoju dziecinnym. A później jadłam skromne, proste posiłki z Arthurem i matką albo spartańskie kolacje w wielkiej sali z dwustoma innymi kobietami, albo ochłapy podebrane z resztek dla służby w domu Lincottów. Ledwie umiałam się zachować przy stole, nie wiedziałam, jakiego noża i widelca mam używać i w jakiej kolejności, jak prowadzić konwersację. W przytułku nauczyłam się chwycić jedzenie albo głodować. Smak wina był dla mnie całkiem nowy i początkowo nieprzyjemny.

Antonia i Anthony znosili to cierpliwie i z wdziękiem. Od czasu do czasu przyłapywałam ich na wymianie spojrzeń, chwilami Antonia lekko się chmurzyła, ale żadne z nich nic nie powiedziało.

W miarę możliwości obserwowałam Antonię, jak obserwowałam ją

przez cały dzień. Próbowалаm odgadnąć, ile ma lat, bo czternastolatce niełatwo jest ocenić wiek dorosłych. Wydawała się młodsza od mojej matki, jak ją zapamiętałam, piękniejsza, chociaż mniej łagodna. W zarysie jej ust, w wyrazie oczu kryło się coś twardego. Lecz uśmiech miała promienny, nieodparty, urzekający.

Kiedy nadeszła pora na pudding - dawno zapomniany luksus - kuzyn Anthony przechylił się przez stół z wielce poważną miną.

- Charlotte - zaczął - na pewno cię ucieszy wiadomość, że zleciłem poszukiwania twojego brata. Moi prawnicy zaangażowali londyńską firmę o nazwie Biuro Detektywistyczne Endicotta. Mają siedzibę na Charing Cross i słyszałem, że to najlepsi detektywi w stolicy. Pan Melrose... to mój adwokat... osobiście wysłał dzisiaj telegram do Endicotta, żeby zamówić jego usługi i przekazać podstawowe informacje. Mam tu jego odpowiedź.

Nałożył na nos małe okulary, ze szklami w kształcie półksiężyców, po czym wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki złożoną kartkę papieru. Rozłożył ją, odsunął nieco i odchrząknął.

- Wstawię słowa pominięte przez Endicotta ze względów oszczędnościowych. Telegram brzmi następująco:

„Stephen Melrose, Esq. Sir: Niniejszym potwierdzam wiadomość od Pana datowaną dziś rano, w której sir Anthony Ayrton zwraca się do naszego biura o ustalenie miejsca pobytu jego kuzyna, Arthura Metcalfa. Z uwagi na krytyczną sytuację oraz hojną ofertę Pańskiego klienta, gotowego podwyższyć nasze zwykłe wynagrodzenie, chętnie podejmiemy się tego zadania. Proponuję, że przyjadę jutro do Newcastle w asyście dwóch moich najlepszych ludzi. Czy może Pan załatwić, żeby ktoś na nas czekał na stacji, i zarezerwować dla nas miejsce w odpowiednim hotelu? Proszę również dostarczyć nam dokładny rysopis chłopca, w miarę możliwości ze zdjęciem, oraz szczegółowy opis okoliczności jego zaginięcia. Nieoceniona byłaby pomoc urzędnika dobrze znającego miejscowe stosunki. Pozostaję Pańskim unizonym sługą, Josiah Endicott”.

Anthony schował kartkę z powrotem do kieszeni, po czym spojrzał

na mnie przez stół i zapytał:

- Jak znajdujesz roladę owocową, Charlotte? Ufam, że ci smakuje?
- O tak, bardzo.
- A sos? Nie za rzadki, mam nadzieję?

Gwałtownie pokręciłam głową.

- Nie, nie, wcale nie. Jest dokładnie taki, jaki lubię. Taki, jaki...

Zawahałam się.

- Jaki pamiętasz? - podsunęła Antonia.

Przytaknęłam. Czy dlatego zadysponowali na obiad dania dla dzieci, żeby pobudzić moją pamięć?

- Pani Johnson specjalnie go zrobiła. Pamiętaj, żeby jej później podziękować.

- Podziękuję. Podziękuję na pewno.

- A teraz, Charlotte - odezwał się Anthony - rozumiesz, że muszę zapytać cię o szczegóły dotyczące Arthura. Żeby je przekazać panu Endicottowi.

- Przekazać? - Podniosłam wzrok. - Ale przecież on tutaj przyjedzie?

Anthony pokręcił głową.

- Bynajmniej. To bardzo nie po drodze. Spowodowałoby tylko niepotrzebną zwłokę.

- Rozumiem. Ale on na pewno zechce ze mną porozmawiać. Może sama powinnam pojechać do Newcastle. Opowiem mu wszystko, co pamiętam. I mam kilka ślicznych fotografii.

- Nie ma takiej potrzeby, kochana Charlotte - uśmiechnęła się Antonia. - Jeszcze nie wypoczęłaś po podróży tutaj. Opis wystarczy.

- Usiądziemy sobie po obiedzie we dwoje, Charlotte - podjął Anthony - i opowiesz mi wszystko o swoim bracie. A ja osobiście dostarczę fotografie panu Endicottowi. Masz moje słowo. A teraz dołóż sobie rolady. Ja też wezmę dokładkę: nie jadłem tego chyba od dwudziestu lat z okładem i wyznam, że to wciąż mój ulubiony deser.

Odkroił następny gruby plaster i zsunął na mój talerz. Wyciekający dżem poplamiał porcelanę na czerwono. Potem Anthony polał całość

zółtym sosem. Trochę mnie zemdliło. Mój żołądek, nieprzyzwyczajony do tak obfitych posiłków, się buntował.

- Pani Johnson będzie rozczarowana, jeśli nie oddasz sprawiedliwości jej wypiekom, Charlotte. Chce znowu zobaczyć czerwone róże na twoich policzkach. Jak my wszyscy.

Uśmiechnęłam się i wzięłam łyżkę. I zadrzałam. W pokoju nagle zrobiło się zimno. Jakby skądś dmuchnął chłodny przeciąg. Ale od drzwi oddzielał nas chiński parawan. Ogień na kominku płonął wesoło jak przedtem. Zobaczyłam, że kuzyni wymieniają spojrzenia. Oni też zauważyli nagle ochłodzenie.

- Chyba lepiej zamknij okno, Anthony. Trochę tutaj za zimno.

Anthony rzucił siostrze dziwne spojrzenie, potem kiwnął głową i wstał. Przeszedł przez pokój i wykonał ruch, jakby domykał dwie połówki okna. Ale kiedy wrócił na miejsce, w pokoju wciąż panowała niska temperatura. Nie chodziło o niedomknięte okno, na pewno. Ale po co ta pantomima?

Antonia uśmiechnęła się do mnie i sięgnęła po kieliszek z winem. Zauważyłam, że ręka lekko jej drżała. Podniosła kieliszek i upiła łyżeczek wina. W pokoju zrobiło się ciepło równie szybko, jak przedtem się oziębiło. Antonia spojrzała na mnie.

- Charlotte mi czyta, Anthony.

Uniósł jedną brew.

- Doprawdy? To wspaniale. Mam nadzieję, że czyta coś budującego. Bardzo tego potrzebujesz, moja droga.

- Nie bądź niemiły. Czyta mi Charlotte Brontë. *Dziwne losy Jane Eyre*. Przeczytałyśmy już sporo. Dzisiaj po południu doszłyśmy do miejsca, gdzie Jane poznaje pana Lloyda, aptekarza.

- To znakomicie. - Odwrócił się do mnie. - Nie pozwalaj się zamecząć, Charlotte. Moja siostra nie ma żadnych skrupułów, gotowa jest słuchać bez końca, aż opadniesz z sił. Musisz się sprzeciwić. Musisz jej powiedzieć, kiedy się zmęczysz, odłożyć książkę i odmówić dalszego czytania.

- Ona ma uroczy głos, Anthony, zachwycający głos. Trochę zachrypiły po latach przebywania w wątpliwym towarzystwie, ale obdarzony nadzwyczaj ujmującą modulacją. Pokładam w niej wielkie nadzieje. Co prowadzi do mojej dobrej nowiny. Na pewno cię ucieszy wiadomość, że postanowiłam zostać gubernantką Charlotte.

Uniósł brwi i popatrzył na mnie.

- Doprawdy? - Zrobił przerwę. - To się wydaje nader rozsądne.

- Chcę, żeby nabrała przy mnie ogłady, Anthony. Zamierzam przygotować ją do zajęcia pozycji w świecie, która jest jej przeznaczona.

Nie po raz pierwszy Antonia wspominała o moim przeznaczeniu, nadal jednak uważałam, że to dziwny dobór słów na określenie czegoś, co ostatecznie stanowiło zwykły przypadek.

- Naprawdę nie powinniście robić sobie tyle kłopotu z mojego powodu - zaprotestowałam.

- Pozwól, że my to ocenimy, Charlotte - ucięła Antonia. - To, co nazywasz „kłopotem”, jest dla mnie jednocześnie obowiązkiem i przyjemnością. Rzadko mam okazję łączyć jedno z drugim. Z pewnością mi tego nie pożałujesz.

Pani Johnson wybrała tę chwilę, żeby wejść i sprzątać talerze. Podziękowałam jej za roladę.

- To nic takiego, panienko. Tylko trochę ciasta i dżemu. Co panienka chciałaby na jutro?

- Cokolwiek pani uważa.

- O nie, to nie do mnie należy. Panienka musi wybrać. Czy panienka o czymś marzyła, kiedy... zanim tu przyszła?

Spojrzałam na Antonię, potem na Anthony'ego. Oboje uśmiechnęli się zachęcająco.

- Tak - przyznałam - było coś, co kucharka dla mnie robiła w niedzielę. Pudding z chleba z masłem.

- Kapitalne - wykrzyknął Anthony - kapitalne. Następny mój ulubiony deser. Tak, Johnson, musisz zrobić pudding chlebowy.

- Dobrze, sir. Panienko Charlotte, niech będzie pudding z chleba.

Wycofaliśmy się do małej bawialni, przedpokoju, w którym spędziliśmy poprzedni wieczór. Pani Johnson przyniosła kawę dla Antonii i kubek kakao dla mnie. Anthony nalał sobie kieliszek whisky z dużej karafki. Ustawił go w niepewnej równowadze na szerokiej poręczy fotela i znowu nałożył okulary. Wyglądał w nich trochę jak pedantyczny, wymagający nauczyciel. Wyjął z kieszeni notesik i zwrócił się do mnie.

- A więc, Charlotte, musisz mi powiedzieć wszystko o swoim bracie i jego poczynaniach. Nie pomijaj niczego, co mogłoby pomóc skrupulatnemu panu Endicottowi.

Powiedziałam mu, ile mogłam, czyli w sumie niewiele.

- Nieważne - oświadczył, odkładając notes i ołówek. - On nie ma pieniędzy, więc nie wyjechał daleko. Przekonasz się, że znalazł pracę gdzieś pomiędzy Newcastle a Barras Hall, pewnie u farmera. Nie martw się, Arthur się znajdzie.

Antonia spojrzała na zegarek.

- Już prawie dziesiąta, Charlotte. Obawiam się, że zmęczyły cię dzisiejsze spacerunki. Jutro nie będziemy się tak forsować, obiecuję. Ale teraz chyba już pora, żebyś poszła do łóżka. Myślisz, że trafisz do swojej sypialni?

Przytaknęłam, ale w gruncie rzeczy miałam nadzieję, że ktoś mnie tam zaprowadzi. Nie uśmiechała mi się samotna wędrówka przez te długie, ciemne korytarze.

- Na pewno nie zabłądzisz. W końcu nie jesteś dzieckiem. Weź tę lampę z kąta; chyba jest pełna.

Podniosłam wysoką lampę naftową. Anthony uprzejmie wstał, żeby ją dla mnie zapalić. Pocałował mnie w czoło i życzył mi dobrej nocy. Antonia też się podniosła. Pocałowała mnie lekko w usta.

- Dobranoc, Charlotte. Wiem, że będziemy razem bardzo szczęśliwi. Anthony i ja tak się cieszymy, że do nas przyszłaś.

Droga do mojego pokoju dłużyła się bez końca. Chciałam iść szybko, ale bałam się, że zabłądzę, więc co chwila musiałam przystawać, żeby dokładnie ustalić moje położenie. W nocy dom okazał się całkiem innym miejscem od tego, które zapamiętałam z popołudniowego zwiedzania.

Trasa, która wydawała się całkiem prosta, teraz zmieniła się w labirynt przecinających się korytarzy i przeplatających się cieni. W ciszy nawet szelest mojej sukni budził niepokój. Moje kroki rozbrzmiewały echem na kamiennych i drewnianych podłogach, po których przechodziłam.

W nocy zachodnie skrzydło wyglądało na opuszczone. Modliłam się, żeby jak najszybciej przygotowano dla mnie pokój w głównym budynku. Poprzedniej nocy byłam zbyt zmęczona i oszołomiona, żeby się nad tym zastanawiać; dzisiaj jednak przeszkadzało mi, że muszę spać tak daleko od pozostałych domowników.

W końcu dotarłam do swojego pokoju. Po przejmującym zimnie korytarzy radośnie powitałam ogień na kominku. Rozebrałam się szybko i wsunęłam pod ciepłe nakrycie. Stopy oparłam na kamiennej butelce, jeszcze jednym luksusie, o którym prawie zapomniałam.

Zdmuchnęłam lampę naftową, ale zostawiłam zapaloną świecę.

Leżąc tak, pomyślałam o Annie, wciąż mieszkającej w służbówce w domu Lincottów. Nie miała kominka ani butelki z gorącą wodą, ani jedwabnych sukni, ani puddingu ze słodkim sosem. Postanowiłam wtedy, że jak tylko się bezpiecznie zadomowię, poproszę Antonię, żeby coś dla niej zrobiła. Przecież to Annie wyratowała mnie z niewoli u Lincottów i dała mi pieniądze na drogę, chociaż jej się nie przelewało. Zawdzięczałam jej wszystko. Zasnęłam snując radosne myśli, jak to znowu się spotkamy, zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami i spędzimy razem resztę życia.

12.

Mijały dni. Mróz trochę zelżał, potem znowu ścisnął jeszcze mocniej. Na trawie bieleł szron, chmury stale zakrywały niebo. Codziennie rano Antonia i ja spacerowałyśmy w ogrodzie, ubrane ciepło na tę pogodę. Nośmyśmy peleryny z kapturami, dłonie chowałyśmy w grubych muflach

z kosztownego futra. Pani Johnson napracowała się, żeby przerobić kilka sukienek na moją figurę, więc prawie codziennie mogłam się przebierać w inną.

Czasami próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądałyśmy, Antonia i ja, dwie kobiety w długich sukniach idące przez zimowy ogród. Ta scena wydawała się dziwnie staroświecka, jak gdyby czas się zatrzymał. Pamiętałam ruchliwe Newcastle: tramwaje i samochody na jezdniach, parowce na rzece, pociągi ekspresowe wjeżdżające i wyjeżdżające z Dworca Centralnego. Gdzie się to wszystko podziało? Zupełnie jakby nigdy nie istniało, jakby pozostało tylko to spokojne miejsce wśród ośnieżonych drzew. Niemal uwierzyłam, że sam czas zamarzył pod warstwą szronu.

Popołudniami i czasami po obiedzie czytałam Antonii przez godzinę lub dłużej. Okazała się uważną i niestrudzoną słuchaczką. Skończyłyśmy Dziwne losy Jane Eyre i przeszłyśmy do Dumy i uprzedzenia. Antonia często poprawiała moją wymowę jakiegoś słowa, akcent albo intonację, często musiała mi objaśniać jakąś aluzję czy historyczną wzmiankę. Wtedy myślałam, że jest bardzo mądra, chociaż z perspektywy czasu widzę, że posiadała tylko powierzchowną wiedzę, obliczoną jedynie na efekt. Co nie znaczy, że udawała wykształconą, żeby się wywyższyć, jak postępuje wielu ludzi w naszych czasach. Nie wykazywała ani śladu tej słabostki, ponieważ wierzyła we wrodzoną wyższość swojej klasy, której nie potrzeba udowadniać. Popisywała się wiedzą, bo tak wypadało wykształconej damie, jeśli nie chciała wyjść na głuptasa podczas konwersacji przy obiedzie. Nie miała w sobie nic z zawodnika teleturniejów czy samouka rozpaczliwie szukającego poklasku.

Lekcje, których mi udzielała, opierały się na tych samych założeniach. Z początku pracowała wytrwale, zaraz po śniadaniu zabierała się do pierwszego z zadań wyznaczonych na ten dzień. Przez pierwsze kilka tygodni poznałam podstawy włoskiego i odświeżyłam skromną znajomość francuskiego, którego uczyłam się przed laty, ale już prawie całkiem zapomniałam. Antonia taszczyła z biblioteki opasłe tomy dotyczące historii sztuki, wypełnione sepiowymi reprodukcjami dzieł

wielkich mistrzów, zaopatrzonymi w nudne komentarze, które szybko pomijała na rzecz własnych bardziej przystępnych opisów, niestety najczęściej błędnych, jak obecnie się przekonałam.

W dawno nieużywanym pokoju muzycznym na parterze znalazłyśmy stary klawesyn, dość rozstrojony, nakryty płachtą, żeby się nie kurzył. Codziennie przez pół godziny siadywałyśmy przed tym instrumentem i niezdarnymi palcami próbowałam zagrać kawałki Bacha lub Mozarta. Sama Antonia grała znośnie, ale bez uczucia. W przerwach zaznajamiała mnie z nazwami wyszukanych dań, rocznikami win albo najnowszą paryską modą, wszystko bez ładu i składu.

Gdyż języki, muzyka, maniery i cała reszta, jak szybko odkryłam, śmiertelnie nudziły moją kuzynkę. Często w połowie lekcji lub kiedy rozpoczynałam końcową część sonaty, popadała w lekką zadumę, z której bałam się ją wrywać; albo opowiadała o swoim dzieciństwie i wczesnej młodości; albo proponowała wspólny spacer po posiadłości, ręka w rękę po ściętej mrozem trawie.

Naprawdę lubiła tylko jazdę konną i koniecznie chciała ze mnie zrobić dobrą amazonkę. Sama jeździła na kasztanowym wałachu imieniem Koriolan, ja natomiast dostałam roczniaka nazwanego Petrarka. Z pewnością Antonia niezbyt dobrze się bawiła, ponieważ pragnęła towarzyski, z którą mogłaby galopować całymi godzinami przez pola, podczas gdy ja z ledwością utrzymywałam się w siodle. Ona jednak trenowała mnie wytrwale i po tygodniu czy dwóch przynajmniej nauczyłam się siedzieć prosto i nie spadać.

Oczywiście miałam też sporo czasu wolnego, kiedy na własną rękę zwiedzałam dom i posiadłość. Nigdy nie odchodziłam daleko, żeby nie tracić domu z oczu.

Duży strumień przecinał teren posiadłości na odcinku ponad kilometra. Anthony wyjaśnił, że to dopływ rzeki Coquet i nazywa się Hartwell. Ogrodowy pawilon, o którym wspomniała Antonia, stał na niskim pagórku nad strumieniem, oddzielony przystrzyżonym trawnikiem. Wyglądał jak nieduża grecka świątynia, włącznie z doryckimi kolumnami, w dość dobrym stanie. Do środka prowadziły małe drzwi

pod portykiem, ale kiedy pierwszy raz tam poszłam, okazały się zamknięte na klucz. W pierwszej chwili chciałam poprosić Antonię o klucz, ale potem się rozmyśliłam. Mała świątynia wywarła na mnie nieco odstręczające wrażenie. Roztaczała wokół siebie jakąś złowrogą atmosferę.

Wróciwszy po pierwszym spacerze, zapytałam Antonię, kto wybudował pawilon. Najpierw chyba nie chciała odpowiedzieć, ale potem uśmiechnęła się swoim najpiękniejszym uśmiechem i kazała mi usiąść obok niej.

- Jest prawie równie stary jak dom, kochanie. Zbudował go jeden z naszych przodków, sir James Ayrton. To jego ojciec William wznosił Barras Hall. William był wigiem i pozostał lojalny wobec hrabiego Sunderland po jego upadku w 1710 roku. Nasza rodzina zawsze się tym szczyciła: lojalnością, stałością. Za swoją wierność William doczekał się hojnej nagrody. Osiem lat później Sunderland został pierwszym lordem skarbnikiem i nie zapomniał o Ayrtonach. Kiedy ukończono Barras Hall, sam hrabia podarował sir Williamowi wiele książek z własnej kolekcji i z czasem powstała tutaj wielka biblioteka.

- Ta sama biblioteka, w której lubię czytać?

Wyraz tęsknoty przemknął po jej twarzy.

- Tak, moja droga. Niestety jednak to już nie to, co dawniej. Nasz dziadek narobił długów... długów hazardowych, jeśli chcesz wiedzieć... i żeby je spłacić, sprzedał ponad połowę zbiorów. Większość najcenniejszych ksiąg zniknęła.

- A pawilon?

- Pawilon? Ach tak, oczywiście. No więc James Ayrton, syn sir Williama, zbudował zachodnie skrzydło, gdzie sypiasz. Sir James wiele podróżował. Podobno dotarł aż do Indii, a potem na jakiś czas został brytyjskim ambasadorem w Istambule. Później pokażę ci różne skarby, które przywiózł z podróży. Zbudował pawilon w tysiąc siedemset czterdziestym roku, żeby urządzać tam przyjęcia. Wtedy to był ostatni krzyk mody.

- A co znaczy inskrypcja?

- Inskrypcja?

- Nad drzwiami. „I posiadają na wieki”.

Przez chwilę wydawała się zmieszana, jakby te słowa zbudziły w niej niemiłe skojarzenia. Potem uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Och, chodzi ci o nasze rodzinne motto. To cytat z Księgi Wyjścia: „Uczynię potomstwo wasze tak liczne jak gwiazdy niebieskie, i całą ziemię, o której mówiłem, dam waszym potomkom, i posiadą ją na wieki”*. No, może, ale stary pawilon niestety najlepsze dni ma już za sobą. Prawie go nie używaliśmy od czasów sir Jamesa.

W środku jest zimno i wilgotno. Anthony mówi, że trzeba go zburzyć, zanim stanie się obrazą dla oka. Nie jest w najlepszym stanie. Hutton uważa, że tam jest niebezpiecznie. Lepiej trzymaj się z daleka.

* Księga Wyjścia 32, 13. Wszystkie cytaty z Biblii za *Biblia Tysiąclecia*, Poznań 2002.

W jej głosie dźwięczała stal, co mnie zaskoczyło. Jakby się bała, że wejść do pawilonu, że zobaczę coś, czego nie chciała mi pokazać. Potem zmieniła temat i nie wracała więcej do tej sprawy.

Na terenie posiadłości było jeszcze jedno miejsce, do którego Antonia próbowała mnie zniechęcić. Niedaleko od pawilonu stroma ścieżka wiała się przez gęste krzaki w stronę rzeki. Raz, kiedy ją mijaliśmy, zapytałam Antonię, czy prowadzi do czegoś ciekawego.

- Ależ skąd... - zająknęła się. - Tam jest... trochę nudnych ruin. Dawniej stał tam stary kościół. Ale za daleko od domu, co było niewygodne, więc mój dziadek kazał go zburzyć. Teraz nic tam nie znajdziesz, tylko trochę starych kamieni. Ale wolałabym, żebyś tam nie chodziła, Charlotte. Ścieżka jest błotnista i zdradliwa, miejscami nawet niebezpieczna, łatwo możesz się pośliznąć i złamać nogę albo nawet gorzej. I mogą minąć całe dni, zanim cię znajdziemy.

Zgodziłam się, ale w duchu postanowiłam wybrać się tam na wiośnię, kiedy błoto wyschnie. Zaintrygowały mnie ruiny, nawet skromne.

Coraz więcej czasu spędzałam w bibliotece. Oryginalna biblioteka sir Williama Ayrtona została zamknięta, a książki przeniesiono do ponurego pokoju na parterze, mrocznego i pełnego kurzu, rzadko odwiedzanego

i źle oświetlonego. Książki pograżyły się we śnie pod warstwą kurzu, rzadko wyjmowane, nieczytane, niekochane.

Doszłam do przekonania, że powinnam je zbudzić i tchnąć nieco światła w ich egzystencję. Przy każdej sposobności wymykałam się do biblioteki, żeby czytać lub szperać wśród półek, dopóki zimno mnie nie wypędziło. Wreszcie Antonia obiecała, że poprosi Hepple, żeby rozpałała tam dla mnie po południu. Biblioteka została włączona do mojego systemu edukacji.

Lecz sama Antonia niepostrzeżenie zmieniała się w stosunku do mnie. Często zajmowały ją inne sprawy. Czasami w środku akapitu wstawiała i kazała mi przerwać czytanie. Bardzo często podchodziła do okna i stała, patrząc na ogród, niemal jakby się spodziewała, że ktoś tam się pojawi i podejdzie do niej. Raz zobaczyłam, jak drgnęła, ale kiedy zapytałam, co się stało, zapewniła mnie, że nic. A jednak, kiedy się odwróciła, twarz miała bladą i drżała.

Przy pewnych okazjach ta nerwowość bardziej rzucała się w oczy. Jeszcze dwa razy podczas obiadu zrobiło się zimno, jak wtedy przy naszym pierwszym wspólnym posiłku. Za każdym razem Antonia wyraźnie bladła i z niepokojem spoglądała na brata. Z korytarza prowadzącego do mojego pokoju odchodził krótki pasaż. Na jego końcu, zaledwie parę metrów od głównego przejścia, kilka stopni prowadziło do niskich drewnianych drzwi, poszarzałych i zapuszczonych, jakby za nimi znajdował się nieużywany pokój. Podczas pierwszego zwiedzania domu Antonia powiedziała mi, że to drzwi do rupiecarni, zawsze zamknięte na klucz, bo nikt tam nie wchodzi. Lecz za każdym razem, kiedy mijałam tę odnogę korytarza, nie mogłam powstrzymać lekkiego drżenia, ponieważ wydawała się ciemniejsza niż reszta domu i bardzo smutna, jakby niegdyś zdarzyło się tam straszne nieszczęście. I zauważyłam, że kiedy Antonia tamtędy przechodziła, zawsze rozmyślnie patrzyła prosto przed siebie, lekko przyspieszała kroku i przygryzała wargę.

Rzadko widywałam Anthony'ego. Zwykle wychodził w ciągu dnia, nigdy jednak mi nie wyjaśniono, jakie konkretnie interesy każą mu

wyjeżdżać z Barras Hall. Obiad najczęściej jadalśmy razem i każdego wieczoru pytałam, jak postępują poszukiwania mojego brata. Anthony zwykle odpowiadał, że nie ma żadnych nowin; od czasu do czasu jednak wyjmował z kieszeni list od Endicotta, opisujący ostatni etap dochodzenia. Jak dotąd dotarli śladem Arthura do dwóch noclegowni na zachód od Newcastle, potem do warsztatu stolarskiego we Fleece Court i na farmę na skraju miasta, w Kenton. Podobno widziano go trochę dalej na północ, w Ponteland, przez który sama przechodziłam w drodze do Barras Hall. Wydawało się, że Arthur zmierza w tę stronę, i zaczęłam myśleć, że prędzej czy później zjawi się osobiście na progu, tak jak ja, dużo wcześniej, zanim Endicott ze swoimi ludźmi go wytropią.

A potem, całkiem niespodziewanie, nadszedł raport, że Arthur wrócił do Newcastle, ponieważ tydzień wcześniej widziano go w sklepie w centrum miasta.

- Widocznie przestraszył się mrozów - stwierdził Anthony. - I miał rację. Dla takiego chłopca to nie jest odpowiednia pora roku, żeby wędrować na piechotę. Podjął słuszną decyzję, żeby wrócić do miasta.

- Ale kiedy go zobaczę? Mówiłeś, że już niedługo.

Przechylił się przez stół i wziął mnie za rękę.

- Moja droga, obawiam się, że musimy poczekać do wiosny, zanim on znowu ruszy w drogę. Ale nie martw się. On się nie prześliznie przez sieć, którą na niego zastawiliśmy. Endicott wyznaczył wysoką nagrodę w każdej gospodzie i noclegowni po tej stronie Newcastle. Jego ludzie codziennie przeczesują miasto. Arthur nie odejdzie daleko. Święta spędzicie razem, obiecuję.

Tamtej nocy poszłam spać dosyć przygnębiona, gdyż pomimo zapewnień Anthony'ego znowu zaczęłam się bać o bezpieczeństwo Arthura. W przytułku słyszałam wiele razy, jaka sroga jest zima dla biedaków. Każdy miał krewnych i przyjaciół, którzy umarli z głodu albo z zimna, kiedy przyszedł wielki mróz albo spadł śnieg. Czy Arthur, sam i bez grosza, dożyje do wiosny? Jeśli teraz przebywa w mieście, czy Endicott zdąży go znaleźć w porę?

13.

Dni mijały. Zima srożyła się coraz bardziej. Pod koniec listopada spadł śnieg tak obfity, że prawie na tydzień uwięził nas w domu.

Pogodziłam się z możliwością, że Arthur nie odnajdzie się przez najbliższe tygodnie, i porzuciłam wszelkie nadzieje na wspólne święta Bożego Narodzenia.

- Czy bardzo kochałaś brata? - zapytała mnie Antonia pewnego ranka.

- Tak, oczywiście.

- Nie ma w tym nic oczywistego - odparła. - Weźmy Anthony'ego i mnie. Bardzo się kochamy, ale nie zawsze tak było. W dzieciństwie dosłownie się nienawidziliśmy. Przynajmniej wtedy tak się wydawało.

- To chyba nieprawda? Jesteście tacy szczęśliwi razem. Jak mąż i żona. Uniosła wzrok znad gobelinu, nad którym pracowała.

- Tak myślisz?

Przytaknęłam.

- Czy twoi rodzice tacy byli? Czy bardzo się kochali?

- Tak. O tak, bardzo.

- Więc miałaś wielkie szczęście. Nie zawsze tak jest.

Zdążyłam już się o tym przekonać z rozmów podsłuchanych w przytułku. Ale sądziłam raczej, że brak miłości, o jakim mówiły te kobiety, w dużej mierze wynikał z biedy. Klasy średnie i wyższe, jak wciąż naiwnie sobie wyobrażałam, wolne są od nieznośnych stresów i okropnych przywar, przez które rozpadają się rodziny robotników.

- Kiedy dorosnę - oznajmiłam - wolę nie wychodzić za mąż, tylko zamieszkać w takim domu z Arthurem.

Antonia urwała nitkę i wrzuciła igłę do koszyka.

- Miło mi to słyszeć - powiedziała. - Przepraszam na chwilę...

Wstała i wyszła z pokoju. Zdziwiło mnie jej nagłe odejście. Zostałam w pokoju porannym, żeby dokończyć haft, który zaczęłam dwa tygodnie wcześniej. Zanim się z tym uporałam, minęła ponad godzina. Chciałam pokazać Antonii ukończoną robótkę, więc poszłam jej szukać.

Nie znalazłam jej nigdzie na parterze. W domu panowała cisza; Anthony wyjechał wcześniej na farmę na terenie posiadłości, pani Johnson i Hepple przygotowywały lunch w kuchni. Na górze skierowałam się prosto do sypialni Antonii, dużej komnaty pełnej luster, usytuowanej niemal pośrodku budynku, ze wspaniałym widokiem na ogród.

Przez te dni, kiedy pracowałam nad haftem, który zawierał kilka skomplikowanych elementów wykonanych ścięciem wypukłym i cieniowanym ażurkiem, Antonia regularnie chwaliła mnie za postępy. Dumna byłam z ukończonej robótki, nadal mocno naciągniętej na tamburku, i chciałam zaskoczyć Antonię, ponieważ nie spodziewała się, żebym skończyła wcześniej niż następnego dnia.

Zostawiła otwarte drzwi do sypialni. Zamiast ją zawołać i uprzedzić o mojej obecności, podeszłam cicho, żeby jej zrobić niespodziankę. Ale kiedy dotarłam do drzwi, zobaczyłam jej odbicie w jednym z wielkich luster, wiszących na ścianie naprzeciwko. Stała odwrócona tyłem i początkowo widziałam ją tylko częściowo. Jednak coś w jej zachowaniu ostrzegło mnie, żebym zachowała ostrożność i pozostała niewidoczna.

Przebrała się i teraz, kiedy lekko się obróciła, zobaczyłam, że miała na sobie suknię ślubną. Niegdyś była to przepiękna kreacja z koronki, satyny i haftowanych brytów, biała, zwiewna i delikatna, najwyraźniej jednak czasy świetności miała już za sobą: wydawała się spłowiała i miejscami nawet postrzępiona, jakby podarta i niezręcznie zacerowana. Antonia podziwiała swoje odbicie w innym lustrze po drugiej stronie pokoju, obracała się, wyginała, prostowała, całkiem jak panna młoda w poranek przed ślubem.

A potem nagle poderwała ręce do twarzy. Zastygła na chwilę w zbołałej pozycji, zanim osunęła się na łóżko, łkając jak dziecko. Zażenowana i przestraszona, odwróciłam się i odeszłam na palcach.

Podczas lunchu Antonia wydawała się bardzo spięta, a kiedy przyjrzałam

się uważnie, zobaczyłam czerwone obwódki wokół jej oczu. Podziwiała mój haft bez prawdziwego entuzjazmu i jadła z roztargnieniem. Wróciwszy do tematu porannej rozmowy, wypytywała mnie o Arthura: jak się zachowywał, co mu sprawiało przyjemność, co budziło w nim odrazę, co lubił jeść i tak dalej - niekończąca się lista błahostek - a ja odpowiadałam najlepiej, jak umiałam.

Popołudnie spędziłam samotnie w bibliotece, zgodnie z sugestią Antonii, czytając powieść pod tytułem *Ardath* niejakiej Marie Corelli. W tamtym okresie Corelli była u szczytu sławy, chociaż podejrzewam, że nawet pan nigdy o niej nie słyszał, doktorze. Na szczęście dla pana, ponieważ Corelli była okropną hipokrytką i jeszcze gorszą pisarką, i wcale nie zasługiwała na pochwały, jakimi obsypywała ją opinia publiczna w tamtych czasach.

Prawie przez cały obiad Anthony raczył nas obie opowieściami o dzierzawcach i dodatkowych trudnościach, jakich im przysparzał śnieg. Jeden człowiek stracił już trzy owce w zaspach śnieżnych. Na farmę innego nie dało się dojechać nawet konno. Antonia uprzejmie słuchała słów brata, ale widziałam, że wciąż źle się czuła. Wyglądała blado i najwyraźniej myślała o innych sprawach, których naturę mogłam tylko zgadywać.

Dotarłam do mojej sypialni trochę wcześniej i zastałam tam Johnson, jak zmieniała prześcieradła. Wydawała się nieco zaskoczona, kiedy weszłam niespodziewanie. Zapytałam ją, czy Antonia jest chora, bo zachowuje się jakoś inaczej.

- Nie jest chora, panienko. Po prostu czasami...
- Co czasami?
- Nic, panienko. Lepiej panienka zrozumie, kiedy będzie starsza. Proszę okazywać cierpliwość pannie Antonii. Nie miała łatwego życia. Wbrew pozorom.

Odwróciła się do wyjścia, potem obejrzała się na mnie.

- Proszę koniecznie zamknąć drzwi na klucz, panienko. Jak tylko wyjdę.

- Na klucz? Po co?

Popatrzyła na mnie spokojnie.

- To stary dom, panienko. Drzwi są stare. Czasami wiatr wieje znad wrzosowisk. W korytarzu powstają przeciągi, a te drzwi nie są już tak mocne jak dawniej. Najlepiej je zamykać na klucz. Mam swój klucz. Sama sobie otworzę, kiedy rano przyniosę gorącą wodę.

Widocznie zasnęłam głęboko. Czytałam przed snem i widocznie zdrzemnęłam się w fotelu. Zbudziłam się zeszywniała i obolała. Ogień prawie całkiem wygasł. Świeca wciąż się paliła, ale zostało jej niewiele. Coś mnie obudziło. Siedząc bez ruchu, usłyszałam najpierw wiatr. A potem inny dźwięk. Odgłos kroków w korytarzu za drzwiami mojego pokoju.

Zamarłam i wyteżyłam słuch. Kroki się zbliżały. Dotarły do moich drzwi i ucichły. Nagle uświadomiłam sobie, że zapomniałam zamknąć drzwi na klucz, jak kazała pani Johnson. Klucz tkwił w zamku. Z łomoczącym sercem wstałam i na palcach przeszłam przez pokój, przerażona, że lada chwila ktoś otworzy drzwi. Namacałam klucz i przekręciłam go po cichu. Zdawało mi się, że słyszę czyjś oddech, ale nie miałam pewności, czy to nie mój własny.

A potem znowu usłyszałam kroki, które teraz się oddalały. Wreszcie całkiem ucichły i tylko wiatr świszczwał w gałęziach drzew.

14.

Następnego ranka Antonia najwyraźniej odzyskała dobry humor. Kiedy zesłam na śniadanie, przywitała mnie ciepło.

- Przepraszam, że wczoraj byłam taką marną towarzyszką - powiedziała. - Strasznie mnie rozboleła głowa. Czasami cierpię na migreny.

Wyraziłam współczucie i zapytałam, czy dobrze spała.

- Owszem. A ty?

- Czy... w nocy przechodziłaś obok mojego pokoju? - zapytałam.
- Obok twojego pokoju? Dlaczego, po co?
- Bo... chyba słyszałam kroki pod drzwiami.

Lekki cień przemknął przez jej twarz, potem uśmiechnęła się uspokajająco.

- Na pewno ci się przyśniło, moja droga. Wciąż jeszcze jesteś tu obca; nie znasz odgłosów tego domu. Ale zapewniam cię, że nikt tam nie chodził i nikt ci nie przeszkadzał.

- Tak - przyznałam - na pewno mi się przyśniło.

Ale pamiętałam aż nazbyt wyraźnie te kroki. Czyżby tutaj działo się coś, o czym moja kuzynka nie wiedziała?

Dla odmiany wyszło słońce, więc po śniadaniu wybrałyśmy się na spacer, po raz pierwszy od tygodnia. W ogrodzie wciąż leżał głęboki śnieg, ale Hutton oczyścił kilka ścieżek wystarczająco, żebyśmy nie musiały brnąć przez zasy, odbywając „przechadzkę dla zdrowia”.

Od początku mojego pobytu w Barras Hall coś nie dawało mi spokoju i dopiero tego ranka zorientowałam się, w czym rzecz.

- Antonio - zagadnęłam - wytłumacz mi, dlaczego w ogrodzie nie ma ptaków?

- Nie ma ptaków?

- Ani tutaj, ani w lesie, ani nigdzie na terenie posiadłości, o ile mi wiadomo.

- Ależ, moja droga, wszystkie odleciały na południe na zimę... z pewnością o tym wiesz. To się nazywa migracja.

- Oczywiście, uczyłam się o tym w szkole. Ale nauczycielka mówiła, że niektóre ptaki zostają, nawet na zimę. Drozdzy i takie różne. Ale tutaj ich nie widzę.

Antonia popatrzyła na mnie niepewnie i uśmiechnęła się z przymusem, jak zwykle w podobnych sytuacjach. Zaczęłam podejrzewać, że moja kuzynka jest nieco fałszywa.

- No cóż, moja droga, skoro tak mówisz, na pewno masz rację. Ale w taką pogodę ptaki siedzą w gniazdach. Pokażą się w swoim czasie... sama zobaczysz.

Kiwnęłam głową, chociaż bez przekonania, bo zabrakło mi argumentów. Wychowałam się w mieście, nie znałam się na wiejskich sprawach. Może Antonia miała rację, może nawet drozdy siedziały w domu podczas mrozów. Ale przecież tu nie było ptaków nawet wcześniej, zanim spadł śnieg i woda zamarzała na stawach. Nie potrafiłam odpędzić narastającej obawy, że Barras Hall i okolica mają w sobie coś nienaturalnego.

Tej nocy zamknęłam drzwi na klucz, jak tylko weszłam do pokoju. Znowu usiadłam do czytania, tym razem jednak nie zasnęłam i nie słyszałam żadnych kroków w korytarzu. W końcu położyłam się do łóżka i niemal natychmiast zmorzył mnie sen.

Zbudziłam się bardzo późno w nocy. Świeca się wypaliła i w pokoju panowała nieprzenikniona ciemność. Przez chwilę zdawało mi się, że na korytarzu znowu rozlegają się kroki, ale chociaż wyteżałam słuch, nic nie słyszałam. A potem dotarł do mnie jakiś dźwięk. Jakby dziecięcy śmiech, nagle urwany.

Usiadłam. Zrobiło się bardzo zimno i zaczęłam się bać.

- Kto tam jest?- szepnęłam.

Odpowiedziała mi tylko cisza. Bojaźliwie sięgnęłam po pudełko zapalek, które zostawiłam na nocnym stoliku. Zapaliłam jedną i podniosłam do góry. Pokój był pusty. Zapałka wypaliła się i zgasła.

W następnej chwili usłyszałam coś jeszcze. Początkowo nie potrafiłam tego określić. Skrobanie. Bardzo ciche. Nadsluchiwałam z napięciem, próbując ustalić, skąd dochodzi ten dźwięk. To na pewno mysz, pomyślałam z ulgą. A tamten wcześniejszy odgłos to pisk myszy. Nie bałam się myszy, widywałam ich mnóstwo w zmywalni Lincottów po zmroku.

Skrobanie trwało. Po kilku minutach musiałam przyznać, że to nie mysz. Dźwięk był zbyt miarowy, zbyt celowy. I teraz wiedziałam, skąd dochodził. Od strony okna. Przypomniałam sobie mój dawny sen, w którym widziałam Arthura w oknie, najpierw w środku, potem na zewnątrz, drapiącego w szybę. Myślałam wtedy, że to tylko sen. Teraz jednak słyszałam ten sam dźwięk na jawie. Po raz pierwszy, nie wiadomo

dlaczego, przemknęła mi przez głowę myśl, że Arthur nie żyje. Natychmiast odrzuciłam ten dziwaczny, głupi pomysł.

Skrobanie nie ustawało. Nie mogłam już tego wytrzymać. Zapaliłam następną zapalkę i wstałam z łóżka. Trzecią zapalką zapaliłam lampę naftową. Silniejsze światło natychmiast dodało mi otuchy. Wahałam się tylko przez chwilę, zanim podeszłam do okna i rozsunęłam kotary.

W tej samej chwili skrobanie ucichło. Zobaczyłam własne odbicie w szybie, widmową postać w białej koszuli nocnej, wlokącej się po ziemi, ze światłem w uniesionej ręce. Odstawiłam lampę na toaletkę, wróciłam do okna i przycisnęłam twarz do szyby.

Księżyc słabo świecił. Widziałam ogród w dole, nagi i obumarły, okryty cienką warstwą szronu, drzewa w oddali, majaczące jak cienie. Dostrzegłam jakiś ruch: coś sunęło po trawie, bardzo powoli i zdecydowanie, tuż przed fontanną. Mój oddech zamglił szkło.

Przetarłam szybę i spojrzałam znowu na miejsce, gdzie widziałam ruch. Niczego tam nie było. Wszędzie panował spokój.

15.

Przy śniadaniu nie wspomniałam ani słowem o tym, co widziałam i słyszałam. Ponieważ rano sama już nie miałam pewności, czy rzeczywiście cokolwiek widziałam albo słyszałam. Cień na trawniku to mogło być jakieś zwierzę, lis albo wiewiórka; w lasach i na polach żyły różne stworzenia, o których prawie nic nie wiedziałam.

Pogoda znowu się popsowała, siąpił drobny deszcz i zanosilo się na burzę. Siedzieliśmy w domu, Anthony w swoim gabinecie, Antonia i ja w salonie, gdzie malowałyśmy mdłe akwarele dzikich kwiatów skopiowane z książek. Deszcz lśnił na szybach, ogień trząsał i buzował, wysoki zegar tykał na kominku, a drugi przy drzwiach, świat wokół mnie wreszcie wydawał się spokojny, więc odsunęłam od siebie wszelkie

troski. Gdyby tylko Arthur był ze mną, pomyślałam, nic nie brakowałoby mi do szczęścia.

Około trzeciej zerwał się silny wiatr. Płomienie w kominku buzowały jak szalone, sadze sypały się z komina na palenisko, okna zaczęły irytująco postukiwać. Antonia podniosła głowę znad akwareli.

- Charlotte, kochanie, bądź tak dobra i domknij okna. Strasznie hałasują. A przy okazji zasuń zasłony, dobrze?

Siedziałam na niskiej otomanie przy oknie. Odłożywszy pędzel i paletę, podeszłam do okna i zaczęłam się mocować z haczykiem, którego Johnson albo Hepple nie zamknęły. W którymś momencie spojrzałam na ciemniejący ogród.

Chyba coś się tam poruszyło, w każdym razie coś przyciągnęło moją uwagę do miejsca prawie na drugim końcu trawnika, tam, gdzie kończył się ogród i zaczynały drzewa. Początkowo nie mogłam nic rozróżnić, ale po chwili zobaczyłam, że ktoś wychodzi spomiędzy drzew na trawnik. Była to kobieta albo dziewczyna, w długiej do ziemi, szarej sukience, z długimi, jasnymi włosami spływającymi na ramiona. Zbliżała się do nas dość prędko, nie biegła, ale jakoś się przesuwała w szybkim tempie. Kiedy przysunęła się bliżej, zobaczyłam, że jest całkiem młoda, w moim wieku albo niewiele starsza.

Odwróciłam się do Antonii.

- Kim jest ta młoda dama w ogrodzie?
- Nie rozumiem - odparła. - Jaka młoda dama?
- Sama zobacz. Ona idzie tutaj.

Nigdy w życiu nie widziałam, żeby ktoś tak zbladł. Antonia wstała i podeszła do okna, trochę niechętnie, pomyślałam. Kiedy znowu spojrzałam, nie zobaczyłam nikogo. Tylko zmierzch i uporczywa mżawka.

- Gdzie? - zapytała Antonia dziwnie ochryplym głosem. Mocno ścisnęła mnie za przegub ręki.

- No tam. - Pokazałam w stronę miejsca, gdzie po raz ostatni widziałam postać w szarej sukience. - Nie mam pojęcia, gdzie ona się podziała.

- Jak... jak ona wyglądała? Jak była ubrana?

Opisałam dziewczynę najlepiej, jak potrafiłam. Antonia odsunęła się od okna.

- Zasuń zasłony, dziecko, szybko.
- Dlaczego, o co chodzi, Antonio? Ty drzysz. Co się stało?

Dotarła już na środek pokoju i wyraźnie próbowała wziąć się w garść.

- Nic - uśmiechnęła się upiornie. - Nic się nie stało. Dlaczego tak myślisz? Po prostu zmarzłam i tyle. Pospiesz się z tymi zasłonami, czuję przeciąg.

Spełniłam jej polecenie i znowu usiadłam na otomanie.

- Wiesz, kim ona była? - zapytałam.
- Kto?
- No, ta dziewczyna w ogrodzie.

Udając brak zainteresowania, wzięła pędzel i zaczęła malować krótkimi, nerwowymi pociągnięciami.

- To na pewno córka Ringtona z Dolnej Farmy. On czasami ją tutaj przysyła z rachunkami dla Anthony'ego. Będzie musiała się pośpieszyć, jeśli chce zdążyć do domu przed nocą.

Tylko że dziewczyna szła w tę stronę, w stronę domu. I szybko, jakby biegła. Ale nie biegła. Nie powiedziałam nic więcej. Jednego byłam pewna. Cokolwiek widziałam na trawniku poprzedniej nocy, to nie była dziewczyna z Dolnej Farmy.

Tego wieczoru przy obiedzie - podejrzewałam, że za podpowiedzią siostry - Anthony opowiadał o gościu, którego przyjmował po południu.

- Młoda Clara. Jest już prawie kobietą. Niedługo Rington wyda ją za któregoś z miejscowych kawalerów.

Odwrócił się i uśmiechnął do mnie.

- Byłaś kiedyś na weselu, Charlotte?

Zaprzeczyłam.

- Więc musimy wyprawić Clarze piękne wesele. Zaprosimy całą wieś i wydamy ucztę na cześć młodej pary. W majątku nie było wesela, odkąd sięgnę pamięcią. Prawda, Antonio?

Antonia przytaknęła, ale nic nie powiedziała. Z jej postawy i milczenia przebijało napięcie. Przypomniałam sobie, jak natknęłam się na nią poprzedniego dnia, w sukni ślubnej, tonącą we łzach.

Później, kiedy wróciłam do pokoju, zastałam tam panią Johnson, która rozpałała ogień zgaszony przez burzę. Patrzyłam, jak wymiatała sadze z paleniska i wpychała pozostałe szczapy głębiej w płomienie. W pokoju unosił się zapach żywicy.

- Co to za dziewczyna ta Clara? - zapytałam.

Wyprostowała się i spojrzała na mnie ze zdziwioną miną.

- Clara? O kogo się panience rozchodzi?

- No, o Clarę Rington. Dziewczynę z Dolnej Farmy.

Twarz jej się rozjaśniła.

- Tamta Clara? No, rzadko ją widuję. Tępa z niej dziewczyna i gruba jak matka. I leniwa, jak mówią.

Ten opis wcale nie pasował do smukłej postaci w szarej sukience, którą widziałam na trawniku.

- Słyszałam, że ma bardzo piękne włosy - powiedziałam.

- Włosy?

- Ma długie, jasne włosy, prawda?

Pani Johnson pokręciła głową.

- A gdzie tam. Czarna jest jak sam diabeł ta Clara Rington. Cemu się panienka o nią rozpytuje?

- Och, nic takiego. Zdawało mi się, że dzisiaj ją widziałam, kiedy tu przyszła z wizytą.

- Z wizytą? - Gospodyni popatrzyła na mnie dziwnie. - Ależ nie, musiała się panienka pomylić. Dzisiaj nie mieliśmy żadnych wizyt. I jak mówię, Clara Rington jest ciemna, nie jasna.

- Więc kogo widziałam po południu w ogrodzie?

Johnson nie zbladła jak Antonia, widziałam jednak, że zmienił jej się wyraz twarzy i oczy skryły się pod powiekami. Opisałam dziewczynę z ogrodu najdokładniej, jak umiałam.

- Musiała się panienka pomylić - powiedziała tylko Johnson, kiedy skończyłam. - Nikogo takiego tu dzisiaj nie było. W deszczu zwidują się różne rzeczy. Przy takim świetle, po południu.

- Ale ja wyraźnie ją widziałam. Ona...
Gospodyni stanowczo pokręciła głową.
- Nie, panienko. Nikogo dzisiaj nie było w ogrodzie.
- Ale mówię pani, że kogoś widziałam...
- Proszę, panienko. Lepiej nic więcej nie mówić. Różne rzeczy człowiekowi się zwidują. Kiedy mój synek...

Wyprostowała się nagle, jakby powiedziała coś niestosownego, i ruszyła do drzwi.

- Wspomniała pani o swoim synu, pani Johnson. Nie wiedziałam, że pani ma dzieci. Czy on mieszka w pobliżu?

Chciała się wykręcić, ale jej nie pozwoliłam.

- Tak - przyznała głuchym głosem. - Miałam syna. Chłopiec w panienki wieku, śliczny chłopiec z głosem jak anioł. Śpiewał w chórze w Kirkwhelpington. On... umarł. Niedługo potem zostawił mnie mąż; nie było nikogo innego.

Głos jej się załamał i zawstydziałam się, że tak nietaktownie otwieram stare rany.

- Przepraszam, ja...
- Nie szkodzi, panienko. To było dawno temu. Jakoś to przebolełam.

- Co pani chciała o nim powiedzieć?

Zawahała się.

- Tylko... tylko że po jego śmierci czasami zdawało mi się, że go widzę. Tutaj w domu, w ogrodzie, w tych miejscach, gdzie go widywałam za życia. Ale to były urojenia, panienko. Urojenia i żal. Niedobra z nich para. Z czasem mi przeszło. Ale wiem, że człowiekowi zwidują się różne dziwne rzeczy. Jak to, co panience się zdawało, że dzisiaj widziała.

Nie odpowiedziałam. Patrzyła na mnie twardo przez chwilę, jakby rozdarta, jakby chciała powiedzieć więcej, ale nie miała odwagi.

W końcu się rozmyśliła.

- Niech panienka nie zapomni zamknąć drzwi na klucz, jak panience mówiłam. W nocy przyjdzie jeszcze gorsza burza. Niech panienka zamyka drzwi, to nic panienki nie obudzi.

Kiedy wyszła, przez długi czas siedziałam przy ogniu, słuchając tykania zegara i szelestu popiołów osypujących się z kraty paleniska. Na dworze wiatr się wzmagał. Słyszałam, jak szarpał korony drzew i uderzał w wysoki dach domu. Okno brzęczało bezustannie, a cienka zasłona od czasu do czasu wykonywała krótki, drżący taniec. Zimne przeciągi zakradały się do pokoju, bawiły się z płomykiem mojej lampy, budziły we mnie dreszcze.

Położyłam się zaraz po północy i zasnęłam znużona rozmyślaniami o dziewczynie, którą widziałam w ogrodzie i w sprawie której wszyscy mnie okłamywali. W środku nocy zbudził mnie głośny hałas. Usiadłam w łóżku i nasłuchiwałam. Wiatr był przeraźliwie i tłukł się wokół domu jak głodna bestia. Na zewnątrz znowu rozległ się hałas, donośny huk. Zapaliłam świecę i wygramoliłam się z łóżka. W pokoju panował lodowaty chłód. Ogień dawno zgasł. Na wpół śpiąca okryłam się szalem i poczłapałam do okna. Kiedy odsunęłam zasłonę, widziałam wszystko całkiem wyraźnie, ponieważ wiatr rozpedził chmury.

Na końcu zachodniego skrzydła znajdowały się stajnie. Zobaczyłam, że jedno skrzydło drewnianych drzwi urwało się z haka i wali o ścianę. Potem ktoś wyszedł z domu i ruszył przez podwórze w stronę stajni. Rozpoznałam Huttona, który niósł latarnię sztormową. Dokładnie zamknął drzwi i wrócił do domu. Znowu zapanował spokój, tylko wiatr rozgniewany, że mu przeszkadzają w pracy, dął jeszcze mocniej.

Myślałam, że wcale nie zasnę w tym okropnym hałasie, wśród przeciągów dmuchających przez każdą szczelinę w okiennej framudze. Lecz kiedy chciałam z powrotem zasunąć zasłony, spostrzegłam, że okno ma wewnętrzne okiennice. Z pewnością mogły stłumić hałas i zmniejszyć przeciągi.

Najpierw myślałam, że je przymocowano do ściany. Z pewnością nie otwierano ich od bardzo dawna. Ale wytężyłam wszystkie siły i zdołałam otworzyć jedno skrzydło. Wewnętrzną stronę pokrywała gruba warstwa kurzu i pajęczyn. Zardzewiałe zawiasy się zacinały, ale pchałam i ciągnęłam, aż ustąpiły i okiennica się obróciła.

Spodziewałam się takich samych kłopotów z drugim skrzydłem, lecz ku mojemu zdziwieniu otwarło się bez wysiłku, jakby regularnie go używano nie tak dawno temu. Zamknęłam okiennice i odwróciłam się od okna.

W tej samej chwili poczułam lodowaty powiew przeciągający przez sypialnię. Przypomniało mi się nagle zimno, które trzykrotnie poczułam w sali jadalnej. Jak tylko się rozwiął, uświadomiłam sobie, że coś słyszę. Ciarki mnie przeszły, bo zdawało mi się, że dźwięk rozlega się w pokoju. Ale po chwili zrozumiałam, że się myliłam, że ten dźwięk dobiega z korytarza. Żałosny płacz.

Stałam w całkowitym bezruchu i nasłuchiwałam z napięciem. Okiennice przytłumiły wycie wiatru. Nie myliłam się. Ktoś płakał bardzo cicho w sąsiednim pomieszczeniu. Zapaliłam lampę naftową na toaletce. Odetchnęłam głęboko, wzięłam lampę i podeszłam do drzwi. Jak najciszej przekręciłam klucz i uchyliłam drzwi odrobinę. W korytarzu było ciemno jak w grobie i bardzo, bardzo zimno, zimniej nawet niż w moim pokoju. Słuchałam uważnie, starając się ustalić, z której strony dochodzi płacz. Miałam wrażenie, że z lewej, gdzie znajdował się zamknięty pokój. Rozpaczliwe szlochy wznosiły się i opadały bez przerwy, jakby ktoś miał złamane serce.

Im dłużej słuchałam, tym większą miałam pewność, że płacze młoda kobieta albo dziewczyna w moim wieku. Ogarnęła mnie narastająca zgroza. Nogi ciążyły mi jak ołów; ledwie mogłam się ruszyć z miejsca, a jednak wiedziałam, że muszę iść dalej. Nie mogłam wrócić do pokoju i zostawić bez odpowiedzi pytania, które tłukło mi się po głowie.

Powoli, jak we śnie, podeszłam do miejsca, skąd odchodziła krótka odnoga korytarza. Rozciągała się przede mną, drżąca od cieni zbudzonych światłem lampy. Na końcu kilka stopni prowadziło do drzwi. Wszystko wyglądało tak, jak zapamiętałam, z jedną różnicą: drzwi były uchylone.

Płacz trwał, każdy szloch przejmował mnie mrozem do kości.

Drzwi pośród cieni zdawały się mnie wzywać. Chciałam uciekać, podkasać długą koszulę nocną i pobiec korytarzem z powrotem do mojego

pokoju, zamknąć za sobą drzwi na klucz i schronić się w łóżku. Ale wiedziałam, że nie mogę. Nie teraz.

Nie wiem, jak długo stałam tam, drżąca i przerażona. Wokół mnie cienie podskakiwały w górę i w dół, bo lampa trzęsła mi się w rękę. Pewnie wydaje się panu absurdalne, że coś tak zwyczajnego jak dziewczęcy płacz wzbudziło we mnie taki strach. Ale pana tam nie było, nie musiał pan patrzeć na ciemność za tymi drzwiami, nie musiał pan słuchać tego niekończącego się łkania.

Dużo czasu zabrało mi pokonanie krótkiej odległości, dzielącej mnie od schodów. Serce boleśnie łomotało mi w piersi, kiedy wchodziłam po stopniach. Na szczycie wychyliłam się do przodu.

- Kto tam jest? - zawołałam. - Co się stało?

W jednej chwili płacz się urwał. Nie ucichł ani się nie oddalił, po prostu ustał. Teraz powiedzielibyśmy: „jak za naciśnięciem guzika”.

I jednocześnie usłyszałam głos za plecami.

- Charlotte. Co ty tam robisz? Co ty sobie myślisz?

Odwrociłam się, serce biło mi dostatecznie głośno, żeby wypełnić nagłą ciszę. Antonia stała za mną ze świecą w rękę. Miała na sobie długą białą koszulę nocną, rozpuszczone włosy spływały jej na ramiona jak welon.

- Wiesz, która godzina? - spytała surowo.

- Ja... ja... - zająknęłam się. - Ja coś słyszałam.

- Słyszałaś? Co takiego słyszałaś?

- Jak to, nie wiesz? Musiałaś słyszeć. Ona tak głośno płakała. I tak długo. Na pewno jeszcze tam jest. Muszę ją znaleźć, muszę do niej pójść.

- Ktoś płakał? Ktoś tam jest? Co to za bzdury? Słyszałam tylko wiatr. Wiatr świszczący za oknami. Pomyliłaś wiatr z czym innym.

Zwinnie prześliznęła się obok mnie i zamknęła drzwi. W zamku tkwił klucz. Antonia przekręciła klucz, wyjęła go z zamka i zacisnęła w dłoni.

- Odejdź stąd natychmiast - rozkazała. - Przeziębisz się na śmierć.

- Ale... - spróbowałam jeszcze raz.

Bardzo chłodno spojrziała mi w oczy.

- Tam nic nie ma - oświadczyła. - Podmuch wiatru otworzył drzwi, a na dworze wyje burza. Przestań się oszukiwać, Charlotte. Wracaj do łóżka.

Nic nie mogłam zrobić. Szybko poszłam do mojego pokoju. Kiedy się odwróciłam, żeby zamknąć drzwi na klucz, coś musnęło mój policzek. Zupełnie jakby... ktoś dotknął mnie lekko ręką. Dotknięciu towarzyszył szelest, bardzo delikatny, jakby kobiecej sukni. A potem znowu tykał zegar. I wiatr za oknem zawodził w ciemnościach.

16.

Nie zasnęłam już tamtej nocy. Dobry Boże, wciąż pamiętam, jak siedziałam w półmroku, słuchałam wycia wiatru i bezustannie wyobrażałam sobie, że coś zaczyna się poruszać wśród cieni, że coś próbuje szeptać mi do ucha. Z powrotem otwierałam okiennice ze strachu, że jeśli zostawię je zamknięte, w pokoju nigdy nie zrobi się jasno.

Przed świtem wiatr przycichł i znowu usłyszałam ten płacz, teraz cichszy albo słabszy i jeszcze bardziej żaloszny, niż pamiętałam. Ucichł, kiedy pierwsze promienie słońca wpadły do pokoju. Może później zasnęłam na chwilę, ale naprawdę nie pamiętam.

Wkrótce ubrałam się, żeby się rozgrzać. W pełnym świetle dnia prawie przestałam się bać. Zdziwiająco, jak nasza potrzeba normalności potrafi przytłumić nawet najsilniejsze doznania czegoś strasznego lub niepojętego. Chwilami niemal wierzyłam, że Antonia mówiła prawdę, że rzeczywiście słyszałam tylko wiatr. I nikogo nie widziałam w ogrodzie poprzedniego dnia, tylko deszcz i ostatnie promienie zachodzącego słońca. Postanowiłam zapytać Antonię o ten incydent bez owijania w bawełnę.

Trochę przed ósmą, kiedy zwykle schodziłam na śniadanie, usłyszałam kogoś w korytarzu. Z zasady ani Johnson, ani Hepple nie przychodziły

tu tak wcześniej. Przypomniałam sobie, z jakim pośpiechem Antonia zamknęła na klucz drzwi pokoju nad schodami, i zaczęłam się zastanawiać, czy kroki, które właśnie usłyszałam, nie mają z tym czegoś wspólnego.

Pospiesznie, zbierając długie spódnice nad kostką, żeby nie wlokły się po podłodze, wymknęłam się z pokoju i skręciłam w stronę schodów. Ktoś zapalił światło trochę dalej. Na rogu, gdzie zaczynała się odnoga korytarza, przywarłam płasko do ściany. Teraz całkiem wyraźnie słyszałam hałasy dochodzące z głębi pasażu. Kroki i od czasu do czasu stuknięcie. Ktoś jednak tam był.

Ostrożnie wysunęłam głowę zza rogu. Samotna lampa paliła się u stóp schodów. Drzwi były uchylone i przez wąską szparę sączyło się miękkie światło dnia. Zbierałam się na odwagę, żeby tam pójść, kiedy drzwi się otwały. Po chwili w wejściu pojawiła się pani Johnson. Wydawała się zmęczona i poszarzała, poruszała się niemrawo, co mocno kontrastowało z jej zwykłą zwinnością.

Z mojego miejsca widziałam tylko, że niosła fajansową miskę nakrytą paskami białej tkaniny. Tkanina wydawała się mokra i poplamiona na czerwono. Pani Johnson odwróciła się, zamknęła drzwi za sobą i przekręciła w zamku klucz z wielkiego kółka, które zawsze nosiła ze sobą.

Widziałam już dość. Uciekłam na palcach do mojego pokoju, zanim gospodyni dotarła do głównego korytarza. Jej kroki przebrzmiały za drzwiami i stopniowo rozplynęły się w ciszy.

Dziesięć minut później zjawiłam się w pokoju śniadaniowym. Antonia czekała na mnie jak zwykle. Wyjaśniła, że Anthony musiał wyjść wcześniej, żeby ocenić szkody wyrządzone przez burzę. Pomyślałam, że wydaje się jakaś zgaszona. Oczywiście miała podkrążone. Widziałam już ją w takim stanie przy tych kilku okazjach, kiedy w jadalni zrobiło się zimno.

Nalała mi czekolady, gęstej i gorącej, do białej filiżanki z cienkiej sewskiej porcelany, którą przeznaczyła tylko dla mnie. Napelniwszy filiżankę, odstawiła *chocolatière* i uśmiechnęła się do mnie. Wyczułam, że to ją trochę kosztowało.

- Mam nadzieję, że zasnął bez trudu, moja droga. Kiedy wiatr cię tak niegrzecznie obudził.

Pokręciłam głową.

- Nie mogłam spać - odparłam. - Ten głos... ciągle słyszałam ten głos.

- Jaki głos?

- Ten, o którym ci mówiłam. Głos dziewczyny. Płakała, jakby jej serce miało pęknąć.

Antonia zmarszczyła brwi.

- Już ci mówiłam, Charlotte, nikt nie płakał. Tylko wiatr hałasował, jak często w tych stronach. Wybij to sobie z głowy.

- Ale ja to słyszałam! Nie wiatr, to nie mógł być wiatr. Słyszałam ten głos znowu, dużo później, kiedy wiatr ustał...

Popatrzyła na mnie dziwnie. Trudno opisać to spojrzenie. Wyrażało strach, litość i... obrzydzenie. Tak, chyba te trzy uczucia jednocześnie. A jednak, cofając się myślą w przeszłość, podejrzewam, że kierowała te uczucia bardziej na siebie niż na mnie. Ponieważ Antonia brzydziła się sobą najbardziej ze wszystkich. A strach odmierzał i kontrolował jej życie.

Odstawiła filiżankę, z której piła czekoladę. Bardzo powoli, z największą ostrożnością umieściła ją na kruchym spodeczku.

- Właściwie o co nas oskarżasz, Charlotte? Że ukrywamy kogoś w tym pokoju? Więżymy ją wbrew jej woli? Może jakąś wariatkę, jak żona pana Rochester w *Dziwnych losach Jane Eyre*? Tak myślisz?

- Ja... naprawdę nie wiem, co myśleć, Antonio. Skoro mówisz, że nikogo innego nie ma w domu, muszę ci wierzyć. Nie mogę wątpić w twoje słowa po wszystkim, co dla mnie zrobiłaś. A jednak wiem, co słyszałam.

- Skoro nalegasz, Charlotte. Nie mogę zaprzeczyć, że coś słyszałaś, ponieważ nie dasz sobie tego wyperswadować. Ale musisz się zastanowić, co mówisz, dziecko. Jeśli to, co słyszałaś, to nie był wiatr ani głos żywej osoby, pozostaje ci tylko jedna możliwość, prawda?

Spojrzała na mnie znacząco, jakby prowokowała mnie do wypowiedzenia na głos tego, co sobie myślałam. Ale wymówienie tego, ubranie tego w słowa przerastało moje siły.

- Myślę... - zaczęłam, potem spuściłam wzrok i schyliłam głowę.

- Myślisz, że dom jest nawiedzony, prawda, Charlotte? Że odgłosy, które słyszałaś zeszłej nocy albo zdawało ci się, że słyszałaś, wydawał duch. Że postać, którą podobno widziałaś wczoraj w ogrodzie, to była zjawa. Tak myślisz, prawda?

Spojrzałam na nią niemal z gniewem. Wypowiedziała słowa, które nie przeszły mi przez gardło. Twarz miała bladą i zaciętą, ale oczy rzucały mi wyzwanie, żebym zaprzeczyła. Bezradnie kiwnęłam głową. Zapadło długie milczenie. Słyszałam za plecami tykanie zegara.

- No cóż - powiedziała wreszcie Antonia - nietrudno to zrozumieć. To duży dom, dom pełen cieni. Wszędzie skrzypią deski w podłodze, wiatr gwizdże w kominach, przeciągi hulają po korytarzach. Mieszkam tutaj przez całe życie, nauczyłam się rozumieć ten dom. Ty jesteś tu nowa, o czym łatwo zapominam.

Podniosła filiżankę i wypła łyk.

- No dobrze, moja droga. Zdaje się, że muszę uspokoić twoją pobudzoną wyobraźnię. Po śniadaniu pójdziemy do tego tajemniczego pokoju i sama zobaczysz. Zapewniam cię, że nie znajdziesz tam uwięzionej męczennicy. Ani żadnego ducha.

Uśmiechnęła się, jakby dzieliła się ze mną dobrym żartem. Ale wyczuwałam w niej podskórny niepokój. Jak u kogoś, kto gwizdże w ciemności.

Śniadanie dobiegło końca w niezręcznym milczeniu. Po raz pierwszy zaczęłam się obawiać kuzynki, chociaż nie wiedziałam dokładnie, dlaczego. Nie wspomniałam, że widziałam panią Johnson wychodzącą z zamkniętego pokoju, ani nie zdradziłam się z podejrzeniem, że widziałam w jej rękach zakrwawione szmaty.

Skończywszy jeść, Antonia wstała.

- No i co, Charlotte, nadal chcesz zobaczyć nawiedzony pokój?

Niechętnie kiwnęłam głową. Wiedziałam, że cokolwiek tam było, teraz zniknęło. Ponieważ wcale nie byłam przekonana, że dźwięki, które słyszałam, rzeczywiście miały nadprzyrodzony charakter. A jeśli oni naprawdę kogoś więzili? A jeśli teraz pozbyli się tej osoby i usunęli z pokoju wszelkie ślady jej obecności?

W domu panowała cisza, jakiej dotąd nie znałam. Zupełnie jakby moje zmysły wyostrzyły się albo dostroiły do atmosfery zagrożenia, której początkowo nie dostrzegałam. Szybko weszłyśmy na górę, Antonia wyprzedzała mnie o kilka kroków. W pasażu było ciemno. Pani Johnson zgasiła światło. Powiało zimnem.

Antonia ponownie zapaliła lampę. Na szyi nosiła złoty łańcuszek, na którym wisiało kilka kluczy. Jeden pasował do drzwi pokoju. Przekreśliła go i powoli otworzyła drzwi. Serce biło mi szybko, jednak wiedziałam, że nic nie zobaczę.

Zimowe światło wpadało przez wysokie okna do pustego pokoju. Ponury, pozbawiony mebli, ściany miał pomalowane na wyblakłą biel i podłogę z gołych, niepolerowanych desek. Jedyne urozmaicenie tej pustki stanowił kominek na ścianie naprzeciwko. Chyba nie palono w nim od bardzo dawna. Żelazne kraty zabezpieczały okna od góry do dołu.

Nie potrafię dokładnie opisać, co poczułam, kiedy weszłam do środka za Antonią. Nie tyle rozpacz czy udrękę, ile raczej falę samotności, opuszczenia. Bardzo podobnie czułam się w dniu, kiedy zmarł mój ojciec, i w następnych dniach. Albo w tamtej okropnej chwili, kiedy weszliśmy z matką do przytułku. Przede wszystkim wtedy, kiedy pani Moss przyszła mi powiedzieć, że również moja matka nie żyje. Zupełnie jakby pokój działał niczym wzmacniacz najgorszych przeżyć mojego dzieciństwa.

- Widzisz - powiedziała Antonia, odwracając się do mnie - jest tak, jak mówiłam. Nikogo tu nie ma. Słyszałaś tylko wiatr.

- Mówiłaś mi, że to rupiecarnia - wytknęłam jej. - Mówiłaś, że jest zamknięta na klucz i trzymacie tu niepotrzebne rzeczy.

Na sekundę Antonia się stropiła. Widocznie zapomniała o swoim wcześniejszym wyjaśnieniu. Ale niemal natychmiast odzyskała rezon.

- Masz całkowitą rację. Ale odkąd tu zamieszkałaś, postanowiłam wprowadzić kilka zmian. Potrzebujesz lepszego pokoju do malowania. W tym pokoju jest doskonale światło, nawet w zimie. Pani Johnson wszystko stąd powynosiła. Zdaje się, że skończyła sprzątanie dzisiaj rano. Wkrótce pokój będzie gotowy na twoją pierwszą lekcję, jak tylko dostanę z miasta farby i inne rzeczy. Liczyłam, że zrobię ci niespodziankę, ale poniekąd mnie zmusiłaś, żebym przedwcześnie się wygadała. Nieważne. Na pewno będziesz tutaj bardzo szczęśliwa.

Nagle zamilkła. W następnej chwili ja też to poczułam - gwałtowny spadek temperatury. Dostrzegłam nagły strach w oczach Antonii.

- Chodź, Charlotte. Straciłyśmy już dość czasu. Mamy co innego do roboty.

Z tymi słowami chwyciła mnie za ramię i wyciągnęła za próg. Zamknęła drzwi na klucz i szybkim krokiem ruszyła do głównej części domu. Poszłam za nią, niespokojna i wytrącona z równowagi. Ze wszystkich uczuć, jakie wzbudził we mnie pusty pokój, najsilniejsze było uczucie dojmującej samotności.

17.

Przez resztę poranka nie mogłam się skoncentrować. Ani Antonia, jak zauważyłam. Chyba wiedziała, że jej nie uwierzyłam, że wciąż nurtowały mnie podejrzenia na temat tego, co się dzieje w Barras Hall. W naszych stosunkach zaszła zmiana, wyraźna zmiana na gorsze, niełatwa do naprawienia.

Przy lunchu Anthony opowiedział nam o zniszczeniach, jakie spowodowała burza w lesie. Wichura poprzewracała drzewa, osuwisko zatarasowało strumień, kilka budynków gospodarczych straciło cegły

lub dachówki. Słuchałam tej wyliczanki jednym uchem, bo nie znałam połowy miejsc, które wymieniał. Tylko jedna wzmianka przelotnie zwróciła moją uwagę.

- Musimy kogoś sprowadzić, żeby obejrzał pawilon - oświadczył Anthony. - Dach został uszkodzony. Spadła na niego gałąź i strąciła część kamiennego pokrycia. Obawiam się, że naprawa będzie sporo kosztować.

- Nie powinniśmy go raczej zburzyć, Anthony? I tak jest w fatalnym stanie.

Antonia miała rumieńce na twarzy. Piła wino do posiłku, co wcześniej robiła tylko przy obiedzie.

Anthony spojrzął na nią zbyt ostro, zważywszy na charakter pytania.

- Nie sądzę, Antonio. Przeciwnie, to chyba odpowiednia chwila, żeby go wyremontować. Zobaczymy, co powie Kettlewell.

- Wiesz, że on nie zgodzi się tutaj pracować. Ani jego ludzie.

Anthony rzucił mi szybkie spojrzenie i znowu odwrócił się do siostry.

- Zgodzą się, jeśli dostatecznie dużo im zapłacimy. To zwykli robotnicy, Antonio, zrobią wszystko za gotówkę. W ostateczności sprowadzę ludzi z Newcastle. - Przerwał na chwilę. - Po lunchu jadę prosto do Morpeth. Nie spodziewajcie się mnie przed obiadem. Ale nie czekajcie na mnie, jeśli się spóźnię; zawsze mogę zjeść sam.

Kiedy wyszedł, Antonia odwróciła się do mnie. Wino ją odprężyło. Uśmiechnęła się bladym cieniem tego zniewalającego uśmiechu, który przedtem przywoływała tak łatwo.

- Wiem, że jesteś zmęczona, Charlotte, po nieprzespanej nocy. Więc proponuję odwołać wszystkie nasze dzisiejsze lekcje. Tak się zastanawiałam. Często jesteś tu sama. Wiem, jakie to nudne dla dziewczynki w twoim wieku. Nie przywykłaś do wiejskiej ciszy. Wyraźnie czujesz się nieswojo. A ja nie mogę pozwolić, żeby moja kochana kuzynka źle się czuła. Potrzebujesz towarzystwa.

Spojrzałam na nią nierozumiejącym wzrokiem.

- Nie rób takiej zdziwionej miny, moja droga. Wszystko przemyślałam. Ubierzemy się ciepło i przejdziemy się po ogrodzie. Chcę zobaczyć na własne oczy te zniszczenia, o których opowiadał Anthony.

Pani Johnson przyniosła nasze okrycia i wyszliśmy. Wiatr oczyścił niebo z wczorajszych chmury, a deszcz zmył większość śniegu, Antonia jednak oznajmiła, że znowu śnieg wisi w powietrzu.

Przeszliśmy obok stajni do miejsca, którego jeszcze nigdy nie odwiedzałam. Stanowiło domenę Huttona: szopy na narzędzia, grządki z warzywami i psiarnie. Z daleka słyszałam szczekanie psów.

Hutton pojawił się jakby znikąd i na nasz widok uchylił czapki. Dołądził trzymałam się od niego z daleka, przez wzgląd na jego gburowate manieri i niechlujny wygląd.

- Panno Antonio, panienko Charlotte. Czym mogę służyć?

Hutton nigdy się nie uśmiechał. Oceniałam go na pięćdziesiąt parę lat. Małomówny, niezgrabny mężczyzna o kamiennej twarzy i krzaczystych brwiach. Podejrzywałam, że miał wybuchowy temperament. I chociaż zachowywał się służalczo wobec Anthony'ego i jego siostry, wyczuwałam w jego zachowaniu swobodę, która sugerowała źle maskowaną bezczelność. Hutton nie pozwalał sobą pomiatać. Zdało się niemal, że ma jakąś władzę nad moimi kuzynami albo że wszystkich troje łączy jakiś mroczny sekret.

- Hutton, twoja suka Sarah w zeszłym roku się oszczeniła, tak?

- Hm, no tak.

- Co się stało ze szczeniętami?

- Utopione, pszepani.

- Co, wszystkie?

Powoli pokręcił głową.

- Nie, nie wszystkie. Zatrzymałem dwa. Chce pani jednego?

- Nie dla mnie. Pomyślałam, że panienka Charlotte chciałaby pieska dla towarzystwa.

- To nie pieski pokojowe, panienko. Przyuczam je do pracy. Nie nadają się dla młodej damy.

- Jakiej rasy? Anthony chyba mówił, że to lurchery*.

* Lurcher - mieszaniec, wynik krzyżowania różnych odmian chartów z owczarkami (przyp. tłum.).

- Nie, pszepani. Springer spaniele. Żaden tam cymes, nic wielkiego. Nie mają rodowodu.

Antonia odwróciła się do mnie z uśmiechem.

- Nie przeszkadza ci, że nie mają rodowodu, Charlotte?

- Nie, skąd... oczywiście, że nie - wyjąkałam.

Nigdy nie miałam psa ani żadnego zwierzątka. Wszystkie moje strachy pierzchły w obliczu tak rozkosznej niespodzianki. Zgodnie z zamierzeniem Antonii.

- Obejrzyjmy je, Hutton. Nie każmy czekać panience Charlotte.

Zaprowadził nas do niskiej szopy obok sterty potłuczonych ogrodowych doniczek. Kiedy podeszliśmy bliżej, z szopy buchnęło piskliwe ujadanie. Hutton otworzył wąskie drzwi, schylił się i wszedł do środka. Po chwili wyszedł, niosąc pod pachami dwa szczeniaki spaniele, całkiem wyrośnięte.

- To jest suka - oznajmił, wskazując zwierzaka szamoczącego się pod jego lewym ramieniem. - A to pies.

- No, Charlotte, chyba masz wybór.

Ale ja już się zdecydowałam. Samiec miał czarną gwiazdkę na czole i wymowne oczy, które wbił we mnie. Wyciągnęłam po niego rękę.

- Mogę?

Hutton nie odpowiedział. Pozwolił mi wziąć psa jak worek kartofli. Był nieogolony i z bliska poczułam, że także nieumyty.

Szczeniak wiercił się przez chwilę, potem sięgnął wilgotnym nosem do mojej twarzy i zaczął mnie poszturchiwać. Roześmiałam się głośno i odsunęłam twarz. Ciepła sierść psa pachniała mocno i podniecająco.

- Ile on ma lat? - zapytałam.

- Rok - mruknął Hutton. - Mniej więcej.

- Jak go nazwiesz? - zapytała Antonia.

- Może on już ma imię.

Hutton pokręcił głową.

- Nie potrzebował imienia. Na razie. Niech go panienka nazwie, jak chce.

- Więc nazwę go Jasper.

Antonia popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

- Jasper? Skąd wzięłaś takie imię?

- Moja przyjaciółka Alice miała kota imieniem Jasper.

- Doskonale imię. Powiem Hepple, żeby przygotowała mu kącik w domu. Może spać w kuchni. Ale musisz go przyuczyć do porządku.

- Już przyuczony, panno Antonio. Nie miałem ochoty sprzątać po nim w szopie.

- Dobra robota, Hutton. I dziękuję. - Odwróciła się do mnie. - Powiedz „dziękuję”, Charlotte.

Podziękowałam Huttonowi. Zniknął w szopie z drugim psem, potem wrócił trzymając kawałek sznurka przywiązany do krótszego kawałka.

- Może panienka tego używać, zanim dostanie dla niego obrozę i smycz - powiedział. - On jest przyzwyczajony.

Wsunął obrozę na szyję Jaspera zadziwiająco zręcznym ruchem.

- Nie chowałem go na pokojowego pieska - powiedział. - Ale sprawi się dobrze, jeśli panienka o niego zadba i nie będzie go rozpieszczać. Jak będzie trochę starszy, niech go panienka do mnie przyprowadzi, to go wytresuję.

Wyprostował się.

- A teraz, za pani pozwoleniem, panno Antonio, mam dużo roboty. Ta burza narobiła niezłego bałaganu.

Poczłapał do swoich spraw i zostawił nas z Jasperem.

- No - powiedziała Antonia - co zrobisz ze swoim nowym przyjacielem? Zabierzemy go do domu?

Pokręciłam głową.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, Antonio, chciałabym go wziąć na spacer.

Przez chwilę spoglądała na mnie z powątpiewaniem, potem kiwnęła głową.

- Ależ oczywiście, on potrzebuje ruchu, skoro siedział zamknięty w tej starej szopie. Nie pójdę z tobą. Mam coś do załatwienia w domu.

Pocałowała mnie w oba policzki i odeszła. Zauważyłam, że ktoś ją obserwował z okna na piętrze.

Jasper natychmiast zrozumiał, co się szykuje. Kilkakrotnie obiegnął mnie dookoła, po czym nagle spróbował się wyrwać, szarpiąc zaimprovizowaną smycz. Zrobiłam pętlę na końcu sznurka i wsunęłam na przegub ręki. Pies nie był silny, ale ja nie przywykłam do zwierząt i początkowo nie potrafiłam nad nim zapanować. Szliśmy przez ogród w ślimaczym tempie; na każdym kroku Jasper znajdował nowe zapachy i miejsca do zbadania.

Z czasem nauczyłam się ciągnąć za smycz, żeby ruszył z miejsca, i zanim upłynęła godzina, zostaliśmy serdecznymi przyjaciółmi. Antonia wymyśliła genialny sposób na odwrócenie mojej uwagi. Jaspiera interesowało wszystko: korzeń, liść, stare ptasie gniazdo leżące na ziemi. Najmniejszy drobiazg mógł go pochłonąć bez reszty na dobrych parę minut. W lesie niemal wymykał się spod kontroli. Natrafiał na zapachy zwierząt, tropy królików i wiewiórek, ślady borsuków. Wobec jego entuzjazmu zapominałam o własnych lękach.

Popołudniowe słońce grzało tak mocno, że z wilgotnej ziemi podniosła się mgła. Początkowo nie zwracałam uwagi na lekkie białawe opary, snujące się wśród liści. Leo: z czasem mgła zgęstniała. Zawędrowaliśmy blisko rzeki, gdzie kłęby mgły na brzegach zbijały się w nieprzeniknioną zasłonę. Nie bałam się, że zabłądzę, ale pilnowałam, żeby nie oddalać się zbyt od ścieżki, choćby nawet jakiś fragment poszycia wydał się Jasperowi szczególnie atrakcyjny.

Potem bez ostrzeżenia, po jakimś wyjątkowo zaciekłym pościgu wokół kępy rododendronów, odkryłam, że naprawdę się zgubiłam. Nie martwiłam się zbyt, bo wiedziałam, że jeśli znajdę ścieżkę i pójdę nią, w końcu dotrę do znajomej okolicy. Antonia nauczyła mnie tego

podczas naszych pierwszych wspólnych spacerów. Jasper już się trochę zmęczył, więc szło nam się znacznie łatwiej. Był jeszcze taki mały, że mogłam go wziąć na ręce i ponieść, gdyby zdecydował, że na dzisiaj ma dosyć.

Moja pewność siebie zaczęła się rozwiewać, kiedy po dwudziestu minutach wciąż znajdowałam się na nieznanym terenie. Zrobiło się zimno i wilgotno, widocznie słońce chyliło się ku zachodowi. Poczulałam pierwsze ukłucie strachu na myśl, że jeśli szybko nie znajdę znajomej ścieżki, zmierzch może mnie zaskoczyć w środku lasu. Z niewiadomego powodu ogromnie mi przeszkadzał brak ptaków. Dlaczego wszystkie odleciały? Czy to jakiś wybryk natury, czy bardziej złowroge zjawisko? Ogarniał mnie narastający lęk. Udzielił się nawet Jasperowi, który przycichł. Parłam przed siebie, rozpaczliwie wypatrując jakiegoś śladu wskazującego na bliskość domu.

Poczulałam wielką ulgę, kiedy za zakrętem dostrzegłam zarysy pawilonu, przesłonięte zimowym listowiem i spowite mgłą. Chociaż nie lubiłam tego miejsca, wiedziałam, że pomoże mi znaleźć drogę, więc szybko podeszłam bliżej, żeby się rozejrzeć.

Znajdowałam się w odległości około trzydziestu jardów od świątyni, kiedy zorientowałam się, że Jasper ciągnie smycz. Piesek zostawał z tyłu, jakby nie chciał iść za mną. Przyzwyczajona już do jego zachowania po prostu szarpnęłam mocniej swój koniec sznurka i pociągnęłam psa w stronę pawilonu. Prawie wyszliśmy z lasu, tylko wąski pas trawy i niskich zarośli dzielił nas od ruin, kiedy Jasper stawiał zdecydowany opór. Zaczął skomleć i nie chciał zrobić ani kroku dalej. Kiedy obejrzałam się na niego, serce mi zamarło, ponieważ oczy miał rozszerzone ze strachu, uszy przypłaszczone do głowy i sierść zjeżoną na całym ciele.

- Co się stało, Jasper? Co jest? Co tam widzisz?

Tylko zaskowitywał najbardziej żałośnie i dalej mocno ciągnął za smycz. Nie miałam wątpliwości, że coś usłyszał albo zobaczył. Instynkt kazał mi zawrócić i uciekać razem z Jasperem jak najdalej od pawilonu. Lecz zwyciężyła obawa, że wtedy już całkiem się zgubimy.

Jasper leżał teraz rozplaszczony na brzuchu, skowycząc i zakrywając pysk przednimi łapami. Potem nagle zaczął warczeć i próbował się cofnąć. Po chwili całkowicie zamilkł. I w tej ciszy coś usłyszałam. Początkowo nie mogłam określić tego dźwięku, tak nikłego, ale kiedy wyteżyłam słuch, stopniowo rozpoznałam cichy chóralny śpiew. Słodkie, łagodne głosy. Dziecięce głosy. I chociaż takie słabe, dochodziły wyraźnie z wnętrza pawilonu.

18.

Nie śpiewały długo. Jedna chwila, najwyżej pół minuty, a potem cisza, która całkowicie wypełniła las. Śpiew ponownie zbudził we mnie uczucia z dzisiejszego poranka, te same wrażenia osamotnienia i opuszczenia, które mnie prześladowały w pustym pokoju. Przykucnęłam obok Jaspera, głaskałam go, szeptałam słowa pociechy, ani na chwilę nie spuszczać z oczu pawilonu, falujących zarysów ścian porośniętych bluszczem. Tylko mgła się poruszała. Chciałam odejść, uciekać z tego okropnego miejsca, ale coś mnie przykuło do ziemi.

Nagle usłyszałam odgłos otwieranych, a potem zatraskiwanych drzwi. Potem rozległo się charakterystyczne szczekanie klucza przekręcanego w zamku. Po chwili zobaczyłam postać wychodzącą z pawilonu. To była moja kuzynka Antonia.

Przez chwilę stała na stopniach, potem odwróciła głowę, kiedy za nią pojawił się ktoś jeszcze. Wstrzymałam oddech. To był Anthony. Podszedł do niej, pocałował ją delikatnie w szyję, a potem w usta. Nie delikatnie, wcale nie delikatnie, tylko gwałtownie i - co teraz rozumiem - z namiętnością, która mną wstrząsnęła. Nigdy nie widziałam, żeby kobieta i mężczyzna tak się obejmowali, żarliwość ich pocałunku wprawiła mnie w oszołomienie. W jakiś niepojęty sposób stałam się współuczestniczką. Nawet z tej odległości wyczuwałam ich wzajemną

potrzebę, chociaż w mojej ignorancji nie miałam pojęcia, co to naprawdę znaczy. Całowali się długo, potem rozdzielili się powoli i wreszcie odeszli, trzymając się za ręce, aż pochłonęła ich mgła.

Nadal siedziałam w kucki, z ręką na szyi Jaspera, zmieszana, zaskoczona, równie przestraszona zachowaniem moich kuzynów co śpiewem, który słyszałam wcześniej. Teraz wszędzie panowała cisza i cienie coraz bardziej gęstniały, więc wiedziałam, że pora wracać. Bez trudu znalazłam drogę, skoro już znałam swoje położenie.

Jasper znowu stał się sobą, jak tylko oddaliśmy się od pawilonu, chociaż był zbyt zmęczony, żeby dokazywać. Zmierchało się, kiedy wróciliśmy do domu. Pani Johnson przygotowała koszyk i miskę dla Jaspera w zmywalni. Początkowo odnosił się do nich nieufnie, ale po paru chwilach zwinął się w kłębek i zasnął smacznie. Zazdrościłam mu, że tak łatwo otrząsnął się ze strachu.

- Panna Antonia chce panienkę widzieć na górze - oznajmiła pani Johnson. Popatrzyła na mnie dziwnie, jakby próbowała przejrzeć moje myśli. Czyżby mnie przyłapała, jak ją szpiegowałam dziś rano?

- Zaraz przyjdę.

- Od dawna czeka na panienkę z herbatą.

To bynajmniej nie odpowiadało prawdzie i podejrzewam, że pani Johnson o tym wiedziała. Kiwnęłam głową i wyszłam, pożegnawszy się z Jasperem.

Antonina siedziała w salonie, przed rozłożonymi przyborami do herbaty.

- Herbata jest zimna jak lód, Charlotte. Gdzieś ty była?

- Zabłądziliśmy w lesie - odparłam. - Zrobiła się mgła. Jasper wszędzie biegał i musiałam go gonić.

Zmierzyła mnie ostrym spojrzeniem.

- Musisz go lepiej wytresować. Każę przysłać z Morpeth porządną smycz. No, na pewno jesteś głodna. Powiem pani Johnson, żeby przyniosła świeżej wody.

- Nie trzeba, Antonio. Jestem trochę zmęczona po spacerze. Jeśli pozwolisz, pójdę odpocząć do mojego pokoju.

- Proszę bardzo. Ale pamiętaj, że obiad jest o zwykłej porze. Dziś w wieczorem będziemy tylko we dwie.

W moim pokoju rozpalono na kominku, jak zawsze o tej porze dnia. Usiadłam w ulubionym fotelu i zapatrzyłam się w płomienie. Nie miałam wątpliwości, że moi kuzyni skrywają jakąś mroczną tajemnicę, ale jej natura i rozmiary pozostawały dla mnie zagadką.

Poczułam przeciąg dmuchający z boku. Okno nie było zasłonięte, ale na zewnątrz już się ściemniło, więc postanowiłam zaciągnąć zasłony. Kiedy przesuwiałam lewą zasłonę, zauważyłam coś na podłodze, tuż pod oknem, niemal niewidoczne. Schyliłam się i podniosłam małą, zakurzoną książeczkę, oprawioną w czerwoną skórę. W błysku olśnienia zrozumiałam, że widocznie wypadła z wąskiej przestrzeni za okiennicami, kiedy je zamykałam poprzedniej nocy. Zaciągnęłam zasłony do końca i wróciłam na fotel z książeczką.

Chustką do nosa starłam z grubsza kurz. Na okładce ani na grzbiecie nie było tytułu. Otwarłam tomik i zrozumiałam dlaczego: to był tylko notes, chociaż dość kosztowny. Większość stron pokrywało drobne, eleganckie pismo. Przerzuciłam kartki i mój wzrok padł na jedną linijkę:

„Teraz zamykam w nocy drzwi na klucz, ale kroki nie cichną i wciąż słyszę szepty, chociaż nikogo tu nie ma”.

Drżącą ręką zamknęłam książeczkę. Zupełnie jakbym czytała opis tamtej nocy, kiedy nasłuchiwałam kroków za moimi drzwiami, tymi samymi drzwiami. Nie wiadomo dlaczego wstałam i przekręciłam klucz w zamku, jak miałam zwyczaj robić dużo później, kiedy kładłam się spać. Zrozumiałam, co trzymam w ręku: pamiętnik. Pamiętnik, jeśli słusznie odgadłam, prowadzony przez kogoś, kto mieszkał w tym samym pokoju.

Przez długi czas siedziałam jak sparalizowana; nie mogłam się ruszyć, ledwie mogłam myśleć. Ten pamiętnik mnie przerażał. Z niewyjaśnionego powodu łączyłam go w wyobraźni z płaczem, który słyszałam tamtej nocy. Jeśli ktoś inny tutaj sypiał i spisywał swoje wspomnienia,

może się dowiem, czy również słyszał tamten płacz. A jeśli tak, przynajmniej się przekonam, że to nie był wytwór mojej wyobraźni.

Wreszcie zebrałam się na odwagę i zaczęłam czytać.

„W końcu przeprowadziłam się do zachodniego skrzydła. Mama mówi, że jestem już całkiem dorosła i muszę mieć własny pokój. To taki ładny pokój, ze śliczną błękitną tapetą, całą w róże. Z mojego okna widzę prawie cały ogród. Teraz w zimie wygląda dość ponuro, ale w lecie będę miała cudowny widok. Poproszę Huttona, żeby posadził kilka krzewów różanych tuż pod oknem, gdzie zobaczę je od razu każdego ranka.

Wczoraj tak się gorączkowałam, żeby wszystko przygotować do wielkiej przeprowadzki. To takie ekscytujące mieszkać w prawdziwym, dorosłym pokoju zamiast w pokoju dzieciennym. Znienawidziłam ten stary pokój dziecienny. W nowym pokoju najlepsze jest to, że mam własną szafę na moje sukienki. W zeszłym tygodniu pojechałyśmy do Morpeth na przymiarkę do madame Doubtfire. To taka śmieszna starowinka: nosi rudą perukę i okropnie różuje policzki. Mama uważa ją za raczej pospolitą, ale to najlepsza krawcowa w promieniu wielu kilometrów, więc wszyscy jakoś ją znoszą. Nie mogę się doczekać moich skarbów. Ona mówi, że będą gotowe przed świętami.

Postanowiłam pisać pamiętnik jak należy. Odtąd zamierzam prowadzić ogromnie interesujące życie. Tutaj bywa tak nudno. Rzadko mamy gości. I bardzo tęsknię za signoriną Rocca, chociaż czasami bywała surowa. Teraz mama sama daje mi lekcje, ale przez połowę czasu myśli o czym innym. Mówi, że dostanę nową guwernantkę po świętach, ale niełatwo znaleźć kogoś na poziomie, żeby zgodził się tu przyjechać. Żałuję, że nie mieszkamy bliżej Morpeth. Tutaj na wsi jesteśmy tak odcięci od świata.

4 listopada 1892. Muszę pilnować, żeby umieszczać daty przed każdym wpisem. Ten pamiętnik to prezent od wujka Anthony'ego, który mówi, że powinnam go wykorzystać do uporządkowania myśli”.

Przerwałam czytanie, bo moją uwagę przyciągnęła wzmianka o kimś imieniem Anthony. Zakładałam, że to mój kuzyn. Nikt mi nie wspominał o siostrzenicy. W istocie Anthony i Antonia nigdy nie napomknęli ani słowem o swojej rodzinie, z wyjątkiem ich matki i mojego ojca, którzy już nie żyli. Ani o rozłamanie pomiędzy nimi a moim ojcem, ściśle biorąc. Zapis w dzienniku pochodził sprzed prawie dziesięciu lat. Obliczyłam, że jeśli autorka była wtedy w moim wieku, teraz miałaby około dwudziestu pięciu lat. Czytałam dalej.

Wpis następował za wpisem, prawie codziennie aż do końca listopada. Życie mojej poprzedniczki wydawało się bardzo podobne do mojego: lekcje sztuki i muzyki z matką, spacer po ogrodzie albo po lesie, czytanie w bibliotece przez całe popołudnia. Miała jednak kuca imieniem Oliver i jeśli pogoda pozwalała, odbywała długie przejażdżki; często zapuszczała się nawet na wrzosowiska, chociaż matka surowo jej tego zabroniła. Czasami odwiedzały ją kuzynki zamieszkałe w Elsdon, ale były od niej młodsze i nie stanowiły interesującego towarzystwa. Wydawała się całkiem zadowolona z takiego stanu rzeczy, czasami jednak z jej słów przebijał straszliwy smutek. Uderzył mnie zwłaszcza jeden ustęp, datowany pod koniec listopada.

„Tak bardzo żałuję, że nie mam tu przyjaciółki, kogoś, z kim mogłabym dzielić się myślami. Mama się nie nadaje, ona chce tylko zakopać się na odludziu i pisać listy do przyjaciół, którzy nigdy nie przyjeżdżają. Mówi, że zostanę „wprowadzona w świat”, kiedy skończę osiemnaście lat. Ale to dopiero za trzy lata, licząc od przyszłego miesiąca, kiedy mam urodziny. Do tego czasu co mam robić? Wszyscy tutaj są dużo starsi ode mnie, a zresztą służba się nie nadaje. Potrzebuję kogoś w moim wieku. O tylu rzeczach z nikim nie mogę porozmawiać. Czasami czytam smutną historię i na koniec zalewam się łzami. Mama nie rozumie, a Anthony tylko mnie wyśmiewa. Albo wracam z przejażdżki na Oliverze i chcę im opowiedzieć, co nowego widziałam, ale oni okazują znudzenie, bo już to widzieli i to dla nich żadna nowość.

Boję się, że zanim wreszcie zacznę chodzić na bale i tak dalej, zestarzeję się wewnętrznie do tego stopnia, że nawet jeśli spotkam najbardziej przystojnego mężczyznę pod słońcem, nie poznam, czy go Kocham i czy on darzy mnie wzajemnością. Oddałabym wszystko, żeby wyjechać z Barras Hall zaraz, jutro, przy pierwszej sposobności. Ale wiem, że nigdy nie znajdę okazji i muszę tu zostać na zawsze. Nikt nie zechce się ze mną ożenić, jak z mamą”.

Zrobiło się zimno. Podeszłam do okna, myśląc, że to przeciąg, ale okno okazało się szczelnie zamknięte i zasłony dokładnie zaciągnięte. Wróciłam do ognia, wciąż jednak czułam zimno, ściskające za gardło. Drżałam i czytałam dalej.

„20 listopada. Dzisiaj pojechałyśmy do Morpeth na przymiarke pierwszych sukienek u madame Doubtfire. Mama i ja. Z jakiegoś powodu madame nie chce przyjeżdżać do Barras Hall. Mama mówi, że posprzeczały się z babcią, kiedy tu mieszkała. Szkoda, bo droga była okropnie błotnista i długa, i raz mało nie zjechaliśmy do rowu. Hutton za ostro powozi. Mówiłam mu o tym, ale nie słucha. Chociaż nie bije koni w mojej obecności, nie ma odwagi. W zeszłym tygodniu utopił trzy kociaki. Dowiedziałam się dopiero wczoraj, o wiele za późno, żeby coś zrobić. Nie mogę myśleć o tych biednych maleństwach w worku, wrzuconych do zimnej wody. Jak ludzie mogą być tacy okrutni? Mama mówi, że wieśniacy zawsze tak robią, ale uważam, że to żadna wymówka.

Po przymiarce mama znowu poszła do pani Manners na Copper Chase i zostawiła mnie »Pod Głową Królowej« z Huttonem, czego nie cierpię. Mama mówi, że spotkania z tą kobietą przynoszą jej ulgę, ale wolałabym, żeby tam nie chodziła. Podobno ona urządza seanse spirytystyczne, żeby wywoływać duchy,. Mama nazywają medium i mówi, że ona przekazuje jej wiadomości od zmarłych. Wcale mi się to nie podoba. Dostaję dreszczy na samą myśl o takich rzeczach, chociaż mama mówi, że to nic złego i tylko przynosi pociechę osieroconym osobom.

Sukienki są śliczne. Moja ulubiona to długa szara sukienka naszywana czarnymi paciorkami, z czystego jedwabiu. Z przodu ma piękną lawendową wstawkę. Madame Doubtfire mówi, że materiały przysłano specjalnie z Paryża”.

Przerwałam zmieszana. Szara sukienka z lawendową wstawką i czarnymi paciorkami! Z pewnością tę samą sukienkę nosiłam dwa dni temu, jedną z kolekcji, którą otrzymałam po przybyciu do Barras Hall. Oczywiście: autorka pamiętnika z nich wyrosła i zostawiła je, kiedy ją wreszcie „wprowadzono w świat”. Na pewno wkrótce potem wyszła za mąż i wyjechała, żeby zamieszkać z mężem, i zostawiła wszystkie swoje dziecięce rzeczy. Przynajmniej taką miałam nadzieję: że uciekła od nudnego życia na wrzosowiskach.

„Madame Doubtfire to taka zabawna kobiecina. Przypomina mi tę postać z Dickensa, Uriaha Heepa. Ciągłe obskakuje swoje klientki, »moje damy«, jak je nazywa, mizdrzy się i dyga unizenie przy każdej okazji. »Czy to panience odpowiada, panienko Caroline?« Albo: »Co za smukła figura, panienko Caroline. Zostanie panienka królową piękności na swoim pierwszym balu«.

Przy tym mam wrażenie, że ona się boi mamy. Dziwnie pomyśleć, że ludzie się jej boją. Często mi jej żal i wiem, że to trochę wstydliva sprawa, ponieważ nie mam ojca, ale nigdy nie budziła we mnie strachu. Babcia budzi strach, ale już z nami nie mieszka, dzięki Bogu. Od śmierci dziadka. Ale stara Doubtfire naprawdę skacze dookoła mamy, jakby tają mogła zjeść. »Bardzo przepraszam, panno Antonio« albo »Co ja najlepszego narobiłam, panno Antonio?«”

O mało nie wypuściłam pamiętnika z rąk. „Panno Antonio”? Czy to znaczyło...? Z pewnością nie mogło znaczyć, że Antonia miała córkę. Nie była zamężna. Widziałam ją w sukni ślubnej, ale... Całkiem inny chłód ścisnął mi serce. Antonia miała córkę dziesięć lat starszą ode mnie, córkę, o której nigdy nie mówiła. Wiedziałam dość, żeby zrozumieć, co to znaczy. Caroline była nieślubnym dzieckiem.

Podniosłam wzrok zaniepokojona, bo zdawało mi się, że coś usłyszałam za plecami, kaszel albo prychnięcie. Nic nie zobaczyłam. Zasłona chyba się poruszyła. Nie podeszłam do okna; jeśli to przeciąg, pani Johnson się tym zajmie. Powiem jej przy obiedzie.

Znowu zaczęłam czytać.

„22 listopada. Wczoraj nic nie napisałam w pamiętniku. To był trochę dziwny dzień. Mama była zmęczona po przedwczorajszej wyprawie do Morpeth. Anthony powiedział, że ma coś do roboty w majątku. W przyszłym sezonie chce sprowadzić tu przyjaciół na polowanie. Nawet go nie pytałam. Dlaczego nie mogą zostawić biednych ptaszków w spokoju? Pogoda trochę się poprawiła. Pojechałam na Oliverze galopem aż do Todrag Moss. W powrotnej drodze przejeżdżałam obok starego pawilonu. Zawsze dostaję gęziej skórki, gdy tam jestem, ale to najkrótsza droga przez las od strony Harwood, a Oliver był zmęczony. Prowadziłam go, żeby rozprostować nogi, i szliśmy dość powoli.

Wtedy stało się coś niesamowitego, ale wiem, że sobie tego nie wyobraziłam. Akurat kiedy mijaliśmy pawilon, Oliver stanął dęba i się wyrwał. Wydawał się przerażony, nigdy nie widziałam, żeby tak się zachowywał. Zwykle jest taki łagodny i potulny. Kopnął mnie, przewrócił na ziemię i pocałował w stronę domu, na szczęście trzymając się ścieżki. W pierwszej chwili trochę mnie zamroczyło. Zanim podniosłam się na nogi, on już znikł. Modliłam się, żeby nie uciekł daleko.

Nie miałam pojęcia, co go przestraszyło. Nic nie słyszałam i nie zauważyłam, żeby coś przebiegło mu drogę. No nic, pomyślałam, widocznie spłoszyła go wiewiórka. Czasami wyskakują na ścieżkę, chociaż to dziwne. Ale wtedy coś usłyszałam. W lesie panowała głęboka cisza i na pewno się nie myliłam. Usłyszałam... no, nie jestem całkiem pewna, ale to brzmiało jak śpiew. Chóralny śpiew, jakby kilkorga dzieci. Przez chwilę myślałam, że to śpiewają wiejskie dzieci, może ćwiczą kolędy. Ale to głupie, wieśniacy nigdy tu nie przychodzą, udają, że Hall jest »przeklęty«.

Właściwie zdawało mi się, że ten śpiew dochodzi z wnętrza pawilonu. Trwał przez jakieś pół minuty, potem ucichł. Urwał się nagle i znowu zapadła martwa cisza. Nigdy nie lubiłam pawilonu i nigdy nie byłam w środku, ale teraz podeszłam do drzwi i spróbowałam je otworzyć. Były zamknięte na klucz jak zwykle, żeby nikt się tam nie zakradał. Nie mogłam dalej stać i słuchać, kiedy Oliver się zabłąkał, więc ruszyłam za nim. Nie uciekł daleko, jak się okazało. Skubał trawę tuż obok ścieżki. Wyglądał całkiem normalnie, ale natarłam mu uszu, że tak mnie nastraszył. Zastanawiam się, czy on nie usłyszał tych głosów wcześniej ode mnie. Brzmiały trochę niesamowicie i mogły go spłoszyć”.

Dobry Boże, cała zlodowaciałam. Nie potrzebowałam przeciągów, żeby zmarznąć na kość. Ona też słyszała głosy. Dziesięć lat temu. Spłoszyły jej konia tak samo, jak przestraszyły mojego psa. Słyszała je w tym samym miejscu i przez taki sam czas. To nie przypadek.

W tej samej chwili znowu rozległ się płacz.

19.

Proszę - szepnęłam - proszę, nie płacz. Proszę, nie mogę tego znieść.

Ku mojemu zdziwieniu płacz ucichł, jakby mnie wysłuchano. Ale dokładnie w tej samej chwili wiedziałam, że coś innego jest nie tak. Nawet teraz nie mogę spokojnie myśleć o tym, co wtedy czułam. Byłam pewna, śmiertelnie pewna, że ktoś za mną stoi, ktoś, kto źle mi życzy. Obserwował mnie bez ruchu, bez mrugnienia, ze skoncentrowaną złośliwością. Dreszcz przeszedł mi po karku. O takich rzeczach czyta się w książkach i zawsze wydają się grubo naciągane, wręcz śmieszne; ale kto tego doświadczył na własnej skórze, ten wie, jakie to okropne.

Nie umiem powiedzieć, jak długo siedziałam, czując za plecami tę przerażającą obecność, przykuta do miejsca, niezdolna poruszyć nawet jednym mięśniem. To nie mogło trwać dłużej niż minutę, najwyżej dwie, bo dłużej na pewno bym nie wytrzymała. Ale wydawało się wiekiem, każda sekunda rozciągała się nienaturalnie. Pamiętam, że ścisnęłam poręczę fotela i zmuszałam się, wbrew wszelkim instynktom, żeby odwrócić się i spojrzeć na to, co mnie obserwowało.

I wreszcie się odwróciłam. Spodziewałam się jakiejś niewyobrażalnej potworności, ale nie zobaczyłam nic. Nikt za mną nie stał.

- O Boże - modliłam się - proszę, proszę, pomóż mi. Nie rozumiem, co tu się dzieje, ale potrzebuję Twojej pomocy.

W martwej ciszy poczułam się jeszcze bardziej nieswojo. Mój dobry Bóg widocznie był gdzie indziej, doglądał innych owieczek. W głębi duszy chyba rozumiałam, że On nie zgodzi się wejść razem ze mną do koszmaru, który zamykał się wokół mnie. Ale nigdy Mu nie wybaczyłam, że tak obojętnie opuścił mnie w potrzebie.

Ciągle jeszcze siedziałam w fotelu, kiedy usłyszałam kroki, a potem pukanie do drzwi.

- Pora na obiad, panienko. Panna Antonia mówi, żeby się panienka pospieszyła.

Głos pani Johnson tchnął taką normalnością, że na chwilę zapomniałam o jej uczestnictwie w wydarzeniach za drzwiami zamkniętego pokoju. Podniosłam się pospiesznie i przekręciłam klucz w zamku. Gospodyni stała w ciemnym korytarzu ze świecą w ręku.

Widocznie mój strach rzucił się w oczy, bo jak tylko mnie zobaczyła, na jej twarzy odmalowało się z troską.

- Czy panienka źle się czuje? Nic się nie stało, prawda?

Szybko pokręciłam głową. Nie ufałam jej i nie chciałam jej się zwierzać.

- Nie - skłamałam - nic takiego. Jestem tylko trochę zmęczona. Zasnęłam w fotelu.

Nadal badała wzrokiem moją twarz, ale o nic więcej nie pytała.

- Proszę zaczekać - powiedziałam. - Wezmę lampę.

Zamknęłam drzwi. Podeszłam do toaletki i po drodze wzięłam dziennik Caroline z fotela. Z jakiegoś powodu wołałam, żeby nikt nie wiedział, że go znalazłam. Pospiesznie wsunęłam go do szuflady toaletki i zamknęłam ją.

Pani Johnson ciągle na mnie czekała.

- Dlaczego panienka tak wcześnie zamknęła drzwi na klucz? - zapytała. - To się robi raczej przed snem.

- Czuję się zmęczona po spacerze i bałam się, że zasnę przy otwartych drzwiach.

Przystanęła i obejrzała się na mnie.

- Nie powinna panienka się przejmować. Jeśli panienka coś usłyszy. Albo... zobaczy.

- Usłyszysz? O co pani chodzi?

- Chyba już panienka wie.

Wydawała się bardzo zdenerwowana, jakby znowu o mało nie powiedziała więcej, niż powinna.

- Proszę, niech panienka dalej robi tak, jak mówiłam, i dobrze zamyka drzwi.

- Co to pomoże? Przecież nie przestanę słyszeć różnych rzeczy.

- Nieważne, panienko, proszę zamykać drzwi na klucz. I niech panienka to weźmie. Proszę to nosić.

Zdjęła z szyi mały srebrny krzyżyk na cienkim łańcuszku. Nie byłam przyzwyczajona do takich rzeczy i bardzo się zdziwiłam, że pani Johnson coś takiego nosi, ponieważ kojarzyło mi się raczej z katolikami. Wyczuła moje wahanie, ale wyciągnęła ręce i sama założyła mi łańcuszek na szyję.

- Proszę to schować pod suknią, panienko... żeby nikt nie zobaczył, ale żeby panienka go miała pod ręką. W razie potrzeby.

- Jakiej potrzeby?

Ona jednak tylko spojrzała na mnie ostro i poszła dalej.

Antonia czekała niecierpliwie przy stole.

- Charlotte, spodziewałam się ciebie na dole piętnaście minut temu. To już dwa razy dzisiaj kazałaś mi czekać.

- Przepraszam, Antonio. Zasnęłam przy kominku. Dzisiaj zrobiłam taki długi spacer. Obiecuję, że to się więcej nie powtórzy.

Nie dała się udobruchać, tylko wskazała mi miejsce. Po chwili pani Johnson wniosła zupę na tacy i zaczęłyśmy jeść.

Posiłek upłynął w napiętej atmosferze. Przez cały czas okropnie mnie korciło, żeby zapytać o Caroline, córkę Antonii.

- Co robiłaś, zanim się zjawiłam? - zapytałam. - Kiedy Anthony wyjeżdżał.

- Jadałam sama - odparła.

- Ale chyba nie zawsze mieszkaliście tylko we dwoje?

- Tak, od wyjazdu mojej drogiej matki. Po śmierci ojca nie chciała mieszkać w tym wielkim domu. Dlatego kupiła sobie willę w Morpeth.

- Kto tam teraz mieszka? - zapytałam, zastanawiając się, czy dom nie został przekazany Caroline.

- W tej chwili stoi pusty. W lecie poszukamy lokatorów. Nikt nie wynajmuje nieruchomości o tej porze roku.

- Nie macie żadnych innych krewnych, żeby tam zamieszkali?

Popatrzyła na mnie bardzo uważnie. Czyżby wyczuła, że coś wiem albo się domyślam? Niewykluczone.

- Nie - oświadczyła stanowczo. - Nie został nikt oprócz ciebie. I oczywiście twojego brata Arthura. - Zawahała się. - Nie chciałam ci tego mówić, Charlotte, przynajmniej na razie. Ale Anthony i ja rozważaliśmy... - Wbiła we mnie spojrzenie. - No więc, moja droga, rozważaliśmy, czy możemy cię adoptować. I naturalnie później Arthura, kiedy go znajdziemy. Czy rozumiesz, co mówię? Zamierzamy cię legalnie adoptować.

Zagapiłam się na nią z otwartymi ustami. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Nie musisz na razie nic mówić, moja droga. Potrzebujesz czasu, żeby przywyknąć do tej myśli. Ale mam nadzieję, że się ucieszysz. Nie będziesz już sierotą. A dla nas to tyle znaczy. Skoro nie mamy własnych dzieci.

Zupełnie jakby domyśliła się, co mi chodzi po głowie, i w żywe oczy wypierała się istnienia Caroline. Postanowiłam zaatakować bardziej bezpośrednio.

- Ale... - zaczęłam z wahaniem, wiedząc, że muszę zachować maksymalną ostrożność. - Gdybyś...

- Tak?

- Gdybyś wyszła za mąż? Na pewno jeszcze nie jesteś za stara, żeby mieć własne dzieci.

Coś pomiędzy uśmiechem a skrzywieniem przemknęło przez jej twarz.

- Mylisz się, dziecko. To całkowicie wykluczone, zapewniam cię. Nawet gdybym wyszła za mąż, jestem za stara na rodzenie dzieci. Ale tak czy owak, małżeństwo nie wchodzi w grę. - Urwała. - No, chyba jesteś już dostatecznie duża, żeby dowiedzieć się czegoś o mojej przeszłości. Byłam... - znowu się zawahała. - Byłam kiedyś zaręczona. Oszczędzę ci szczegółów. On był bogatym człowiekiem, ważnym człowiekiem, tylko tyle powiem. Wyznaczono datę ślubu, ogłoszono zapowiedzi, zaplanowano wesele, zarezerwowano kościół, rozesłano zaproszenia. A potem Simon... - Ból zagościł w jej oczach. - A potem bez ostrzeżenia, zaledwie parę tygodni przed ślubem, mój narzeczony zerwał zaręczyny. Napisał do mnie, że jednak nie może się ożenić. Tydzień później wyjechał do kolonii.

Głos jej się załamał i umilkła. Wpatrywałam się w nią i bałam się odezwać, a jednak desperacko pragnęłam zdobyć odpowiedzi na tak wiele pytań.

- Jak... jak dawno temu to było? - zapytałam.

Podniosła udręczony wzrok.

- Jak dawno? Dwadzieścia lat temu - szepnęła. - Bardzo dawno temu. Miałam siedemnaście lat.

Siedemnaście. Była tylko dwa lata starsza, niż ja będę za kilka tygodni.

Niedługo potem zjawił się Anthony i zaczął obiad, podczas gdy my kończyłyśmy. Wydawał się zmęczony i nieobecny duchem. Antonia i

ja wkrótce wyszliśmy do salonu i zostawiłyśmy go samego przy stole.

- Jesteś bardzo blisko związana z Anthonyem - zauważyłam.

- Tak, oczywiście. Między nami jest tylko kilka lat różnicy. Spędziliśmy razem całe życie.

Zawahałam się i znowu podjęłam temat.

- Dziwię się, że on się nigdy nie ożenił. Jest równie przystojny, jak ty piękna.

Moje słowa chyba jej pochlebily.

- Dziękuję za komplement, moja droga. Tak, masz rację, Anthony to atrakcyjny mężczyzna. Niejedna młoda dama wyplakiwała sobie przez niego oczy. Ale dopóki matka tutaj mieszkała, uważał za swój obowiązek opiekować się nią. A potem... a potem pozostał w kawalerskim stanie, żeby się mną opiekować. Poniósł wielką ofiarę. Ale staram się być dla niego pociechą.

- No - zaryzykowałam - wy dwoje jesteście prawie jak małżeństwo.

Spojrzała na mnie dość chłodno.

- Owszem - przyznała - tak to wygląda, prawda?

Wtedy wszedł Anthony.

- Czy nie powinnaś już leżeć w łóżku? - zapytał dość ostrym tonem.

Było jeszcze trochę za wcześnie, ale kiwnęłam głową. Życzyłam im obojgu dobrej nocy i poszłam do swojego pokoju. Dziennik Caroline nadal leżał w szufladzie, gdzie go schowałam. Usiadłam przy kominku i zaczęłam czytać od miejsca, gdzie przerwałam.

20.

Dwudziesty trzeci listopada. Wczoraj w nocy słyszałam coś za oknem. Jakby ktoś skrobał w szybę. Ale kiedy wyjrzałam, nikogo nie

zobaczyłam. Rano zapytałam mamę, czy słyszała kiedyś o duchach w Barras Hall, ale ona powiedziała, że jestem niemądra, i kazała mi bardziej się przykładać do modlitwy.

24 listopada. Znowu skrobanie. Obudziło mnie dwa razy. Nic nie mówiłam mamie.

27 listopada. Wczoraj w nocy słyszałam śpiew. Nie mogłam zrozumieć słów, były niewyraźne. To nie kolęda. Teraz już się boję, ale nie śmiem nic powiedzieć mamie ani wujkowi Anthony'emu.

28 listopada. Głosy w moim pokoju. Nie mogę zrozumieć, co mówią. Okropny strach przez całą noc i znowu skrobanie.

29 listopada. Teraz w nocy zamykam drzwi na klucz, ale kroki nie cichną i wciąż słyszę szepty, chociaż nikogo tu nie ma. Dobry Boże, spraw, żeby to ustało. Chyba tracę rozum.

3 grudnia. Teraz zaczęli już w dzień. Boję się zostać sama i spędzam każdą chwilę z mamą. Wczoraj stary człowiek znowu był na schodach.

Mama mówi, że z okazji moich urodzin urządzimy wielkie przyjęcie. Próbuję się na tym skupić, żeby nie myśleć o innych rzeczach.

To już za dwa tygodnie, ale chyba nigdy nie doczekam do osiemnastego”.

Osiemnasty. Popatrzyłam na kartkę z niedowierzaniem. To była data moich urodzin. Przypadały za niecały tydzień. Nagle przypomniałam sobie, jak często Antonia mówiła o moim przeznaczeniu. Czy to miało coś wspólnego z jej córką? Ubierała mnie w jej sukienki i domyślałam się, że wiele innych rzeczy, które dostałam, również należało niegdyś do niej. Dzisiaj wieczorem wspomniała o adopcji. Miałaby dwie córki, obie urodzone w tym samym dniu. Ona i Anthony zajęliby miejsce moich rodziców, a ja zajęłabym miejsce Caroline... Z narastającą zgrozą zaczynałam rozumieć. Pamiętałam, jak Antonia i jej brat wyszli razem z pawilonu, jak ją pocałował, jak odeszli trzymając się za ręce.

Czyżby Anthony był ojcem Caroline? Bóg jeden wie, że niewiele rozumiałam z takich spraw. Ale nie mogłam odrzucić takiej możliwości.

Oraz innej możliwości, która teraz wdarła się w moje myśli: że Caroline nie żyje. Że umarła i... nie mogłam dalej podążać za tą myślą. Pospiesznie wróciłam do pamiętnika.

„5 grudnia. Znowu ten starzec. Zeszłej nocy był w moim pokoju, nie widziałam go, ale wiem, że tam był i mnie obserwował. Kiedy go widzę na schodach, w jego oczach jest taka nienawiść. Boję się go najbardziej ze wszystkich. Wiem, że chce mi zrobić krzywdę, i nie wiem, jak się przed nim bronić.

W domu są dzieci. Wczoraj słyszałam, jak śmiały się na schodach od tyłu. Teraz staram się chodzić tylnymi schodami, żeby unikać starego człowieka. Myślę, że to te same dzieci, których śpiew słyszałam w pawilonie i później w ogrodzie. Czego one chcą?

10 grudnia. Wczoraj w nocy zobaczyłam coś na trawniku. Długo patrzyłam, jak pełzło przed siebie, powoli jak żółw. Z daleka nie widziałam tego dokładnie, ale wydawało się czarne i długie na jakieś półtora metra. Miało ręce i nogi, chociaż nie jestem pewna ile. Podejrzewam, że jest tam każdej nocy, tylko go nie widzę, kiedy jest za ciemno.

11 grudnia. Wczoraj w nocy znowu tam było. Przesuwało się w stronę domu. Chyba było bliżej niż poprzedniej nocy. Niewiele już brakuje, żeby dotarło do budynku. Bóg nie wysłuchał moich modlitw.

Zapytałam mamę, czy mogę zaprosić wielbego Watkinsa, ale powiedziała, że on tu nie przyjdzie. Z powodu jakiejś starej kłótni. Postanowiłam pojechać jutro do wioski na Oliverze. Muszę z kimś porozmawiać.

On znowu był dzisiaj na dawnym miejscu. Ciemniejszy i bardziej materialny za każdym razem, kiedy się pojawia. Nieważne, dokąd pójdę, zawsze mnie znajduje.

12 grudnia. Dzisiaj widziałam się z pastorem. To młody człowiek, dopiero od dwóch lat w parafii. Zapytałam go o kłótnię, ale on nic nie wie na ten temat. Siedział i słuchał, kiedy opowiadałam mu o wszystkim, co widziałam i słyszałam. Najpierw chyba uważał, że jestem niepełna rozumu, ale po jakimś czasie zrobił się bardzo milczący. Zadawał mi wiele pytań, a na koniec rozmawiał ze mną całkiem szczerze. Powiedział, że mojemu życiu może zagrażać niebezpieczeństwo, jeśli zostanę w Barras Hall. Kiedy go zapytałam, dlaczego, odpowiedział tylko, że słyszał różne rzeczy o naszym domu, od najstarszych parafian. Naciskałam go o szczegóły, ale twierdził, że nic więcej nie wie, tyle że dom ma złą sławę w okolicy. Jestem pewna, że on wie coś więcej. Przynajmniej obiecał złożyć nam wizytę.

Matka zapytała, gdzie byłam. Powiedziałam, że u kowala, żeby naprawić jedną podkowę Olivera. Wyglądała tak, jakby mi nie uwierzyła, ale nic nie powiedziała. Ona i wuj Anthony ostatnio ciągle są razem.

W nocy hałasy. Teraz żadna noc nie mija spokojnie. Stwór w ogrodzie dotarł prawie do muru. Coś chodzi po korytarzu za drzwiami mojej sypialni. Słyszę, jak szeleści. Czy wystarczy zamykać drzwi na klucz?

13 grudnia. Dzisiaj przyjechał wielebny Watkins, ale mama go przepędziła, jakby był samym diabłem, a nie sługą Bożym. Odgadła, że u niego byłam. W końcu wszystko jej powiedziałam. Patrzyła na mnie jak na wariatkę i chyba naprawdę uważa, że zwariowałam.

Przy obiedzie wuj Anthony zakazał mi opowiadać o moich »przywidzeniach«, jak to nazwał. Inaczej będą musieli wziąć mnie pod klucz. Po drodze do pokoju zauważyłam - och, proszę, niech mi ktoś pomoże - że w drzwiach małego pokoiku na szczycie schodów, obok mojej sypialni, założono nowy zamek. Widziałam tam wczoraj panią Johnson. Ucieknę jutro, jeśli zdołam. Wielebny Watkins mi pomoże.

Nic w ogrodzie. Myślę, że to już jest tutaj. W domu. Czeka mnie długa noc. Dzisiaj wieczorem widziałam go w korytarzu obok mojego pokoju”.

Tak kończył się ostatni wpis. Reszta kartek była pusta. Siedziałam drżąca, zlodowaciała ze strachu. Najbardziej na świecie pragnęłam uwierzyć, że Caroline uciekła, jak planowała. A jednak pamiętnik, który trzymałam w ręku, stanowił dowód na coś przeciwnego. Ponieważ Caroline z pewnością nie zostawiłaby go, nawet w bezpiecznym schowku. Chyba że...

Pozostawała mi jedynie nadzieja, że sposobność ucieczki nadarzyła się nieoczekiwanie i Caroline nie miała czasu martwić się o takie błahostki jak pamiętnik czy sukienki. Zastanawiałam się, czy zabrała Olivera, czy to na nim uciekła.

A jednak, chociaż bardzo chciałam wierzyć w ucieczkę Caroline, w głębi serca wiedziałam, że to mało prawdopodobne. Tamtego wieczoru pisała w pamiętniku, który później schowała jak zwykle za okiennicą, żebym go znalazła po tylu latach. Następnego dnia coś się stało i już nigdy nie wróciła do swojego pokoju. Pomyślałam o tamtym drugim pokoju, tym z zakratowanymi oknami, i o pogroźce Antonii, że weźmie córkę pod klucz. Czy to jej płacz słyszałam?

Uderzyła mnie straszliwa myśl. A jeśli trzymali ją w zamknięciu aż do tej pory, samotnego więźnia w tym okropnym pokoju, pod strażą pani Johnson? To by wiele wyjaśniało. Może Caroline rzeczywiście oszalała, może wyobraziła sobie to wszystko, co rzekomo widziała albo słyszała. A może - wzdrygnęłam się na tę myśl - wypuszczano ją z celi w nocy, żeby zażywała ruchu, podczas gdy Antonia spała. Te kroki, które słyszałam za drzwiami, czy to były jej kroki? To wyjaśniałoby naleganie pani Johnson, żebym zamykała drzwi na klucz. Caroline mogła wykazywać skłonności do przemocy. Stąd krew, którą widziałam na tych białych szmatkach. I czy to możliwe - znowu się wzdrygnęłam - że postać, którą widziałam w ogrodzie tamtego dnia, młoda dziewczyna w szarej sukience, to była właśnie Caroline, wypuszczona przez pomyłkę?

To wyjaśnienie, chociaż na swój sposób niepokojące, trochę mnie podniosło na duchu. Rozmyślnie odepchnęłam od siebie własne wspomnienia o głosach śpiewających w pawilonie i ciemnym kształcie

pełznącym wolno przez trawnik.

Żeby jeszcze bardziej dodać sobie animuszu, postanowiłam osobiście zwrócić się do wielebnego Watkinsa. Pani Johnson z pewnością wiedziała, czy on nadal był pastorem w Kirkwhelpington. A jeśli od tamtego czasu go przeniesiono, co wydaje się całkiem możliwe, nowy pastor na pewno zna jego miejsce zamieszkania, adres, na który mogę wysłać list zawierający pytania.

A jednak z chwilą, kiedy przestałam się martwić o Caroline, opadły mnie mroczniejsze myśli. A jeśli ona naprawdę uciekła? Jeśli pastor ją stąd przeszmułował i teraz mi powie, że ona mieszka w innej części kraju, cała i zdrowa, prawdopodobnie zamężna, jak początkowo sobie wyobrażałam? Jeśli Caroline nie zwariowała i nigdy nie więziono jej w tym pokoju, czyj płacz w takim razie słyszałam? Kogo widziałam w ogrodzie? I co takiego Caroline widziała i słyszała w Barras Hall przed wielu laty?

Gonitwa myśli nie pozwalała mi zasnąć dłużej niż zwykle, w końcu jednak, wyczerpana spekulacjami umysłowymi i wysiłkiem fizycznym, rozebrałam się i wśliznęłam do łóżka. Sen nadszedł szybko.

Zbudziłam się w głębokich ciemnościach. Nie wypłynęłam na jawę powoli jak zwykle, tylko gwałtownie, niemal bez żadnego przejścia pomiędzy jednym a drugim stanem. Jeszcze przed sekundą spałam, a teraz leżałam całkiem rozbudzona w ciemnym pokoju. Ważne, żeby pan to zrozumiał, doktorze, że nie spałam. To, co zdarzyło się potem, wcale mi się nie przyśniło.

Wiedziałam z absolutną pewnością, tak jak wcześniej, że ktoś jest ze mną w pokoju. Nie słyszałam żadnego dźwięku, nawet oddechu, ale wiedziałam, że nie jestem sama. Leżałam przez długą chwilę i najokropniejsze myśli przechodziły mi przez głowę. Wreszcie nie mogłam już wytrzymać. Cokolwiek z tego miało wyniknąć, musiałam zapalić światło, żeby zobaczyć mojego gościa.

Na małym stoliku po prawej stronie łóżka zawsze trzymałam świecę i pudełko zapalek. Ostrożnie sięgnęłam w tamtą stronę. Macając po

ciemku, dotknęłam czegoś miękkiego i nieznanego. Serce prawie przestało mi bić. Ponownie wyciągnęłam rękę, wzdragając się przed tym dotykiem. I wtedy zrozumiałam, co mam pod palcami. Ludzkie włosy, długie i gęste, tuż przy krawędzi łóżka.

Wrzasnęłam głośno i oderwałam dłoń. Gorączkowo przetoczyłam się na drugą stronę łóżka, wyplątałam się z koców i prześcieradeł, wreszcie spadłam na podłogę. Mój umysł przestał funkcjonować, ogarnęła mnie ślepa, zwierzęca panika, wywołana tym jednym ohydny dotknięciem. Leżałam w ciemności jak ogłuszona, krańcowo przerażona, niezdolna do myślenia ani działania.

Po drugiej stronie łóżka rozległ się wyjątkowo nieprzyjemny szeleszczący dźwięk. Nawet teraz, po tylu latach, ciągle go słyszę, jeśli z głupoty czy przez nieuwagę pozwalam myślom błądzić. Nie potrafię go opisać wystarczająco dokładnie. Suchy, owadzi, pylisty szmer, jakby coś dawno zmarłego żyło i się poruszało. I podkładało się coraz bliżej. Trwożnie przesuwałam się do tyłu po podłodze, aż uderzyłam plecami o coś twardego i kanciastego.

Zorientowałam się, że to noga mojej toaletki. W następnej chwili przypomniałam sobie, że na blacie wciąż stoi lampa naftowa. Znalazłam się przed niewyobrażalnym wyborem: mogłam siedzieć w ciemnościach i słuchać, jak ten horror powoli się zbliża; albo mogłam zapalić lampę i spojrzeć mu prosto w twarz. Obie perspektywy napawały mnie przerażeniem.

Lecz oczekiwanie w ciemności, aż to coś mnie dopadnie, przerastało moją wytrzymałość. Niezdarnie podniosłam się na nogi i namacałam zapalnik na zwykłym miejscu obok lampy. Wystarczyła chwila, żeby pocieraniem zbudzić światło. Drżącą ręką podniosłam klosz i przytknęłam płomyk do knota.

Odróciłam się, przygotowana na najgorsze. Migoczący płomień lampy rzucał chybottliwe światło na pokój. Cienie skakały po ścianach, a potem znieruchomiały. Nic nie zobaczyłam. Szeleszczący dźwięk ucichł, pokój był pusty.

Potem nagle dostrzegłam coś kątem oka. Odwróciłam głowę i zobaczyłam ją: młodą kobietę w szarej sukni, wpatrującą się we mnie z napięciem. Po sekundzie zakrył ją cień. Kiedy znowu spjrzałam, nikogo tam nie było.

21.

Następnego ranka Jasper czekał na mnie w kuchni, pełen energii, gotów do spaceru. Wyszłam z nim po śniadaniu. Cokolwiek, byle się wyrwać z tego domu. Antonia wydawała się roztargniona i nie miała czasu na lekcje. Przyjęłam to z ulgą, ponieważ wiedząc to, co wiedziałam, nie czułam się dobrze w jej towarzystwie. Przy lunchu Anthony poinformował mnie, że są nowe wiadomości o Arthurze i że nadal spodziewają się go znaleźć przed świętami. Po raz pierwszy zaczęłam podejrzewać, że nie mówił mi całej prawdy.

Wydarzenia z poprzedniej nocy odcisnęły piętno na moich myślach, niczym uporczywe wspomnienie sennego koszmaru, tylko znacznie bardziej realne. Coraz bardziej dręczyło mnie pytanie, co się stało z Caroline i czy mnie również czeka podobny los. Ale jaki właściwie spotkał ją los?

Po lunchu, kiedy karmiłam Jaspера w kuchni, zapytałam panią Johnson, co jej wiadomo o pastarze.

- Pastor, panienko? Do czego panience potrzebny pastor?

Skłamałam najlepiej, jak umiałam.

- Chcę go zapytać, czy pozwoli pochować moją matkę na cmentarzu w Kirkwhelpington. Nie mogę myśleć o tym miejscu, gdzie ją pogrzebali. Wrzucają ich do dołu z niegaszonym wapnem.

Przyjrzała mi się z lekkim zdziwieniem.

- Pastor na pewno nie ma tu nic do powiedzenia. Musi panienka się zwrócić do odpowiednich władz.

- Ale on powinien wiedzieć, czy to możliwe.
- Pytała panienska sir Anthony'ego? On ma prawników i takich różnych, co mogą się dowiedzieć.
- Nie chcę mu sprawiać kłopotu. Może pastor jej nie przyjmie. Nie była z jego parafii.

Pani Johnson milczała przez chwilę. Podejrzywałam, że nie chciała dopuścić do mojego spotkania z pastorem.

- No, skoro panienska sobie umyśliła ją przenieść, zawsze może ją panienska pochować tutaj. Przy domu.

- Przy domu? Nie rozumiem.

- Dawniej w Barras Hall była kaplica, wiele lat temu. Za czasów pradziadka sir Anthony'ego, zdaje mi się. Został jeszcze cmentarzyk obok miejsca, gdzie stała kaplica. Tam są wszystkie rodzinne grobowce. Na pewno panienska tamtędy przechodziła.

Pokręciłam głową.

- Nie. Gdzie to jest?

- Niedaleko pawilonu, panienko. Za mostkiem trzeba skręcić ze ścieżki i przejść jeszcze kawałek. Wszyscy Ayrtonowie są tam pochowani od niepamiętnych czasów. Sir Anthony na pewno nie będzie się sprzeciwiał, żeby pochować tam matkę panienski razem z innymi. Tak bardziej wypada.

- Zapytam go. Dziękuję, Johnson.

Ale już odgadłam, że miała na myśli ruiny, miejsce, przed którym ostrzegęła mnie Antonia, chociaż nie wspominała ani słowem o rodzinnych grobowcach.

Jasper skończył jeść. Powiedziałam, że zabiorę go na parę minut do ogrodu. W drzwiach odwróciłam się jeszcze do pani Johnson.

- Czy on czasem tutaj przychodzi?

- Kto, panienko?

- Pastor. Na pewno czasami odwiedza Barras Hall. To największy dom w okolicy.

Powoli pokręciła głową.

- Nie, panienci kuzyni nie chodzą do kościoła. Ich matka, zmarła lady Ayrton, miała w swoim czasie... sprzeczkę z pastorem. Nie pokażą się tam ani on tutaj.

- Szkoda - westchnęłam. - Rodzice zabierali mnie do kościoła co niedziela. Podobały mi się niektóre hymny. Jak się nazywa pastor? Jeśli będę w wiosce, chciałabym go odwiedzić.

- Nazywa się Collins. Widziałam go raz, czy dwa, kiedy załatwiałam sprawy we wsi. Taki wymoczek w okularach. Żaden z niego mężczyzna i pastor też nie lepszy, daję głowę. Nie warto marnować na niego czasu.

- Od dawna tu jest?

- Wielkie nieba, tyle pytań! Mam robotę, panienko, gdyby panienka nie zauważyła. Nie, Collins jest nowy. Mieszka tu dopiero kilka lat. Przed nim był Watkins, ale wyjechał. Podobno do wielkiej parafii w Yorkshire. Albo w Lancashire. Gdzieś w tych stronach.

Urwała.

- Po co ja tyle paplam? Niech panienka sobie idzie. I zabiera tego psa; przez cały ranek plątał mi się pod nogami. Powinien mieć porządną budę na dworze.

Tego popołudnia napisałam długi list do wielebnego Watkina, zaadresowałam: „Za pośrednictwem wiel. Collinsa, plebania, Kirkwhelpington” i dołączyłam krótki liścik, w którym błagałam nowego pastora, żeby wysłał to natychmiast do swojego poprzednika. Listonosz miał się zjawić następnego ranka - odwiedzał nas dwa razy w tygodniu - więc postanowiłam czatować na niego i wręczyć mu moje pismo do rąk własnych. Zostało mi w szufladzie kilka znaczków z tych, które dostałam od Antonii jakiś czas temu, kiedy pisałam listy do Annie i kilku innych przyjaciółek, prawdopodobnie wciąż przebywających w przytułku.

Wsunęłam zaklejony list do kieszeni sukienki, w którą miałam się przebrać wieczorem do obiadu, ponieważ bałam się, że jeśli pani Johnson go znajdzie, nabierze podejrzeń. Zamiast siedzieć w pokoju, w zapadającym zmierzchu, postanowiłam trochę wcześniej wziąć kąpiel.

Jedyna nadająca się do użytku łazienka w domu znajdowała się nad kuchnią. Miała ściany wyłożone ciemną drewnianą boazerią, a pośrodku stała ogromna wiktoriańska wanna, do której opuszczano się za pomocą mosiężnych uchwytów. Nie znosiłam jej, bo była zimna i ciemna, w przeciwieństwie do ładnej łazienki urządzonej w domu przez moją matkę, gdzie spędziłam wiele szczęśliwych godzin, mocząc się w gorącej wodzie i bawiąc się drewnianymi łódeczkami, które strugał dla mnie ojciec.

W łazience odkryłam, że Hepple już napaliła w piecu, który podgrzewał wodę. Nie zrobiło się ciepło, ale przynajmniej temperatura była do wytrzymania. Jak to się stało moim zwyczajem, napełniłam wannę po brzegi bardzo gorącą wodą, zanim zaczęłam się rozbierać, żeby para dodatkowo ogrzała pomieszczenie. W gruncie rzeczy nie przeszkadzały mi te niewygody, ponieważ kąpiel w warunkach prywatności stanowiła dla mnie istny luksus po wspólnych łaźniach w przytułku. W końcu byłam jeszcze bardzo młoda i okropnie się wstydziłam zmian zachodzących w moim ciele od roku albo dłużej.

Rozebrałam się, chociaż nawet w samotności nie czułam się całkiem swobodnie, i ostrożnie weszłam do wielkiej wanny. Blask mojej lampy migotał w szklanym świetliku wysoko w suficie. Raz widziałam księżyc wiszący nad moją głową, kiedy się kąpałam, dzisiaj jednak zobaczyłam tylko ciemność. Łazienkę wypełniały echa. Za każdym razem, kiedy podnosiłam rękę albo nogę, żeby się wyszorować olbrzymią gąbką otrzymaną od Antonii, chlupot wody rozbrzmiewał o wiele za głośno. Usiłowałam się zachowywać jak najciszej, ponieważ coś mi się nie podobało w tych dźwiękach.

Prawie już skończyłam, kiedy bez żadnego widocznego powodu ogarnął mnie potworny strach. Wstrzymując oddech, leżałam w całkowitym bezruchu. Ani jedna zmarszczka nie skaziła powierzchni wody. Panowała cisza. Niemal spodziewałam się znowu usłyszeć ten odrażający szelest, ale nic nie słyszałam. Potem podniosłam wzrok na drzwi.

Górną połowę tworzyła szyba z mlecznego szkła, otoczona przez mniejsze kolorowe szybki, niektóre ze wstawionymi gwiazdkami.

Na środkowej szybie leżał cień, zniekształcony przez nierówną fakturę szkła. Ktoś stał za drzwiami.

- Kto tam? - zawołałam. - To ty, Antonio?

Cień poruszył się, ale nie otrzymałam odpowiedzi.

- Pani Johnson? Jest tam pani?

Wciąż brak odpowiedzi. Zakiełkowało we mnie straszliwe podejrzenie.

- Caroline? Czy to ty?

Cisza. A potem grzechotanie gałki u drzwi, którą ktoś obracał i szarpał. Leżałam sparaliżowana strachem. Grzechotanie trwało przez kilkanaście sekund, po czym ustało raptownie. Cień chwiał się za drzwiami jeszcze przez chwilę, potem odwrócił się i odpłynął.

Pamiętam, jak siedziałam w wannie i nie mogłam się poruszyć, podczas gdy woda stygła. Przez cały czas w głowie tłukło mi się zdanie z dziennika Caroline: „Zeszłej nocy był w moim pokoju. Nie widziałam go, ale wiem, że tam był i mnie obserwował”.

Do rzeczywistości przywróciło mnie pukanie do drzwi i głos pani Johnson.

- Panienko Charlotte, czy coś się stało? Siedzi tam panienka prawie dwie godziny. Niedługo obiad.

- Nie... nic mi nie jest, Johnson. Widocznie zasnęłam. Proszę się nie martwić, zaraz wychodzę.

Pospiesznie wyszłam z lodowatej teraz wody i zaczęłam się nacierać ręcznikiem, żeby się rozgrzać. Ubranie czekało obok na niskim stołeczku. Ubrałam się i podeszłam do wielkiego lustra wiszącego przy drzwiach, żeby poprawić włosy.

Chociaż lustro już nie było zaparowane, dostrzegłam na jego powierzchni kontury liter, jakby ktoś po nim pisał. Sama tak robiłam w dzieciństwie. Przechylając lampę pod różnymi kątami, zdołałam odcyfrować słowa nakreślone na szkłe: „Charlotte, musisz natychmiast opuścić ten dom”.

Ostatnie słowo nie dawało się odczytać. Dopiero kiedy się odsunęłam, zrozumiałam, co to jest. Podpis: „Caroline”.

22.

Spędziłam wieczór, drżąc, w swoim pokoju, wymówiwszy się od obiadu bólem głowy. Antonia odwiedziła mnie i pomogła mi się położyć do łóżka. Z pewnością zauważyła krzyżyk na mojej szyi, chociaż nie wspomniała o nim. Jak tylko wyszła, znowu wstałam, bo nie mogłam wytrzymać tego leżenia w łóżku, jakbym czekała na następną wizytę.

Wiadomość na lustrze przeraziła mnie do głębi. Ostrzeżenie w niej zawarte aż za dobrze pasowało do moich obaw i tym bardziej byłam zdeterminowana, żeby dostarczyć mój list wielebnemu Watkinsowi.

Płacz zaczął się znowu po północy i nie ustawał aż do świtu. Złapałam trochę snu, chociaż budziłam się co chwila i sprawdzałam, czy lampa się pali. Za każdym razem nerwowo próbowałam przebić wzrokiem cienie, spodziewając się najgorszego. Słyszałam płacz, ale nie zdobyłam się na odwagę, żeby wyjść z pokoju. A nawet gdybym wyszła, nie wiedziałabym, co robić.

Wstałam i ubrałam się wcześniej niż zwykle. Zeszłam na dół na długo przed śniadaniem i wyjaśniłam pani Johnson, że chcę zabrać Jaspera na wczesny spacer. Zamierzałam złapać listonosza przy głównej bramie, gdzie zostawiał listy i paczki w dużej metalowej skrzynce, skąd później Hutton je przynosił.

Przyjechał o czasie. Mały człowieczek w czapce z daszkiem na jaskrawoczerwonym rowerze - jednym z pierwszych w okręgu. Włożył kilka listów oraz jedną paczkę do skrzynki i odwrócił się, żeby odjechać. Wyszłam zza drzewa, w cieniu którego czekałam z Jasperem. Jasper zawarczał groźnie, ale trzymał się mojej spódnicy. Na mój widok listonosz zbladł i mało nie rzucił się do ucieczki.

- Proszę zaczekać! - krzyknęłam. - Mam list do zabrania.
- Zawahał się, ale podszedł, prowadząc rower.
- Dokąd? - zapytał.

- Do pastora w Kirkwhelpington. Na pewno pan mu to odda? To ważne.

Popatrzył na mnie, potem na list i wreszcie wsunął go do torby.

- Dobra, dopilnuję, żeby go dostał jeszcze dziś po południu.

- Dziękuję panu. To bardzo ważne. Na pewno pan mu dostarczy list do rąk własnych?

- Jeśli go zastanę w domu. Będzie wiedział, od kogo jest list?

- Moje nazwisko jest w środku. - Milczałam przez chwilę. - Niech mi pan powie, kiedy mnie pan po raz pierwszy zobaczył, trochę się pan przestraszył, prawda?

- Nie spodziewałem się tutaj nikogo.

- Tylko tyle?

Popatrzył na mnie podejrzliwie, potem zawrócił rower.

- Jeśli to wszystko, panienko, muszę jechać.

- Wziął mnie pan za kogoś innego?

Rzucił mi zmieszane spojrzenie, potem wskoczył na rower i odjechał, wściekle pedałując. Odprowadzałam go wzrokiem, wiedząc, że moje życie zależy od listu, który wiózł w torbie.

Wróciłam do Barras Hall i zdążyłam na śniadanie ze sporym zapasem. Nie wspomniałam ani słowem o spotkaniu z listonoszem. Tamtego ranka Antonia wydawała się zmęczona i nie w sosie, ale nalegała, żebyśmy spędzały czas razem. W bibliotece rozpalono ogień i siedziałyśmy tam do lunchu, czytając, chociaż żadna z nas nie mogła się należycie skupić. Kilka razy w ciągu poranka przyłapałam Antonię, jak mi się uważnie przyglądała. Jeśli wstałam, żeby wziąć książkę z którejś półki, jej wzrok podążał za mną tam i z powrotem. Jeśli podeszłam do kominka, żeby dołożyć do ognia, jej oczy śledziły każdy mój ruch. Wyczuwałam nie troskę o moje zdrowie, tylko obawę, żeby moje poczynania nie wymknęły się spod kontroli. Czyżbym zachowywała się dziwnie? Czyżby moja postawa zdradzała zaniepokojenie, moje ruchy świadczyły o zdenerwowaniu? Czy Antonia się domyślała, co mi chodzi po głowie, i teraz próbowała odgadnąć moje zamiary?

Po lunchu znowu chciała, żebym jej czytała, a ja nie mogłam odmówić.

Chciałam znowu wyjść na dwór, ponieważ ułożyłam maleńki plan, który wymagał rozpoznania miejsca w głębi posiadłości. Po ponad godzinie czytania *Dumy i uprzedzenia* Antonia wyjęła talię kart z szuflady kredensu - uczyła mnie grać w bezika i ecarte - i wtedy postanowiłam wziąć byka za rogi.

- Proszę, Antonio, muszę wyprowadzić Jaspersa na spacer. To znaczy jeśli pozwolisz. Niedługo się ściemni, a on nie wychodził przez cały dzień. Może zagramy później, po obiedzie.

Zawahała się, jakby nie chciała mnie tracić z oczu. Przez chwilę myślałam, że zaofiaruje się mi towarzyszyć, w końcu jednak wzruszyła ramionami.

- W takim razie zadowolę się kilkoma rozdaniem pasjansa. Może wreszcie mi wyjdzie. Pamiętaj, żeby wrócić przed zmrokiem. Spodziewam się ciebie na herbacie o zwykłej porze.

Podziękowałam jej i szybko wyszłam, zanim zmieniła zdanie. Jasper czekał niecierpliwie w kuchni. Narzuciłam pelerynę, naciągnęłam rękawiczki i wyruszyliśmy natychmiast.

Postanowiłam zwiedzić rodzinny cmentarz, o którym mówiła pani Johnson, mimo że znajdował się w pobliżu pawilonu, którego coraz bardziej się bałam. Jasper skakał wokół mnie radośnie i wybiegał naprzód, węsząc zdobycz pod każdym krzakiem i w każdej kupce zeschniętych liści. Pogoda się popsowała, ciemne chmury groziły deszczem. Jak zawsze wypatrywałam ptaków na niebie i jak zawsze żadnych nie dostrzegłam. Teraz już się domyślałam, dlaczego trzymają się z daleka od Barras Hall.

Omijając pawilon jak najszerszym łukiem, znalazłam wejście na ścieżkę, o której mówiła pani Johnson, częściowo ukryte za zaroślami ostrokrzewu. Z obawy, że Jasper znowu się spłoszy, wzięłam go na zaimprovizowaną smycz i nie spuszczałam go z oka. Kiedy przeciskaliśmy się ścieżką, którą miejscami zagradały nisko zwieszające się gałęzie i wybujałe poszycie, trochę spokorniał i trzymał się bardzo blisko, chwilami niemal zaplątywał się w moją spódnicę.

Tutaj było ciemno, znacznie ciemniej niż w całej posiadłości, częściowo dlatego, że grunt w tym miejscu się obniżał, a częściowo z

powodu roślinności, która rosła dziko, jakby ze ścieżki rzadko korzystano. W którymś momencie pomyślałam, że chyba jednak pobiłdziłam. Potem dostrzegłam zardzewiałe żelazne ogrodzenie, biegnące wzdłuż ścieżki przez chaszczę pokrzyw i jeżyn. W tym miejscu ścieżkę niegdyś wybrukowano, ale chwasty i trawa już dawno rozsadziły kamienie.

Na dole dotarłam do niskiego kamiennego muru, w którym znajdowała się żelazna furta, osadzona pomiędzy grubymi kamiennymi kolumnami. Na szczycie każdej kolumny stała kamienna figura, niemal całkowicie oplataną bluszczem, który wciskał się wszędzie. Początkowo nie mogłam rozpoznać, co przedstawiają, ale po dokładnych oględzinach rozróżniłam dwie niewielkie męskie postacie, zakapturzone jak mnisi, wsparte na skręconych laskach. Rysy twarzy zostały zatarte przez czas i zniekształcone przez cętkowaną patynę żółtawych porostów. Coś w nich mnie odstręczało, a Jasper podwinął ogon pod siebie i zaczął się cofać.

Z trudem otwierałam furtę. Nie miała zamka, ale zardzewiała i mocno wrosła w ziemię. Zdołałam przesunąć skrzydło tylko o jakieś pół metra i ledwie się precisnęłam przez ten otwór w grubym zimowym ubraniu. Jasper dreptał za mną i wciąż trzymał się blisko mnie.

Wszędzie bujnie pieniały się chwasty, przetykane przez kępy traw i trzcin. Ścieżka, jeszcze bardziej zarośnięta niż wcześniej i niemal niewidoczna, wiła się wśród gąszczu drzew. Przedostałam się przez zagajnik na otwarty teren. Tutaj znajdowały się rozproszone groby i pomniki, wszystkie straszliwie zaniedbane. Niektóre nagrobki przechylały się na boki pod niepokojącymi kątami, inne leżały płasko na ziemi, niemal zagrzebane pod dywanem trawy i chwastów. Nad nimi górowało kilka monumentalnych grobowców, każdy otoczony wysokim żelaznym ogrodzeniem. Po drugiej stronie cmentarza ujrzałam wyraźne zarysy zwałonych murów.

Jasper zaskomlał i z całej siły przywarł do mnie chudym ciałkiem. Nie zwracając na niego uwagi, powoli ruszyłam ścieżką, obok przewróconych urn i omszałych aniołów z połamanymi skrzydłami. Tutaj wydawało się jeszcze ciemniej niż na ścieżce w lesie, jakby ten opuszczony

cmentarz nie dopuszczał dziennego światła. Nigdy w życiu nie widziałam równie smutnego miejsca. Zdania z Biblii przelatywały mi przez głowę, słowa pociechy, ofiarujące zmartwychwstanie i życie wieczne. Pamiętałam, jak pastor recytował je na pogrzebie mojego ojca. Tutaj brzmiały jak puste frazesy.

Ale przyszłam tutaj czegoś szukać i zamierzałam zostać, dopóki tego nie znajdę albo nie uznam, że tego tu nie ma. Długa spódnica i halki utrudniały mi wędrowkę wśród grobów. Niemniej uparcie przedzierałam się dalej, kosztem kilku rozdarć w sukience, odrywałam pędy bluszczu i gałęzie jeżyn z jednego nagrobka za drugim. Najstarsze, jakie odsłoniłam, datowały się na początek XVIII wieku.

Duży grobowiec w oplakanyim stanie nosił nazwiska sir Williama i lady Beatrice Ayrtonów, zmarłych w 1723 i 1725 roku. Obok znajdowały się trzy mniejsze pomniki, należące do córek Williama i Beatrice. Rozglądałam się za miejscem spoczynku sir Jamesa Ayrtona, ale nie znalazłam go obok najbliższych krewnych.

Zmarli należeli w większości do rodziny Ayrtonów, chociaż od czasu do czasu odczytywałam inne nazwiska, głównie osób skoligaconych przez małżeństwo. Na końcu cmentarza trafiłam na kilka nowszych budowli: grobowiec sir Percy'ego i lady Violet Ayrtonów, których uznałam za dziadków Anthony'ego i Antonii, oraz Milesa i Edwiny, ich rodziców.

Niedaleko stamtąd znalazłam to, czego szukałam: grób Caroline, skromną mogiłkę z kamieniem nagrobnym już nadwerżonym zębem czasu. Data jej śmierci zgadzała się z datą piętnastych urodzin, 18 grudnia 1892 roku. Na widok tej daty wyrytej w zimnym kamieniu, naszej wspólnej daty, przeszedł mnie dreszcz.

Zobaczyłam już dość. Mruknęłam do Jaspera i odwróciłam się, żeby odejść. Wówczas dostrzegłam spory grobowiec, nieco oddalony od pozostałych i dotąd zasłonięty ścianą wysokich jałowców. Chociaż osiągnęłam już swój cel, coś mnie przyciągało do tego grobowca o klasycznych liniach, tchnącego atmosferą odosobnienia. Dlaczego postawiono go z dala od innych, skoro najwyraźniej był to grób ważnego

członka rodziny? Zaczęło się zmierzchać. Pochłonięta szukaniem grobu Caroline, nie zważałam na upływ czasu. Teraz słońce wisiało nisko nad horyzontem i niebo szybko ciemniało. Jeśli zaraz nie odejdę, noc zaskoczy mnie w tym okropnym miejscu. Nawet nie chciałam o tym myśleć. A jednak nie mogłam odejść, zanim nie obejrzę tego ostatniego grobu.

Pospiesznie przedarłam się przez gęste zarośla jeżyn, które czepiały się moich butów i ubrania. Zanim jeszcze dotarłam do pomnika, wiedziałam, czyj to grób. Zewnętrzne podobieństwo do pawilonu stanowiło dostateczną wskazówkę. Nad niskimi, zardzewiałymi drzwiczkami przeczytałam nazwisko wykute-w kamieniu kanciastymi literami: „Sir James Standish Ayrton, 1691-1779”. Pod tą inskrypcją wyrzeźbiono herb Ayrtonów, wieżę pomiędzy dwiema liliami, jak na wielu innych grobowcach. Tutaj jednak tarcza herbowa została umieszczona wśród pozostałych elementów heraldycznych: zwieńczona hełmem i klejnotem, okryta przez labry i podtrzymywana z obu stron. Lecz trzymacze, zazwyczaj lwy lub ptaki, tym razem przedstawiały postacie dwóch mężczyzn w długich tunikach, o twarzach zakrytych kapturami, zgiętych w pół i opartych na laskach. Natychmiast przypomniały mi się posąжки na słupach przy wejściu.

Tuż za grobem Jamesa ciągnęły się szeregiem, jakby odchodziły od niego promieniście, niskie, trawiaste kopczyki bez żadnych tabliczek czy oznaczeń, wszystkie gęsto zarośnięte i prawie nieodróżniające się od otoczenia. Przecisnęłam się obok grobowca, żeby się dostać do kopców, ponieważ widziałam ślady ścieżki prowadzącej w tamtym kierunku i koniecznie chciałam im się przyjrzeć z bliska.

Kiedy znalazłam się naprzeciwko środkowej części pomnika, zauważyłam z dreszczem, że część ściany się zawaliła i powstał szeroki, rozdziawiony otwór, prowadzący najwyraźniej do samego serca grobowca. Nagle Jasper zeszytniał ze strachu. Niskie warczenie wydobyło się z jego gardła. Spojrzałam na niego i zrobiło mi się zimno. Ponieważ ja również to poczułam, mdlące, ohydne wrażenie czyjejś obecności, którego doznałam już dwukrotnie w moim pokoju i raz w łazience.

Przytuliłam do siebie Jaspera. Oczy miał rozszerzone i cały drżał, wpatrując się w otwór w bocznej ścianie grobowca. A potem poczułam, jakby przebiegł po mnie cień. Podniosłam wzrok.

Stał przede mną, zaledwie dziesięć stóp dalej. Bardzo stary człowiek, zgięty w pół, ciężko wsparty na wysokiej lasce zakończonej srebrną gałką. Nosił osiemnastowieczny ubiór, całkowicie czarny, trzewiki, pończochy i krótki płaszcz, kosztowny strój dżentelmena. Głowę miał łysą poza paroma rzadkimi kosmykami siwych włosów, skórę na twarzy i czaszce mocno napiętą, jakby miała pęknąć.

Zaczęłam się powoli cofać. Wyciągnęłam rękę do ściany grobowca, szukając oparcia, kiedy nagle poczułam, że coś lekko muska moją spódnicę. W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakaś gałązka, ale potem znowu to poczułam, tym razem bardziej natarczywie. A potem dotknęło mojej kostki. Zimne i suche, owinęło mi się wokół nogi.

Wrzasnęłam i próbowałam się wyrwać. Jednocześnie Jasper zawył i rzucił się w stronę otworu. Uścisk na mojej kostce osłabł na chwilę. Szarpnęłam mocno i zatoczyłam się do tyłu, jak najdalej od grobowca. Jasper warknął raz i popędził za mną.

23.

Biegłam przez cmentarz na oślep, potykając się wśród gęstniejących cieni, przekonana, że tracę zmysły. Instykt raczej niż rozum doprowadził mnie do furty. Wtedy usłyszałam jakiś głos, wołający moje imię. Przerazona pobiegłam jeszcze szybciej, Jasper deptał mi po piętach. Za zakrętem zarośniętej ścieżki ujrzałam przed sobą jakąś postać, która zastąpiła mi drogę. Krzyknęłam ze strachu, potem znowu usłyszałam moje imię i zobaczyłam, że to pani Johnson. Machała do mnie nagle i wołała.

Pokuśtykałam w jej stronę przez kępy parzących pokrzyw, z Jasperem przy boku. Każdy krok kosztował mnie mnóstwo wysiłku, jakbym walczyła nie tylko z chwastami czepiającymi się nóg, ale ze znacznie większą siłą, która przez cały czas ciągnęła mnie do tyłu. Zupełnie jakbym brnęła przez błoto. Pani Johnson ciągle wołała moje imię i przynaglała mnie do pośpiechu, widocznie jednak sama nie chciała podejść bliżej cmentarza.

Wreszcie dotarłam do niej, szlochając i dysząc z wysiłku.

- Proszę stąd odejść, panienko Charlotte. Co panienka sobie myślała, żeby tu przyjść sama? Gdybym wiedziała, że panienka będzie taka niemądra, nigdy nie wspominałabym o tym miejscu. Zaprowadzę panienkę do domu, zanim panienka się zaziębi.

Kiedy ruszyłyśmy, chwyciłam ją za ramię.

- Kim on był, pani Johnson? Ten stary człowiek.

Spojrzała na mnie surowo, ale widziałam, że moje słowa ją przestraszyły.

- Jaki człowiek?

Opisałam starca, którego widziałam przy grobowcu Jamesa Ayrtona. Pani Johnson tylko pokręciła głową.

- Nie, musiała panienka się pomylić. Tam nikogo nie było. Nikogusieńko.

Nie mogłam z niej wyciągnąć nic więcej. Gderiała i cackała się ze mną, powtarzała, że na starym cmentarzu pełno jest miazmatycznych wyziewów, że to bardzo szkodliwe dla zdrowia. Moja sukienka była w strasznym stanie, zabłocona i podarta w wielu miejscach.

- Całkiem zniszczona, panienko, nie da się załatać. Musi panienka się przebrać. Dobrze, że panna Antonia zamówiła dla panienki nową.

Przyniosła mi do pokoju gorącą wodę i rozpałała w kominku. Z nogami w gorzycowej kąpieli i ręcznikiem na głowie wyglądałam jak obłożnie chora. Pani Johnson przygotowała miskę gorącego rosółu z baraniny i nalegała, żebym wypila wszystko. Pouczyła mnie, co mam powiedzieć kuzynce.

- W żadnym razie proszę nie mówić panie Antonii, że panienka była na cmentarzu. Lepiej, żeby nie wiedziała; tylko się niepotrzebnie zdenerwuje. Ona śmiertelnie się boi tamtego miejsca. Niech panienka powie, że gonila psa nad rzeką i podarła suknię. I ani słowa, że po panienkę przyszedłam.

- Skąd pani wiedziała, że tam jestem?

- Nieważne. Znalazłam panienkę. I całe szczęście.

Trochę później odwiedziła mnie Antonia, pełna tłumionego gniewu, powściąganego tylko przez obawę, czy nie zrobiłam sobie krzywdy. Chyba bardzo jej zależało, żeby mnie utrzymać w idealnym zdrowiu, ponieważ ciągle wracała do tego tematu. A jednak jakoś nie mogłam uwierzyć, że naprawdę troszczyła się o moje dobro. Podejrzywałam raczej, że moje zdrowie miało związek z jakimś ukrytym celem, którego nie potrafiłam odgadnąć.

Tej nocy nie słyszałam płaczu. Nie mogłam zasnąć, bo moje myśli wypełniała groza. Wciąż stał mi przed oczami starzec z bezkrwistą, trupią twarzą. Ani przez chwilę nie wątpiłam, że to był James Ayrton. Nie miałam jednak pojęcia, czego on chciał ode mnie. Wołałam również nie zgadywać, co dotknęło mnie przy grobowcu. Czy to była ta sama ohyda, która w nocnej ciszy pełzła przez trawnik do domu?

Długo po północy usłyszałam trzaśnięcie drzwi. Na kamiennych płytach dziedzińca rozległy się lekkie kroki. Podeszłam do okna i wyjrzałam. W świetle lampy, którą trzymała w ręku, Antonia szła przez ogród, ubrana w suknię ślubną.

W dziwny sposób strach dodał mi śmiałości. Postanowiłam za wszelką cenę dotrzeć do prawdy. Wciąż byłam ubrana, więc prawie bez namysłu narzuciłam szal i wyszłam spieszenie, zabierając tylko świecę. Znałam już drogę na skróty na tyły domu po rzadko używanych schodach, które prowadziły do małych drzwi, pierwotnie przeznaczonych dla służby. Zostawiłam świecę tuż przy drzwiach, żeby oświetlała mi drogę powrotną. W ogrodzie szybko się zorientowałam, dokąd pójść. Wszedł księżyc prawie w pełni i bez trudu odnalazłam ścieżkę, na której wcześniej widziałam Antonię.

Poszła przez las, wąską ścieżynką prowadzącą do pawilonu. Nie odważyłam się przyspieszyć ze strachu, że narobię za dużo hałasu, ale wiedziałam, że muszę tylko trzymać się ścieżki i na pewno wpadnę na Antonię. Teraz już nie wątpiałam, że kierowała się do pawilonu.

Jak się okazało, nie miałam racji. W kępie drzew odległej od budynku o jakieś pięćset metrów dostrzegłam błysk światła. Zbliżywszy się, ujrzałam na małej polance Antonię, wyraźnie widoczną w białej sukni. Podkrađłam się z boku i ukryłam za wysokim krzakiem ostrokrzewu, skąd mogłam ją obserwować.

Kłęcząca na ziemi z pochyloną głową, łkając cicho. Przed nią wznosił się porośnięty mchem pagórek, nieprzyjemnie podobny w kształcie i rozmiarze do bezimiennych grobów, które widziałam po południu za grobowcem Jamesa Ayrtona. Wiedziałam, że to nie jest grób córki Antonii, ponieważ widziałam jej grób wyraźnie oznakowany na małym cmentarzu. Lecz kiedy patrzyłam na Antonię, w moim umyśle wykluło się podejrzenie, które stopniowo przerodziło się niemal w pewność. Przyniosła ze sobą bukiet zimowych kwiatów i układała je w głowach grobu. Zdawało mi się, że wymówiła kilkakrotnie imię „Simon”: imię jej narzeczonego, które jej się wymknęło niechcący. Widocznie jednak nie wyjechał za granicę, tylko umarł i został pochowany tutaj, w tajemnym grobie w Barras Hall. Umarł albo... nie ośmieliłam się dokończyć myśli, która przyszła mi do głowy.

Antonia kłęcząca nad grobem, na zmianę łkając i rozmawiając szeptem ze zmarłym kochankiem - jeśli rzeczywiście on tu spoczywał. W końcu z rozpaczliwym westchnieniem, które rozdarłoby mi serce, gdyby nie strach, podniosła się z ziemi i ruszyła z powrotem do domu. Zaczekałam, aż weszła do środka, po czym wróciłam tą samą drogą przy świetle księżycy. Nie przecięłam trawnika, tylko okrążyłam ogród z sercem w gardle.

24.

Następnego ranka zostałam w łóżku, symulując przeziębienie. Antonia odwiedziła mnie po lunchu. Ubrana była do wyjścia i nie okazywała ani śladu gwałtownych emocji, które miały ją w nocy.

- Nie wyglądasz źle - oceniła. - Mam nadzieję, że zejdiesz na obiad. Po południu jedziemy z Anthony'm do Morpeth. Potrzebuję paru rzeczy na twoje urodziny. Wydamy małe przyjęcie, tylko dla kilku przyjaciół, ale chcę, żeby to był dla ciebie szczęśliwy dzień.

Wkrótce potem zobaczyłam, że Hutton wyprowadza ze stajni konia do powozu. Wymknęłam się z pokoju i przeszłam do frontowej części domu, skąd miałam widok na główny podjazd. Po kilku minutach pojawił się Hutton, prowadząc konia, którego zaprzągnął do wiktorii. Anthony i Antonia wyszli frontowymi drzwiami i zajęli miejsca w powozie. Patrzyłam, jak odjeżdżają szybko i znikają za zakrętem podjazdu.

Zostałam prawie sama. Hepple spędzała większość czasu pomiędzy lunchem a kolacją w zmywalni, szorując garnki i naczynia. Wiedziałam, że pani Johnson często korzysta z wolnej chwili, żeby się zdrzemnąć w ciągu dnia, kiedy skończy sprzątać po lunchu. Dzisiejszy dzień nie powinien należeć do wyjątków. Czekałam w korytarzu niedaleko jej pokoju, dopóki nie usłyszałam, że weszła i zniknęła drzwi. Przez następne kilka godzin dom należał do mnie.

Zamierzałam dokładnie przeszukać gabinet Anthony'ego, ponieważ podejrzewałam, że w przechowywanych tam dokumentach znajdę odpowiedzi na niektóre dręczące mnie pytania. Nie musiałam się obawiać, że ktoś mnie przyłapie, o ile Anthony i Antonia nie wrócą niespodziewanie. Jedyna niewygoda polegała na tym, że okna gabinetu znajdowały się nie od frontu, tylko na tyłach domu. Miałam trochę czasu, ale nie powinnam zwlekać.

Drzwi gabinetu nie były zamknięte na klucz. Przymknęłam je za sobą

i szybko podeszłam do okna. Zasłony odsunięte do połowy przepuszczały dość światła jak na moje potrzeby. Pod ścianami stały wysokie mahoniowe regały wypełnione tomami w skórzanych oprawach, większość na pierwszy rzut oka o tematyce prawniczej. Obok kominka stał wysoki fotel, a przy nim niski stolik, na którym leżały w nieładzie gazety i popularne magazyny.

Jednak moją uwagę natychmiast przyciągnął duży sekretarzyk pod ścianą naprzeciwko kominka. Wieko było opuszczone, a kiedy spróbowałam je podnieść, okazało się zamknięte na klucz. Spodziewałam się tego i przyszłam przygotowana. Przynajmniej raz przydała mi się wiedza wyniesiona z przytułku. Jedną z moich tamtejszych przyjaciółek, dziewczynka nazwiskiem Mary Pearce, pokazała mi, jak się otwiera zamek wytrychem - czego sama nauczyła się od ojca.

Niejeden raz odbywałyśmy wspólne wyprawy do kuchni późną nocą i otwierałyśmy zamki w drzwiach spiżarni. Nigdy nie brałyśmy tyle żeby zwrócić uwagę na nasze podkradanie, ale te dodatkowe racje pomogły nam obu przetrwać bardzo ciężkie chwile. Teraz zamierzałam wykorzystać moje umiejętności do ważniejszego celu.

Zamek w biurku nie należał do specjalnie skomplikowanych. Użyłam szpilki do włosów jako klucza uniwersalnego i wystarczyło pięć czy sześć prób, żeby otworzyć wieko. W środku znalazłam stosy papierów oraz rząd małych szufladek i przegródek. Systematycznie zaczęłam je przeglądać. Wyjmowałam papiery i czytałam po kolei, żeby potem odłożyć je na miejsce w takim samym porządku i nie zostawić żadnych śladów rewizji.

Jedna szuflada zawierała wyłącznie rachunki. Wyglądało na to, że mój kuzyn prowadzi rozległe interesy, ponieważ znalazłam faktury na towary aż z Londynu i Brighton. Opiewały zwykle na niewielkie sumy, koszt różnych przedmiotów domowego użytku albo sprzętu używanego w majątku. Kilka znacznie wyższych pozycji dotyczyło płatności za węgiel, surowce czy transport, związanych chyba z transakcjami przeprowadzanymi w wielu miejscach i sugerujących ożywioną działalność handlową, której charakteru mogłam tylko się domyślać.

W przegródkach znalazłam jeszcze więcej rachunków, papeterię i

ulotki reklamowe zachwalające najróżniejsze towary oraz usługi, wiele sprzed dwudziestu lat albo jeszcze starszych. Druga szuflada zawierała kwity. W trzeciej zobaczyłam pakiety listów, ułożonych mniej więcej w porządku alfabetycznym.

Wiedziałam, że nie wystarczy mi czasu, żeby przeczytać wszystkie, ale przeglądałam je pobieżnie, notując sobie w pamięci nazwiska korespondentów Anthony'ego i ich miejsc zamieszkania. Większość stanowiły listy biznesowe, zawierające treści na oko dość techniczne. Mała kupka listów wysłana przez ich matkę z domu w Morpeth leżała obok pliku adresowanego do ich ojca.

Na samym dniu znalazłam oddzielny list, jeszcze w kopercie, adresowany do Anthony'ego i Antonii. Pismo wydało mi się znajome. Otwarłam kopertę. List miał niecałą stronę długości, napisany starannym pismem na eleganckim papierze z wytłaczanym nagłówkiem. Adres nadawcy był adresem naszego dawnego domu w Gosforth. Podpis na dole był podpisem mojej matki. Ten właśnie list napisała do kuzynów po śmierci ojca. List, którego Antonia podobno nie otrzymała, nad którego stratą ubolewała ze łzami w oczach. Którego zaginięcie Anthony nazwał tragedią, ponieważ gdyby go dostali, życie moje i Arthura wyglądałoby inaczej.

Ręka mi drżała, kiedy odkładałam list matki i zamykałam szufladę. Chciałam krzyknąć, wrzeszczeć i zarzucić im kłamstwo w oczy. Chciałam usiąść w kąciku i płakać nad ich zdradą. Ale się opanowałam. Szukałam dalej, wiedząc, że gdzieś tutaj znajdę więcej odpowiedzi.

W następnej szufladzie trafiłam na kolejne listy. Wśród nich znajdował się plik w identycznych niebieskich kopertach, wszystkie nieotwarte, bez stempla pocztowego. Nie musiałam ich otwierać, żeby poznać ich treść: to były listy, które napisałam do Annie i innych moich przyjaciółek. Początkowo nie rozumiałam, dlaczego Anthony ich nie wysłał. Jaką korzyść mógł odnieść z zatrzymania mojej korespondencji? Mało prawdopodobne, żeby spowodowała zalew nieproszonych gości. A potem z ukłuciem strachu zrozumiałam: jeśli nikt nie dostanie ode mnie wiadomości, nikt się nie dowie, że jestem w Barras Hall. Dla innych równie dobrze mogłam nie żyć.

W tej samej szufladzie odkryłam list w taniej kopercie, ze znaczkami z Chester-le-Street, noszący datę sprzed trzech tygodni i zaadresowany do mnie: „Panna Charlotte, w domu Pana i Pani Ayrton Esq., obok Kirkwhelpington, Northumberland”. Otwarłam go i wyjęłam arkusik szorstkiego papieru, zapisany po obu stronach przez Annie. Opisywała wydarzenia w domu Lincottów po moim zniknięciu i zawiadamała, że dzień czy dwa później zatrudniono nową dziewczynę. Czekala na wiadomość ode mnie. I miała nadzieję, że znalazłam Arthura i wielkie szczęście. Nawet ten zwykły list od dawnej przyjaciółki ukryto przede mną.

Obok leżały listy Endicotta do Anthony'ego, te same, które mi czytał przy obiedzie, relacjonując postępy w poszukiwaniach mojego brata. Przejrzałam je i trochę mnie pocieszył ich optymistyczny ton oraz zapewnienia, że Arthur wkrótce się znajdzie. Może zdążą go znaleźć na moje urodziny, pomyślałam. Cóż to byłoby za prezent!

Z myślą o przyszłości oraz perspektywach opuszczenia Barras Hall wzięłam parę listów. Nie miałam konkretnego planu, liczyłam raczej, że posłużą jako moja wizytówka przy spotkaniu z Endicottem. Na pierwszym widniał jego londyński adres, następny miał tylko nagłówek „Newcastle” obok daty.

Spojrzałam na zegar na kominku. Minęło dopiero wpół do trzeciej; jeszcze przez jakiś czas mogłam czytać przy świetle dziennym i na pewno skończę, zanim zapadnie zmrok. Dalej przeszukiwałam biurko, wiedząc, że taka okazja może się już nie powtórzyć.

W dużej szufladzie na dole znajdowała się skrzyneczka z polerowanego drewna z mosiężnymi okuciami. Wystarczyła chwila, żeby się do niej włamać. W środku spoczywały pliki prawniczych dokumentów, powiązanych różową wstążką. Rozwiązałam ją ostrożnie i zaczęłam czytać, ale niewiele rozumiałam, dopóki nie dotarłam do grubego rulo- nu czegoś, co wyglądało na akcje rozmaitych przedsiębiorstw. Oczywiście nic dla mnie nie znaczyły, ponieważ nie znałam się na akcjach ani papierach wartościowych. Lecz nazwy kilku przedsiębiorstw coś mi mówiły.

Znalazłam duży portfel akcji United Alkali Company, firmy, która zmusiła wszystkich rywali z Tyneside, włącznie z moim ojcem, do zamknięcia interesu. Obok leżały dokumenty świadczące, że Anthony miał udziały w Tennant's, Allhusen's i sporo akcji Newcastle Alkali and Chemical, firmy mojego ojca. A także portfel akcji Tyne Electrical Company, nieudanej ojcowskiej próby odzyskania majątku.

Po śmierci ojca matka dużo mówiła o akcjach i obligacjach, ale puszczałam wszystko mimo uszu. Nawet teraz nie potrafiłam wyciągnąć żadnych wniosków z papierów w biurku kuzyna. Ale samo ich istnienie stanowiło dziwny zbieg okoliczności. I nie rozumiałam, jaki cudem Anthony, niegdyś tak blisko związany z interesami mojego ojca, mógł nie wiedzieć o jego bankructwie i śmierci.

Zanim wyszłam z gabinetu, dokonałam jeszcze dwóch odkryć, które w pewnym sensie zepchnęły w cień wszystko inne. Tylko przy tej okazji odkryłam coś przypadkiem, chociaż wolę myśleć, że jakaś siła kierowała moją ręką. Kiedy zamykałam wieko biurka, spostrzegłam pod spodem wyrzeźbiony herb Ayrtonów, tarczę podtrzymywaną przez dwie postacie zakapturzonych mężczyzn, jak na grobowcu Jamesa Ayrtona. Powodowana ciekawością, dotknęłam najpierw jednej, potem drugiej postaci. Zauważyłam wtedy, że wydają się nie całkiem stabilne. Z powrotem położyłam na nich obie ręce jednocześnie i pociągnęłam, jakbym chciała je wyrwać, a wtedy w dniu biurka odsunęła się mała płytką.

Sięgnęłam do otworu i wydobyłam tekturową teczkę związaną wstążką. Zaczynało zmierzchać i wiedziałam, że powinnam wyjść, ale tajemnicza teczka ukryta w tak przemyślnym schowku za bardzo mnie zaintrygowała. Zaniiosłam ją na niski stolik z gazetami i rozwiązałam wstążkę.

Wewnątrz znajdowały się wycinki z gazet, wiele pożółkłych ze starości. Ktoś napisał na nich tytuły gazet i daty wydań. Wycinki pochodziły głównie z miejscowych dzienników: „Berwick Journal and North Northumbrian News”, „Alnwick and County Gazette”, „Hexham Courant”, „Tyne Mercury” i innych. Czytając je, miałam wrażenie, że szron osiadający na trawie i kamieniach dziedzińca pokrywa również

moją skórę. Dopiero wtedy w pełni zrozumiałam powagę sytuacji i uświadomiłam sobie własne okropne położenie.

Artykuły, które brałam kolejno do ręki - krótkie i napisane napuszonym językiem prowincjonalnych dziennikarzy z ubiegłego stulecia - relacjonowały serię niepowiązanych ze sobą, lecz niemal identycznych wypadków. W okresie około dziewięćdziesięciu lat z farm i wiosek leżących wokół Barras Hall znikwały dzieci i dorośli. Dzieci w większości należały do biedoty i w artykułach podawano niewiele faktów poza tym, że zniknęły i że władze podjęły stosowne kroki. Od czasu do czasu spekulowano na temat miejsca ich pobytu. Zniknęło kilkoro dzieci z zamożniejszych rodzin, i w tych sprawach wszczęto dłuższe i dokładniejsze śledztwa.

Ale - jeśli wycinki zgromadzone w teczce nie zostały specjalnie dobrane - ani razu zagubione dziecko nie wróciło do domu ani nie odnaleziono ciała. Zupełnie jakby dzieci rozpląnęły się w powietrzu.

Ponownie sięgnęłam do otworu i wyjęłam mały notesik, bardzo stary, oprawiony w sztywną skórę, miejscami spleśniałą. W środku znalazłam notatki sporządzone staroświeckim charakterem pisma. Na wyklejce widniało nazwisko Jamesa Ayrtona.

W tej samej chwili usłyszałam chrzęst kół na żwirze. Wepchnęłam wycinki z powrotem do teczki, a teczkę do skrytki i dokładnie zasunęłam płytkę. Notesik schowałam pod sukienkę. Zanim moi kuzyni weszli do domu, wracałam już do mojego pokoju. Na dworze szybko się ściemniało. Ale prawdziwa ciemność zapadła we mnie.

25.

Siedziałam sama w moim pokoju i patrzyłam, jak śnieg pada z czarnego nieba. Gnębiły mnie mroczne myśli. Antonia nie przyszła mnie odwiedzić. Śnieg wciąż sypał; w nocy zapowiadała się śnieżycą. Wyjęłam dziennik Jamesa Ayrtona i zaczęłam czytać.

„12 stycznia 1779. Wczoraj w nocy do Świątyni. Czytałem *Arbatel** i *Lemegeton***, ale nic nie przyszło. Usłyszałem Coś, będąc w Ascendencie, lecz tylko Głosy, żadnego Pojawienia. Gdzieś musi być błąd, czy w Recytacji, czy w Rytuale, nie wiem. Przeczytam jeszcze raz *Trithemiusa****; może on zna odpowiedź.

* *Arbatel de magia veterum* - łaciński grymuar poświęcony magii rytualnej, opublikowany w 1575 roku w Bazylei (przyp. tłum.).

** *Lemegeton lub Mniejszy Klucz Salomona* - anonimowy XVII-wieczny grymuar, jedna z najbardziej popularnych ksiąg demonologicznych (przyp. tłum.).

*** Johannes Trithemius (1462-1516) - właściwie Johann Heidenberg, opat i okultysta, przybrał nazwisko od rodzinnego miasta Tritenheim, autor słynnego dzieła *Steganographia* (przyp. tłum.).

20 stycznia. Dwie noce i nic. Pomponazzi**** zaleca Cierpliwość, lecz moja została wystawiona na ciężką próbę. Przez całą wczorajszą noc wzywałem Zabaotha i Bahonyma, lecz bez Odpowiedzi. Postanowiłem spróbować znowu tej nocy, trzy razy.

**** Pietro Pomponazzi (1462-1525) - włoski filozof, autor dzieła *O nieśmiertelności duszy* (przyp. tłum.).

15 lutego. Dziś rano otrzymałem *Księgę Ebn Wahshiyi****** z Amsterdamu. Jest pełna Znaków i należy ją dokładnie poznać przed zastosowaniem. Niebezpieczeństwo pomylenia Znaków. Wczoraj w nocy Głosy. Stają się wyraźniejsze. Dwukrotnie rozmawiałem ze Ślepcem.

***** Ebn Wahshiyah, Ibn Wahshiyah (IX-X wiek) - arabski pisarz, alchemik, egip-tolog i historyk, jako pierwszy częściowo rozszyfrował starożytne egipskie hieroglify (przyp. tłum.).

17 lutego. Wczoraj w nocy po raz pierwszy nosiłem czarny Welon. To wzmocniło Rytuał zgodnie z obietnicą Trithemiusa. Widziałem Kształty tam, gdzie przedtem nic nie było. Muszę wytrwać w wysiłkach i zachować odwagę.

20 lutego. Wczoraj w nocy znowu słyszałem kroki za moimi drzwiami. Wyczuwam, że jestem już blisko. Myślę, że wkrótce opanuję

Znaki Belbeis i Cophtrim. Jeszcze tydzień i dokonam próby. Spędziłem ranek na lekturze *Czerwonego Smoka** i *Grimorium Verum*** . Jutro siedem razy.

* *Czerwony Smok, Grand Grimoire* - grymuar czarnej magii, pochodzący podobno z 1552 roku, zawiera instrukcje, jak wezwać Lucyfera w celu zawarcia paktu z diabłem.

** *Grimorium Verum* - magiczna księga albo grymuar, rzekomo napisana przez Egipcjanina Alibeka w 1517 roku, w rzeczywistości powstała prawdopodobnie w XVIII wieku.

28 lutego. Wczorajszej nocy po raz pierwszy użyłem Znaków. Głosy całkiem wyraźne. Widziałem Coś, ale niedokładnie. Ufam, że nic nie pomyliłem. Agryppa mówi, że to bardzo niebezpieczne.

5 marca. Całą noc w Świątyni. Ponownie narysowałem Krąg i użyłem Znaków Króla Berhemiusa. To pojawiło się dwukrotnie i przemówiło do mnie. Po raz drugi zmusiłem To do powrotu z wielkim wysiłkiem. Muszę przeczytać, co Trithemius pisze o Ascendencie i Descendencie.

6 marca. Wezwałem To dwukrotnie zeszłej nocy. Wracało bardzo niechętnie i pod przymusem. Za każdym razem podchodzi bliżej. Odprawiałbym rytuał w ciemności, gdybym nie potrzebował światła do czytania, żeby uniknąć błędów. To mówi, że teraz czai się przy drzwiach.

8 marca. Wczoraj w nocy widziałem Tego Twarz. Widocznie pomieszałem Znaki. To mówi, że nie wróci. Muszę spędzić dzień w bibliotece, żeby znaleźć odpowiedź.

9 marca. Widziałem coś na trawniku. Bardzo blisko. Nie mogę nic znaleźć ani u Pica, ani u Paoliniego. Jeśli nie zdołam odesłać Tego z powrotem... Dobry Boże, jeśli nie zdołam Tego odesłać!”

Obiad tego wieczoru był torturą. Antonia kilkakrotnie zwracała uwagę na moją błądliwość i widoczne roztargnienie.

- Chyba się nie rozchorujesz, moja droga?

Pokręciłam głową i dalej bawiłam się jedzeniem na talerzu. Antonia przechyliła się przez stół i szepnęła do mnie:

- Może to twój czas miesiąca. Wiesz, o czym mówię?

Zarumieniłam się i szybko kiwnęłam głową.

- Tak - powiedziałam - właśnie.

Nie wyglądała na całkowicie przekonaną, niemniej uśmiechnęła się ze współczuciem. Oczywiście kłamałam: zaczęłam miesiączkować niedługo przed odejściem z przytułku, ale podczas pobytu w domu Lincottów znowu przestałam. W mojej niewinności myślałam, że miesiączki skończyły się na dobre, chociaż wiedziałam, że powinny trwać znacznie dłużej - dopóki nie wyjdę za mąż i nie urodzę dzieci, jak wówczas wierzyłam.

Wymówiłam się od poobiedniej kawy pod pretekstem, że znowu rozboleła mnie głowa. Antonia pocałowała mnie na dobranoc i szepnęła, że powinnam przyjść do niej ze swoim „kłopotem” rano, kiedy będziemy mogły swobodnie rozmawiać.

Jakiś czas przedtem odkryłam, że jeśli po wyjściu z salonu pójde okrężną drogą, mogę dotrzeć do jadalni z drugiej strony i wejść drugimi drzwiami, dawniej używanymi podczas obiadów proszonych - jak mi powiedziała Antonia - teraz jednak zamkniętymi na klucz, odkąd moi kuzyni „poprzestawali na własnym towarzystwie”.

Wiedziałam, że sporo ryzykuję, ale postanowiłam podejść do drzwi salonu z drugiej strony w nadziei, że podsłucham rozmowę pomiędzy Anthony'm a Antonią. Rozpaczliwie chciałam się dowiedzieć, co mówią pod moją nieobecność: czy rozmawiają o mnie, czy w ogóle wymieniają imię Caroline.

Ku mojej uldze główne drzwi jadalni pozostały niezamknięte na klucz, jak w dniu, kiedy Antonia mnie tamtędy prowadziła. Otwarłam je bardzo powoli, przerażona, że najłżejsze skrzypnięcie zawiasów zaalarmuje moich kuzynów. W pokoju panowały egipskie ciemności, ale po drugiej stronie przez szparę pod drzwiami salonu prześwitywała odrobina światła. Zostawiłam swoją lampę w korytarzu, żeby się nie zdradzić.

Podczas całego posiłku zapamiętywałam rozkład pokoju, przygotowując się do szpiegowskiej misji. Wiedziałam, że jeśli będę się trzymać północnej ściany, nie napotkam żadnych przeszkód na drodze do drugich drzwi. Przywarłam plecami do ściany i ostrożnie przesuwalam się do przodu. Zza drzwi dobiegały zniżone głosy. Dotarłam tam w niecałą minutę i stanęłam bez ruchu, uspokajając oddech i bicie serca.

Przycisnęłam ucho do dziurki od klucza i stwierdziłam, że słyszę praktycznie każde słowo. Moi kuzyni rozmawiali spokojnie o naprawie szkód wyrządzonych przez burzę. Trwało to przez pięć lub dziesięć minut. Potem nastąpiła przerwa, kiedy Antonia nalewała świeżą kawę. Usłyszałam szelest papieru i zrozumiałam, że Anthony rozłożył gazetę. Raz w tygodniu kazał sobie przysyłać kilka dzienników z Morpeth, żeby się orientować na bieżąco w miejscowych i krajowych wydarzeniach, jak mówił. Serce we mnie zamarło ze strachu, że będzie czytał dalej w milczeniu, a po paru minutach Antonia pożegna się z nim i pójdzie spać.

Kilka chwil upłynęło w ciszy, tylko od czasu do czasu filiżanka brzęknęła o spodek albo zaszeleściła gazeta Anthony'ego. Potem usłyszałam głos Antonii, zaskakująco donośny.

- Anthony, proszę, odłóż gazetę. Musimy porozmawiać.

Rozległ się głośny szelest.

- Porozmawiać? O czym?

- Wiesz równie dobrze jak ja. Charlotte nabiera podejrzeń.

- Widziała, jak Johnson wychodzi z pokoju, to wszystko.

- Słyszała płacz, Anthony. Już ci mówiłam.

Anthony odchrząknął.

- Owszem, mówiłaś. I co z tego? Uspokoilaś ją. Ona myśli, że to wiatr.

- Bardzo wątpię, Anthony. Widziałeś ją dzisiaj wieczorem?

- Sama mówiłaś, że to jej czas miesiąca.

- Możliwe. Ale wcześniej też się dziwnie zachowywała. Myślę, że zaczęła ich widywać.

- Już?

- Tak myślę. Przynajmniej kilkoro. Boję się, że widziała Caroline. Nosi krzyżyk na szyi. Bóg jeden wie, skąd go wzięła.

- Czy ona wie, że Caroline nie żyje?

Antonia widocznie się zawahała. Słuchałam z zamierającym sercem, ponieważ niemal w tej samej chwili potwierdził się zarówno fakt istnienia Caroline, jak i jej śmierci. Czy któreś z nich się wygada, co ją spotkało?

- Anthony, powinieneś na to spojrzeć. Johnson znalazła to w pokoju Charlotte dziś rano.

- Co to jest?

- Sam zobacz.

Dłuższa pauza, potem pełen napięcia głos Anthony'ego :

- Pamiętnik? Charlotte?

- Nie, idioto. Należał do Caroline.

- Dobry Boże. Gdzie...

- Nie wiem. Widocznie był ukryty w pokoju. Charlotte go znalazła i na pewno już go przeczytała.

- Czy w nim...?

- Napisała dostatecznie dużo. Charlotte jest bystra. Potrafi dodać jedno do drugiego.

- Ale chyba nie wszystko?

- Nie, Anthony, ale dość, żeby zrozumiała, że grozi jej niebezpieczeństwo. Zadaje pytania. Johnson mówi, że wczoraj pytała o pastora.

- O pastora? Na litość, dlaczego?

- Mówiła, że chce ekshumować zwłoki swojej matki i przenieść do Kirkwhelpington. Ale nie uwierzyłam w to ani na chwilę. W tym... dzienniku Caroline kilka razy wymienia wielebno Watkinsa.

- Czyżby? I co pisze?

- Daj, zobaczę.

Znowu długa pauza, ledwie dosłyszalny szelest przewracanych kartek.

- O, tutaj: „Powiedział, że mojemu życiu może zagrażać niebezpieczeństwo, jeśli zostanę w Barras Hall”. I opisuje, jak on próbował się tutaj dostać i musiałam go przepędzić.

- Ale właściwie co ten Watkins wie? Słyszał trochę plotek od starych wieśniaków.

- Nie o to chodzi. On uwierzył Caroline. Chyba pamiętasz, jakiego zamieszania narobił po jej śmierci. Wszędzie wtykał nos.

- Nic nie znalazł.

- Znalazł dość, Anthony. Brakowało mu tylko dowodów, które się utrzymają w sądzie. Myślę, że Charlotte spróbuje się z nim skontaktować. On może narobić kłopotów. Pamiętaj, że nie jest już parafialnym pastorem. Słyszałam, że cieszy się przychylnością biskupa, a biskup jest wścibski.

- Durham jest daleko stąd. I nawet on nic nie wskóra, jeśli przeprowadzimy adopcję.

- Anthony, naprawdę uważam, że powinieneś to jeszcze przemyśleć. W ten sposób tylko ujawnimy jej obecność. Jak już będzie po wszystkim, nie chcemy, żeby władze siedziały nam na karku. Dostatecznie źle było z Caroline.

- Niemniej to przyniesie korzyści. Nie chodzi mi tylko o prawną przewagę. Jeśli Charlotte zostanie naszym dzieckiem, to ogromnie zwiększy znaczenie samego aktu.

- Jak przy Caroline?

- Tak, w pewnym sensie.

- Jednak lepiej trzymać jej obecność w tajemnicy. Wtedy po wszystkim unikniemy niewygodnych pytań.

- Może masz rację. Może adoptujemy ją prywatnie, obywając się bez formalności. Melrose powinien znać najlepszy sposób postępowania.

Zapadła cisza, potem rozległ się głos Antonii, lekko zmieniony.

- Teraz widuję ich codziennie, Anthony. Ty jeździsz konno, wyjeżdżasz do Morpeth. Dzisiaj wyrwałam się stąd po raz pierwszy od miesiąca. Czy ty masz pojęcie, co ja przeżywam pod twoją nieobecność? Oni robią się głodni, Anthony.

- Obiecali siedzieć cicho...
- Siedzą cicho przez jakiś czas, potem robią się głodni. On przede wszystkim. Chyba dłużej nie wytrzymam. Z dnia na dzień jest coraz gorzej.
- Nie mamy wyboru. Jeśli im nie damy, czego chcą...
- Możemy wyjechać.
- I jak daleko dojedziemy? Myślisz, że odległość cokolwiek dla nich znaczy?
- On tu był dzisiaj rano, Anthony. Założył welon.
- Wiem. Ja też go widziałem.
- Śpij dzisiaj ze mną. Proszę. Nie chcę być sama, jeśli on przyjdzie.
- Dobrze. - Przerwa. - Ile jeszcze zostało do urodzin dziecka?
- Trzy dni.
- Wytrzymasz tak długo?
- Nie, jeśli się zrobi za mocne.
- A co z Johnson?
- Zdradza oznaki słabości. Nie ufam jej, Anthony. Może będziemy musieli ją... kontrolować.
- Nie możemy po prostu jej puścić?
- Wiesz, że nie. Ona za dużo wie. I nie potrafi utrzymać języka za zębami.
- Myślisz, że spróbuje przeszkodzić?
- Możliwe. Przejęła się losem Caroline. I wciąż chce się zemścić za syna. Musisz bardzo wyraźnie jej przedstawić konsekwencje wszelkiej ingerencji.
- A dziewczyna? Co z nią?
- Tak. Z pewnością trzeba ją kontrolować. Jeśli ciągle się boi.
- Mówisz, że już słyszała Caroline? Może nawet ją widziała. No, niedługo pokażą się inni. Musimy bardzo starannie wszystko przygotować na jej urodziny. Jeśli coś pójdzie źle na tym etapie...
- Boję się, Anthony. Nie chcę znowu przez to przechodzić.
- Musisz. Oboje musimy. Tylko w ten sposób kupimy sobie spokój.

- Spokój? Tutaj nigdy nie zaznamy prawdziwego spokoju. Oni przycichną na jakiś czas, a potem znowu zaczną się głód.

- Chodźmy do łóżka, Antonio. Nie ma sensu dłużej o tym rozmawiać. Nic nie możemy zrobić. Obiecuję, że przypilnuję tej dziewczyny.

- Czy to się kiedyś skończy, ukochany?

- Nie za naszego życia.

- A potem?

Długie milczenie.

- Może nawet wtedy nie.

- Widziałam to wczoraj w nocy, Anthony. W ogrodzie. Jest bardzo blisko.

- Antonio...

- Zbliży się coraz bardziej. Caroline to widziała. Napisała o tym w pamiętniku.

- Czy ona... czy wiedziała, co to jest?

- Nie. Nie, skąd?

- A co z Charlotte? Jej okno wychodzi na tamtą stronę.

- Nie wiem. Czytała pamiętnik. Pewnie jest ciekawa.

- Szybko jej przejdzie ciekawość, jak to zobaczy z bliska.

- Tak. O Boże, nie mówmy już o tym, Anthony. Zabierz mnie do łóżka.

Drzwi po drugiej stronie pokoju otwarły się i zamknęły. Zostałam w ciszy i ciemności. Jedna myśl krążyła mi po głowie: muszę opuścić Barras Hall tej nocy. Inaczej nigdy stąd nie odejdę.

26.

Teraz dowiedziałam się dość, żeby przerażała mnie sama myśl o jeszcze jednej nocy pod tym dachem. Nie wątpiałam już, że kuzyni mieli wobec mnie złe zamiary. Ale nie miałam pojęcia, jak zorganizować

ucieczkę. Mieszkaliśmy na odludziu i wiedziałam, że na piechotę daleko nie zajdę. W Barras Hall nie było rowerów, a nawet gdyby były, nie umiałam jeździć na rowerze. Pozostawało mi tylko osiodłać Petrarę i dojechać konno do Morpeth.

Na miejscu zamierzałam odszukać adwokata Anthony'ego, pana Melrose, i poprosić, żeby mnie skierował do Endicotta. Ten ostatni z pewnością się zgodzi - za odpowiednią opłatą - pomóc mi odnaleźć Arthura i dopilnować, żebyśmy oboje dotarli bezpiecznie do Newcastle. Jeśli moje przypuszczenia okażą się słuszne, ani Anthony, ani Antonia nie odważą się nas ścigać zbyt daleko z obawy, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

Wiedziałam oczywiście, że Melrose się zdziwi, kiedy się pojawię w jego biurze. Ale nie mógł się porozumieć z moimi kuzynami przez telefon i liczyłam, że zrozumie, że koniecznie muszę znaleźć Arthura. Ostatecznie nie chciałam nic więcej, tylko porozmawiać z Endicottem, a adwokat z pewnością nie odmówi mi jego adresu. Po moim wyjeździe będzie mógł powiedzieć Anthony'emu, co zechce, kiedy już wyrwę się z jego szponów i daj Boże, połączę się z bratem.

Dwie główne trudności polegały na tym, jak trafić do Morpeth (ponieważ nie znałam tej okolicy) i jak zdobyć dość pieniędzy na utrzymanie i na opłacenie Endicotta. Pierwszy problem rozwiązałam, wrywając mapę tego regionu z książki w bibliotece. Mapa pokazywała Barras Hall oraz główne drogi prowadzące stąd do miasta.

Kwestia pieniędzy nastroczała więcej trudności, głównie dlatego, że czułam instynktowną odrazę na myśl o kradzieży, a innego sposobu nie miałam. W końcu, po półgodzinnym zmaganiu się ze sobą, postanowiłam zabrać kilka sztuk biżuterii, które mi pożyczyła Antonia. Sprzedam je lub zastawię, kiedy dojadę do Morpeth. Pamiętając, jak kuzyni potraktowali moją matkę, kiedy zwróciła się do nich w desperacji, nie miałam zbyt wielu skrupułów w związku z tym drobnym nadużyciem zaufania.

Doszłam do wniosku, że powinnam opóźnić ucieczkę i wyruszyć

dopiero tuż przed świtem. Inaczej mogłam zablądzić w lesie i tracie cenny czas na kręcenie się w kółko wokół miejsca, z którego chciałam uciec, albo jeszcze gorzej - pojechać w odwrotnym kierunku i trafić nie tam, gdzie chciałam.

Te godziny czekania wiele mnie kosztowały, bo nie odważyłam się spać z obawy, żeby nie zbudzić się zbyt późno na ucieczkę, a także ponieważ bałam się zasnąć, bałam się, że ocknę się w środku nocy i odkryję, że nie jestem sama.

Wysłałam z domu jakąś godzinę przed pierwszym brzaskiem.

Przelotnie rozważyłam ucieczkę przez okno, ale ściana w tym miejscu spadała prosto w dół, a ponieważ mam lęk wysokości, wolałam nie złączyć tamtędy w grubym zimowym ubraniu, nawet po powiązanych prześcieradłach. Zamiast tego postanowiłam zejść po schodach w ciemności, tylko ze świecą. Wbrew własnej woli musiałam zostawić Jaspera, bo jego szczekanie mogło zaalarmować domowników.

Bałam się jak jeszcze nigdy w życiu, ponieważ w każdej chwili spodziewałam się stanąć twarzą w twarz z człowiekiem w czerni, którego miałam powody uważać za Jamesa Ayrtona. A jeśli nie z nim, to z którymś z „innych” wspomnianych przez moich kuzynów. Wzdrygałam się na najlżejszy dźwięk i najdrobniejsze poruszenie wśród cieni.

Petrarka zdziwił się, że tak wcześniej zjawiłam się w stajni, ale ugłaskałam go pieszczotami. Nadal byłam nowicjuszką w sztuce siodłania oraz zakładania uprzęży i po ciemku niejednym raz zaplątałam się w paskach i sprzączkach. Pół godziny trwało, zanim porządnie zaciągnęłam popręg. Uzda i wodze okazały się łatwiejsze i kiedy niebo zaczęło się rozjaśniać, jechałam głównym podjazdem.

Panował dojmujący ziąb. Zaledwie wjechałam na drogę, w powietrzu zawirowały lekkie płatki śniegu. Zmartwiłam się, że złapie mnie zamieć. Według mapy musiałam trzymać się drogi przez jakieś pięć kilometrów, potem skręcić na gościniec prowadzący na wschód przez Hartburn, Throphill i Mitford. Do przejechania miałam około piętnastu kilometrów, ale liczne zakręty i zygzaki wydłużały trasę do blisko dwudziestu. Petrarka, wypoczęty, wyraźnie cieszył się z przejażdżki

pomimo zimna. Stopniowo nabrałam pewności siebie, trochę popuściłam mu cugli i ruszyliśmy różnym kłusem. Przynajmniej mróz utwardził nawierzchnię drogi. Skręcona pęcina oznaczałaby katastrofę.

Na głównej drodze pozwoliłam sobie na drzemkę, przytulona do szyi Petrarki. Śnieg sypał gęsto. Zaczęłam myśleć, że zamieć może się okazać dla mnie korzystna, jeśli pozwoli mi dojechać bezpiecznie do Morpeth i zasypie za mną drogę, uniemożliwiając pościg. Widocznie ktoś jednak nade mną czuwał.

W miarę jak pogoda się pogarszała, mój nastrój się poprawiał. Samo to, że wyrwałam się z Barras Hall, wynagradzało zawiązką wszelkie przyszłe trudy. Otwarty krajobraz wydawał mi się istnym rajem. Na co miałam narzekać? Nie tak dawno wlokłam się na piechotę po tym drogach, w łachmanach i bez grosza. Teraz miałam piękny strój i kuca. Marzyłam już o przyszłości: znajdę Arthura i zarobię dość pieniędzy, żeby się wykształcić na nauczycielkę. Zaczęłam nawet myśleć o małżeństwie, jeśli trafi się odpowiedni mężczyzna.

Kupiłam trochę chleba i mleka na farmie tuż za Throphill, płacąc dodatkową parą pięknie haftowanych rękawiczek, które wsunęłam do kieszeni. Żona farmera wiedziała, że nigdy ich nie włoży, ale na targu dostanie za nie dużo więcej niż koszt mojego skromnego posiłku. Zapytała, skąd jestem, więc odpowiedziałam, że przyjechałam z Wallington Hall, dużego domu należącego do rodziny Trevelyanów, położonego kilka kilometrów na południe od majątku moich kuzynów. Gdybym powiedziała jej prawdę, na pewno straciłabym jej sympatię.

- A czemu to panienka wyjechała tak wcześnie? I w taką brzydką pogodę?

- Mam pilną sprawę w Morpeth - wyjaśniłam.

Zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem. W tamtych czasach młode kobiety z dobrych domów nie jeździły samopas po okolicy.

- Prędej mężczyznę, daję głowę - odparła.

Zarumieniłam się i nic nie powiedziałam, żeby nie rozwiewać jej złudzeń. Obdarzyła mnie szerokim uśmiechem i wróciła do swoich zajęć. Pomyślałam, że równie dobrze mogę wykorzystać jej pozorny

współdział w czymś, co brała za romantyczną ucieczkę do narzeczonego.

- Proszę, nie mów nikomu, że tędy przejeżdżałam - zwróciłam się do niej błagalnie.

- Twój sekret jest u mnie bezpieczny. - A na dowód swojej szcerości uparła się, żeby mi zwrócić rękawiczki. - Jeszcze ci się przydadzą - oświadczyła. - Są warte sześć razy więcej niż kęs chleba i łyk mleka.

Dotarłam do Morpeth niedługo po pierwszej. Stary człowiek na Dogger Bank pokazał mi drogę do śródmieścia. Przejechałam przez Newgate Street, minawszy po prawej stronie stary przytułek. Chociaż jeszcze nigdy nie widziałam Morpeth Union, rozpoznałam go od razu. Wszystkie te miejsca wyglądały jednakowo, zbudowane według wspólnego planu, dla wspólnego celu. Przejechałam z odwróconą głową, wiedząc, że w najgorszym przypadku zabiorą mnie tutaj, a stąd przy pierwszej okazji odeślą do Chester-le-Street. Śnieg teraz tylko prosił, ale niebo wróżyło dalsze opady. Jakiś chłopiec skierował mnie do „Głowy Królowej” na Bridge Street, gdzie nakarmiono i oporzędzono Petrarke, kiedy grzałam się przy ogniu. Umierałam z głodu, ale bez gotówki nie odważyłam się niczego zamówić. Personel rzucał mi wiele ciekawskich spojrzeń, ale ja tylko uśmiechałam się w odpowiedzi i usiłowałam wyglądać normalnie. Myślę, że głównie mój staroświecki ubiór powodował liczne uniesienia brwi. Lecz kosztowne stroje, nawet niemodne, sprawiają całkiem inne wrażenie niż łachmany. Jako nędzarkę odesłano by mnie z kwitkiem. Jako bogatą dziwaczkę przyjęto mnie równie gościnnie jak każdego.

Powiedziałam, że mam sprawę do pana Melrose'a, co ich chyba utwierdziło we wcześniejszej opinii. Pomijając pytania o moją tożsamość i miejsce, skąd przybywam, poprosiłam o wskazanie drogi do jego biura. Duża kobieta o dobrotliwej twarzy, chyba kierowniczką, wytłumaczyła mi dokładnie, jak tam dojść. Okazało się, że to niedaleko. Kiedy ruszyłam do drzwi, zawołała za mną:

- Czy panienka zostaje na noc? Zapowiada się paskudna pogoda.
- Tak - odpowiedziałam. - Chciałabym pokój, jeśli macie.

Melrose z pewnością skieruje mnie do kogoś, kto wypłaci mi trochę gotówki z góry. Radość, że uciekłam tak daleko od tego okropnego miejsca, dodała mi pewności siebie, o jaką nigdy się nie podejrzewałam.

- Na pewno coś się znajdzie. Możemy się spodziewać panienki na podwieczorku?

- Na pewno możecie - odparłam.

Biura firmy Melrose i Parker znajdowały się na Newgate Street, w niskim georgiańskim budynku. Z zewnątrz sprawiały wrażenie dystyngowanej zamożności: wypolerowana na wysoki połysk mosiężna kołatka na drzwiach, również wypolerowanych na wysoki połysk, okna o błyszczących szybach, lekko przyprószonych śniegiem, lampa świecąca jasno za małym okienkiem nad drzwiami, na którego szybie namalowano nazwę firmy nowymi złotymi literami. Gdyby nie moja świeżo nabyta pewność siebie i świadomość, że jestem stosownie ubrana, pewnie umknęłabym chyłkiem spod tych lśniących, onieśmielających drzwi. Nędzarka, którą byłam zaledwie przed paroma tygodniami, spotkałaby się z szorstką odprawą.

Oczywiście ryzykowałam, przychodząc tutaj. Zakładałam jednak, że wyjadę z samego rana, nawet jeszcze tego wieczoru, jeśli odchodził dylizans do Newcastle. Liczyłam również, że zdołam wzbudzić współczucie pana Melrose'a. Wprawdzie Anthony był jego klientem, rozmawiałam jednak, że moja opowieść zrobi większe wrażenie na przedstawicielu prawa, choćby dlatego, że lepiej od innych orientował się w ewentualnych konsekwencjach, gdybym o tym powiedziała niewłaściwym osobom.

Głośno załomotałam do drzwi. Po chwili otworzył mi chłopiec w skromnej liberii.

- Chciałabym się zobaczyć z panem Melrose'em - powiedziałam.
- Nie ma go.
- Przyjechałam z daleka.
- To bez różnicy. Nie ma go.
- No, a kiedy wróci? Na pewno nie wyszedł na długo w taki dzień.

Chłopiec jakby się zastanowił.

- Może za godzinę albo dłużej.
- W porządku - oświadczyłam - mogę zaczekać.
- No, tutaj panienska nie może. Mam ściśle polecenia.

W tejże chwili ktoś pojawił się za plecami małego odźwiernego. Był to młody mężczyzna około trzydziestki, ubrany jak dżentelmen.

- O co chodzi, Fenwick?
- Jakaś kobieta, sir.
- Widzę.

Mężczyzna odsunął Fenwicka na bok i zajął jego miejsce w drzwiach.

- W czym mogę pani pomóc?

Powtórzyłam, że przyszedłam się zobaczyć z panem Melrose'em.

- Tak, oczywiście. Niestety pojechał do klientki i może wróci bardzo późno. Właściwie jest wysoce prawdopodobne, że nie wróci przez całe popołudnie. Klientka to niedawno owdowiała dama i niestety jej sprawy są nieco skomplikowane.

Twarz mi się wydłużyła. Dotrzeć tak daleko...

- Czy ja mogę jakoś pomóc? Jestem partnerem pana Melrose'a.
John Parker.

Wahałam się tylko przez chwilę, potem kiwnęłam głową.

- Tak - powiedziałam. - Tak, na pewno pan może. Każdy z panów.
- No więc akurat jestem wolny. Pani na pewno zmarzła. Proszę wejść.

Zaprosił mnie do środka, machnięciem ręki usuwając z drogi chłopca, i wprowadził mnie do pokoju tuż obok holu. Na kominku płonął ogień. Parker pomógł mi zdjąć pelerynę, zaprowadził do kominka i przysunął mi fotel. Kiedy usiadłam, zaproponował herbatę. Wezwał chłopca i kazał mu przygotować poczęstunek. Poczulałam się bardzo odprężona. Wszystko poszło o wiele łatwiej, niż przypuszczałam.

- A teraz - powiedział, siadając w fotelu naprzeciwko - co mogę dla pani zrobić?

- Ja... właściwie nie wiem, od czego zacząć.

- No, a jak pani się nazywa? Może od tego zaczniemy.
- Oczywiście. Przepraszam, zachowałam się bardzo niegrzecznie.

Po prostu... Nazywam się Charlotte Metcalf. Moim ojcem był Douglas Metcalf. Miał zakłady alkaliczne w pobliżu Newcastle. Może pan o nim słyszał.

- Metcalf? Tak... chyba wiem, o kogo chodzi. - Zawahał się. - Ale czy...? Czy pani ojciec nie żyje?

Kiwnęłam głową.

- Ale pan na pewno o mnie słyszał.

- O pani? Nie, chyba nie.

- Jestem kuzynką Ayrtonów. Z Barras Hall. To chyba wasi klienci. Wyraz głębokiego zdumienia pojawił się na twarzy Parkera.

- Ayrtonowie? Ależ nie miałem pojęcia... Oczywiście, to raczej klienci pana Melrose'a, chociaż wielokrotnie załatwiałem bardziej rutynowe sprawy sir Anthony'ego. Jestem młodszym współnikiem, panienka rozumie. Jest nas tylko dwóch. Ale pani mnie zdumiewa, panno Metcalf. Nie miałem pojęcia, że Ayrtonowie mają jakichś żyjących krewnych. Z pewnością dla pana Melrose'a to również będzie wielka niespodzianka.

Zrobił przerwę.

- Ale proszę mi wybaczyć. To ja powinienem wysłuchać, co panią tu sprowadza.

Zacinając się, opowiedziałam mu tyle, ile mogłam. O śmierci ojca, o przytułku, odejściu matki, rozdzieleniu z Arthurem, wizycie u kuzynów i jak mnie przyjęli. Co do pobytu u nich, postanowiłam na razie przemilczeć pewne szczegóły.

- Wyznaję - powiedział, kiedy dotarłam do końca - że poczułem się nieco zbity z tropu. Mówi pani, że mieszka pani u kuzynów, którzy troszczą się o pani dobro. A jednak przyjeżdża pani tutaj sama, w mroźny zimowy dzień, żeby zobaczyć się z panem Melrose'em. Z pewnością kuzyni mogą załatwić wszelkie prawne formalności w pani imieniu. Chyba nie powie mi pani, że przyjechała tu pani bez ich wiedzy?

- Sir, mam powody, żeby nie życzyć sobie dalszego pobytu w Barras Hall. Powiedzmy, że doszło do różnicy zdań pomiędzy mną a moimi kuzynami, i na tym poprzestańmy. Wolałabym się nie zagłębiać w tę kwestię.

Zdawało mi się, że dostrzegłam w jego oku błysk zrozumienia. Oczywiście nie mógł rozumieć istoty sprawy, o której napomknęłam, ale wyraz mojej twarzy i ton głosu chyba dały mu trochę do myślenia.

- W takim razie co panią tu sprowadza?

Wyjaśniłam sprawę Arthura.

- Muszę jak najszybciej znaleźć Endicotta - oświadczyłam. - Nie chcę, żeby odstawili mojego brata do Barras Hall, kiedy go znajdą. Chcę, żeby go przywieźli do mnie, chcę, żeby ze mną zamieszkał. Wiem, że pan Melrose zaangażował Endicotta, więc chcę tylko wiedzieć, gdzie go mogę znaleźć w tej chwili.

Parker popatrzył na mnie dziwnie, jakbym powiedziała coś niestosownego.

- Panno Metcalf, przepraszam panią na chwilę. Muszę sprawdzić kilka rzeczy. To znaczy... wrócę za chwilę.

W rzeczywistości zabrało mu to dobrych kilka chwil. Upłynęło dwadzieścia minut albo więcej, zanim wrócił. Siedziałam w fotelu, sączyłam słodką herbatę i słuchałam cichego tykania zegara na kominu. O mało nie usnęłam.

Parker wszedł do pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi. Kiedy usiadł naprzeciwko, zauważyłam, że coś go wytrąciło z równowagi.

- Panno Metcalf, przepraszam, że pytam, ale zechce mi pani jeszcze raz opisać okoliczności, w których pani kuzyn zatrudnił tego pana Endicotta?

Powtórzyłam to, co Anthony mi powiedział tamtego drugiego wieczoru przy obiedzie.

- I na pewno nie przekreśliła pani nazwiska?

Kiwnęłam głową.

- Widziałam je kilkakrotnie - wyjaśniłam - na listach, które kuzyn mi pokazywał.

- Panno Metcalf, z przykrością muszę stwierdzić, że pani się myli. Właśnie sprawdziłem akta pana Melrose'a i kilka książek adresowych. Nie ma żadnych dokumentów świadczących, że zatrudnił kogoś nazwiskiem Endicott do zadania, o którym pani mówi. Nigdy mi o tym nie wspominał. Ani też... - zrobił przerwę - ...nie ma firmy o takiej nazwie w Londynie ani nigdzie indziej.

- Ale to niemożliwe - zaprotestowałam. - Anthony mówił, że to największe biuro detektywistyczne w Londynie. Na pewno są w spisie.

Pokręcił głową.

- Niestety nie. Szukałem bardzo dokładnie. Przykro mi.

Sięgnęłam do torebki i wyjęłam niewielką paczuszkę listów, które zabrałam z biurka Anthony'ego.

- Ale proszę spojrzeć - nalegałam. - To są listy od Endicotta. Niech pan sam zobaczy.

Wziął je ode mnie i przejrzał. Zauważyłam, że spochmurniał. Podniósł na mnie wzrok, potem zaczął czytać listy wolniej. Skończył, odłożył je na oparcie fotela i znowu na mnie spojrział.

- Droga panno Metcalf, nie ukrywam, że te listy bardzo mnie niepokoją.

- Dlaczego? Co w nich jest złego?

Widziałam, że się zawahał, jakby toczył wewnętrzny spór, czy mi powiedzieć, czy nie.

- No więc? Co w nich złego? Pan Endicott napisał je osobiście.

Powoli pokręcił głową.

- Niestety, panno Metcalf, padła pani ofiarą podłego oszustwa. Te listy nie są napisane charakterem pisma tajemniczego pana Endicotta.

- Ale... skąd pan wie, skoro sam pan mówił, że pan nie zna żadnego Endicotta?

- Ponieważ... - Znowu przerwał. - Ponieważ wszystkie napisane są charakterem pisma pani kuzynki, Antonii Ayrton. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

27.

Upłynęło sporo czasu. Pamiętam bardzo niewiele z tego, co się działo. Chyba płakałam, ponieważ kiedy do mnie dotarło, jak dałam się nabrać, straciłam wszelką nadzieję, że Arthur jeszcze żyje. Mój brat zginął i ogarnęło mnie okropne przeczucie, że zabili go moi kuzyni. Opowiedziałam Parkerowi o wycinkach prasowych, które znalazłam w gabinecie Anthony'ego. Opowiedziałam mu o dzienniku Caroline. I wręczyłam mu dziennik Jamesa Ayrtona, który położył na biurku i obiecał, że przeczyta go później.

- Mówi pani, że kiedy ona zmarła?
- Dokładnie dziesięć lat temu. Osiemnastego tego miesiąca. To były jej urodziny. I moje też.

- Dziesięć lat. Na długo, zanim zacząłem tu pracować. Ale mogę sprawdzić fakty.

- Więc pan mi wierzy?
- Wierzy? Sam nie wiem, w co wierzyć.
- Słyszałam ją.
- Słyszała ją pani?
- Niejeden raz. Płakała w nocy. Mają tam pokój, zwykle zamknięty na klucz. W oknach są kraty. Myślę, że tam ją więzili.

- Rozumiem.

Tak bardzo chciałam, żeby mi uwierzył. Nie tylko dlatego, że potrzebowałam współczucia. Czułam, że mogę mu zaufać. A bardzo potrzebowałam kogoś godnego zaufania.

- Czy pan mi pomoże? - zapytałam. - Jeśli zabili Arthura, trzeba ich powstrzymać.

- Musimy zdobyć więcej dowodów.

- Pan je znajdzie?

Zawahał się.

- Nie wiem. Ale zobaczę, co się da zrobić.

W tej samej chwili drzwi się otwały i do pokoju wszedł drugi mężczyzna. Po drodze rozpiął płaszcz i strząsał śnieg z cylindra. Twarz miał okrągłą i rumianą, zaczerwienioną od wiatru. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat.

- John? Co się dzieje? Tom mówi, że masz gościa.

Parker nas przedstawił. Jak się domyśliłam, nowo przybyłym okazał się jego partner. Stephen Melrose. Spojrzał na mnie trochę dziwnie, kiedy Parker wymienił moje nazwisko.

- Metcalf? Charlotte Metcalf? Przypadkiem nie od Ayrtonów? Przymknęłam.

- Bardzo dziwne. Pani kuzyn wspomniał o pani kilka razy. Tak, rzeczywiście widzę podobieństwo. Ładniutka z pani dziewczuszka. Ale o tym jakoś nie wspomniał.

Zdjął szalik, z pomocą Parkera zrzucił ciężki płaszcz i natychmiast podszedł do kominka, rozcierając ręce. Sięgnął po pogrzebacz.

- Wielkie nieba, dziecko, co cię sprowadza z tak daleka w taki mróz? Czy Anthony Ayrton nie potrafi się lepiej opiekować krewniaczką?

- Lepiej wysłuchaj jej historii, Stephen. Zawiera parę niepokojących rzeczy. Nasza młoda dama miała ciężkie przeżycia.

Melrose skończył poprawiać ogień. Odłożył pogrzebacz na stojak i odwrócił się do mnie.

- To widać.

Przyglądał mi się bardzo uważnie, jak mało wiarygodnemu świadkowi, na którego zeznaniach musiał się opierać.

- To nie potrwa długo, prawda? Mam na głowie zatwierdzenie testamentu tej kobiety.

- Niezbyt długo, sir - odparł Parker, rzucając mi znaczące spojrzenie. Melrose miał minę pełną powątpiewania.

- No dobrze, dobrze, miejmy to za sobą. - Spojrzał na zegarek, potem na zegar. - Ale proszę się streszczać.

Tak więc znowu opowiedziałam moją historię, zmierzając jak najszybciej do sedna. Parker wtrącił, co odkrył w sfalszowanych listach.

Melrose zażądał ich pokazania, zerknął na jedną czy dwie kartki i odrzucił je. Pod koniec spoważniał.

- No cóż, moja droga - mruknął - dałaś mi sporo do myślenia. Całkiem sporo. Ale... - pogmerzał przy łańcuszku od zegarka - w mojej opinii wyciągasz pochopne wnioski. Znam Anthony'ego Ayrtona i jego siostrę od dziecka. Wcześniej prowadziłem sprawy ich ojca. Porządni ludzie, cała rodzina. Uczciwi. Nie chodzą do kościoła, przyznaję; ale równie dobrzy z nich chrześcijanie jak wielu parafian. Myślę, że popełniła pani głupi błąd. I kosztowny, sądząc z tego, co mi pani mówiła o własnym położeniu.

Stanowczo pokręciłam głową.

- Nie, sir, nie popełniłam błędu.

- No, jak pani sobie życzy. Niemniej czy nie lepiej porozmawiać z sir Anthony'm? Dać mu szansę, żeby wytłumaczył niektóre z tych... anomalii. To chyba sprawiedliwe podejście?

- Sir, wolałabym, żeby pan nic nie mówił mojemu kuzynowi. Zdecydowałam, że zrywam z nim wszelkie kontakty. Nie o wszystkim panu powiedziałam. Nie wszystko nadawało się do opowiedzenia. Proszę go tutaj nie sprowadzać.

Parker podszedł do mnie od tyłu i uspokajająco poklepał mnie po ramieniu.

- Stephen - powiedział - myślę, że dziewczyna ma rację. Jeśli nawet nic więcej nie zaszło, wyraźnie czegoś się przestraszyła. Nie zawiadamiajmy na razie Ayrtona. Przynajmniej dopóki sami nie zadamy kilku pytań. A panna Metcalf ma prawo stąd wyjechać, jeśli sobie tego życzy. Ayrton nie ma nad nią żadnej legalnej władzy, prawda? Nie jest jej opiekunem ani nic takiego?

Melrose zamierzał chyba coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Pokręcił głową.

- No dobrze - zgodził się. - Zrobimy, jak panienka chce. - Przerwał. - Ale chyba pani nie wyjedzie dziś wieczorem, panno Metcalf?

Pokręciłam głową.

- Ma pani gdzie przenocować?

Powiedziałam o gospodzie Pod Głową Królowej, gdzie Petrarka dostał miejsce w stajni.

- Ale nie mam gotówki - ciągnęłam. - Chciałam... - myślałam szybko - ...sprzedać parę rzeczy po matce.

Wyciągnęłam rękę do torebki, gdzie trzymałam biżuterię, ale Parker chwycił ją mocno.

- Nie ma takiej potrzeby, z pewnością. Stephen, nasz klient z pewnością nie pożąda małej sumki dla bratanicy? Nawet w tych okolicznościach.

Melrose kiwnął głową.

- Nie, na pewno nie pożąda. Pewnie teraz się zamartwia, co się z nią stało. Weź, ile znajdziesz w podręcznej kasie, John. Ztroszczymy się o poważniejszą kwotę jutro, kiedy otworzą banki. Nie martw się, biorę na siebie pełną odpowiedzialność.

Kiedy wypłacono mi zawrotną sumę trzech funtów szterlingów - sporo pieniędzy jak na tamte czasy - Parker pomógł mi nałożyć pelerynę i zaproponował, że odprowadzi mnie do gospody. Zapadał zmrok i Parker martwił się, żebym nie zabłądziła w mieście. Pożegnałam się z Melrose'em i wyszliśmy.

W hotelu Parker zwrócił się do mnie:

- Proszę do nas przyjść z samego rana. Zorganizujemy gotówkę, którą obiecał stary Melrose, a potem porozmawiamy o pani wyjeździe do Newcastle. Jeśli nadal pani tego chce.

- Dzisiaj wieczorem nie ma dyliżansu, prawda?

Gwałtownie pokręcił głową.

- Nie, i nie powinna pani nawet o tym myśleć. Potrzebuje pani wypoczynku. Dopilnuję, żeby dali pani najlepszy pokój. Proszę iść do łóżka od razu po kolacji.

Podszedł do kontuaru i po krótkiej rozmowie z recepcjonistą zapewnił mnie, że wszystko załatwione.

Zanim wyszedł, podszedł do mnie blisko.

- Panno Metcalf, za pozwoleniem, chciałbym panią o coś zapytać.

- Tak?

- Chodzi o to, co mi pani powiedziała wcześniej. O... Caroline Ayrton. Mówiła pani... że słyszała jej płacz w drugim pokoju. Z pewnością... panno Metcalf, nie chcę się pani wydać impertynencki, ale z pewnością nie spodziewa się pani, że w to uwierzę.

Popatrzyłam na niego bardzo spokojnie. Widziałam, że był zakłopotany.

- Dobrano, panie Parker. Zobaczymy się jutro.
- Nie, proszę zaczekać. Muszę wiedzieć.
- Czy straci pan wiarę we mnie, jeśli powiem, że tak?

Zawahał się.

- Może...- urwał.
- Może pan zwątpić we wszystko inne, co panu powiedziałam, jeśli pan pomyśli, że słyszę głosy. Ma pan prawo myśleć, co się panu podoba, panie Parker. Ale ja słyszałam Caroline Ayrton. I widziałam ją. Widziałam i słyszałam dużo więcej. Wiem, co się dzieje w Barras Hall. Jeśli pan mi nie wierzy, niech pan sam tam pomieszka.

Patrzył na mnie przez długi czas, jakby próbował podjąć decyzję. Przeszłam prosto z ulicy do jego biura z historią zbyt fantastyczną, żeby ją przyjąć na słowo. Nie byłby człowiekiem, gdyby nie miał wątpliwości.

- No cóż, panno Metcalf- powiedział w końcu. - Nie wiem, co sądzić o pani i pani historii. Najlepiej niech się pani dobrze wyspi. Zobaczymy się rano.

Owinąwszy twarz szalem, wyszedł z powrotem na mróz.

Głód porządnie dawał mi się we znaki, więc zapytałam, czy mogę dostać wczesną kolację. Podano mi ją w jadalni. Było jeszcze za wcześnie na innych gości, więc jadłam sama. Ciepło i jedzenie sprawiły, że poczułam się zmęczona. Poszłam prosto do swojego pokoju, gdzie zamierzałam od razu się położyć, zgodnie z radą Parkera. Sama myśl o spaniu w miejscu, gdzie nie przeszkadzają mi dziwne odgłosy ani widoki, podziałała jak środek nasenny.

Ale kiedy się położyłam, nie mogłam zasnąć. Myśli o Arthurze kołowały mi się w głowie, nie dając spokoju. Myślałam... szczerze mówiąc, sama nie wiem, co myślałam. Że Arthur nie żyje i spoczywa w

mogile za grobowcem Jamesa Ayrtona. Że człowiek, który zmarł ponad sto lat temu, czeka na mnie, jeśli kiedykolwiek wrócę do Barras Hall. Człowiek w czerni i coś jeszcze, coś, co Caroline Ayrton widziała nocą w ogrodzie, jak podpełzało coraz bliżej domu, coś, co sama widziałam w cieniu obok fontanny. Im dłużej tak leżałam, tym większy ogarniał mnie strach. Nawet tutaj, poza granicami posiadłości moich kuzynów, znowu sięgało po mnie zło, którego dotknęłam.

Nie mogłam dłużej wytrzymać tego leżenia w ciemności. Wstałam i zapaliłam wszystkie światła. Dochodziła siódma. Podeszłam do okna i wyjrzałam; śnieg przestał padać, na dole ulica lśniła bielą w miękkim blasku dwóch gazowych lamp. Każda lampa tworzyła swój własny mały świat. Wokół dwóch krążków światła gromadziły się ciemność i chłód.

Od paru chwil jedno nazwisko tłukło mi się w głowie. Manners. Pani Manners. Wyteżałam pamięć, ale nie mogłam sobie przypomnieć, kim ona jest i skąd znam to nazwisko.

Latarnie na ulicy jakby nieco przygaśły. Za moimi plecami lampa zamigotała, w pokoju pociemniało i znowu zrobiło się jaśniej. Całkowicie normalne zjawisko, wahania ciśnienia gazu, ale i tak się denerwowałam.

W tej samej chwili przypominałam sobie panią Manners. Caroline wymieniła jej nazwisko w swoim dzienniku. Tamtego dnia, kiedy pojechały z Antonią do Morpeth na przymiarkę u madame Doubtfire, Antonia złożyła jej wizytę. Pani Manners była medium i mieszkała na ulicy o nazwie Copper Chase.

Owładnęło mną dziwne podniecenie. Medium. Ktoś, kto potrafi się komunikować ze zmarłymi. Popatrzyłam na spokojną ulicę, na ślady stóp na śniegu. Czy pani Manners zgodzi się znaleźć dla mnie Arthura? Porozmawiać z nim? Przekazać od niego wiadomość? Zadrżałam na tę myśl. Ale miałam powody wierzyć, że zmarli mogą mówić. Arthur mógł mi dostarczyć dowodów, których poszukiwałam.

Wyrzuciłam tę myśl z głowy i dalej patrzyłam na latarnie, które rzucały kręgi światła na śnieg. Zauważyłam, że jeden ciąg śladów wydawał się dziwnie niewyraźny, jakby istniał i nie istniał, gra cieni, złudzenie

zmęczonych oczu. Kiedy ponownie spojrzałam, nic nie zobaczyłam.

Podjęłam decyzję. Odwiedzę panią Manners. Powiem jej wszystko, co wiem. A ona mnie uspokoi.

28.

Nie za późno na wyjście, panienko?

Obejrzałam się na potężną kobietę, tę, którą wcześniej wzięłam za kierowniczkę. Siedziała za kontuarem i spoglądała na mnie z zatroskaną miną. Oprócz nas nikogo nie było w holu.

- Dopiero siódma - zauważyłam.

- No, ja tam nie chcę się wtrącać, panienko. Ale pogoda jest okropna. Na panienki miejscu zostałabym w domu.

- Muszę kogoś znaleźć. To bardzo ważne.

Zmarszczyła brwi.

- Chodzi o pana Parkera, panienko? Mogę kogoś posłać po niego, jeśli panienka chce.

- Nie - odparłam. - To go nie dotyczy.

- Czy to nie może poczekać do jutra?

Pokręciłam głową.

- Obiecałam, że przyjdę dziś wieczorem - skłamałam. - Ona na mnie czeka.

- Daleko panienka zamierza iść?

- Niedaleko. Tylko na Copper Chase.

Kiwnęła głową, nieco uspokojona.

- No, tam panienka zajdzie w pięć minut. - Wyszła zza kontuaru. - Zna panienka drogę?

- Nie. Myślałam, że pani mi udzieli wskazówek.

- Oczywiście, moja droga. Ale nie podoba mi się, że taka młoda dziewczuszka wychodzi sama w taką noc. Posłuchaj no, panienko, zaczekaj

tutaj, a ja zawołam Teda. Odprowadzi panienkę bezpiecznie, a jak mu panienka powie, o której zamierza wracać, bez kłopotu przyprowadzi panienkę na powrót.

- Nie... - zaczęłam, ale ona już wyszła.

Wróciła po pół minucie, prowadząc portiera Teda. Był to wysoki mężczyzna po pięćdziesiątce, z bujnym rudym wąsem. Pochylił się nade mną z uśmiechem.

- No, panienko, słyszałem, że wybiera się panienka z wizytą dziś wieczorem.

Przytaknęłam.

- Kogo panienka chce odwiedzić?

Zawahałam się.

- Panią... panią Manners - wyjąkałam. - Ona mieszka na...

Wyprostował się i uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Wiem, gdzie ona mieszka, panienko.

Wymienił spojrzenia z kierowniczką, która zwróciła się do mnie:

- Jaki panienka ma do niej interes?

- To... moja ciotka - skłamałam. - Obiecałam mamie, że ją odwiedzę, kiedy tu będę.

Zmierzyła mnie ostrym wzrokiem, po czym powiedziała do Teda:

- Ano, nie ma rady, skoro to ciotka tej panny. Dopilnuj, żeby tam bezpiecznie dotarła, Ted. I koniecznie ją odprowadź z powrotem.

Na dworze panował siarczysty mróz. Chodniki były śliskie i Ted wziął mnie pod ramię, kiedy szliśmy po zlodowaciałym śniegu. Nasze oddechy kłębiły się w świetle gazowych latarń na głównej ulicy i po chwili rozplywały się w mroku. Wiatr przenikał do szpiku kości.

- Tak naprawdę ona nie jest panienki ciotką? - zagadnął Ted, kiedy skęciliśmy za róg i schowaliśmy się przed wiatrem.

- Skąd...?

- Proszę się nie obrażać, ale nie potrafi panienka dobrze kłamać. I słyszałem, że pani Manners nie ma żadnych żyjących krewnych. Choć dla niej pewnie to bez znaczenia.

Patrzyłam przed siebie i szłam dalej.

- Czy to ktoś bliski?
- Ktoś...?
- Z kim panienka chce mówić. Podobno ona rozmawia ze zmarłymi.

Zapadło pomiędzy nami długie milczenie i tylko śnieg prószył bezgłośnie.

- Mój brat - powiedziałam w końcu. - Mój brat Arthur.
- Rozumiem. Od dawna nie żyje?
- Ja... nie wiem - wymamrotałam. - Tego muszę się dowiedzieć.

Może on wcale nie umarł. Nie wiem.

Skręciliśmy za następny róg. Uliczna latarnia oświetlała nazwę ulicy, w którą weszliśmy: Copper Chase. Cisza i śnieg, i wokół ani żywej duszy oprócz Teda.

- Numer dziewięć, panienko. Część St James's Terrace.

Po jednej stronie ulicy stały szeregiem niegdyś okazałe, teraz zaniedbane dwupiętrowe domy. Naprzeciwko rysowała się ciemna sylwetka kościoła St James's, jak skała, godząc w zimowe niebo..

- Zna pan ten dom?
- Prawie każdy w Morpeth zna ten dom, panienko. I większość ludzi trzyma się z daleka. Nie wolno się mieszać w sprawy zmarłych.
- Nie mieszam się.

Zawahał się, spojrzał na mnie.

- Nie - przyznał - chyba nie.

Zatrzymaliśmy się przed domem, który wydawał się nieco lepiej utrzymany od pozostałych.

- To tu - powiedział Ted. - Zostawię tu panienkę i wracam. Skończycie przed dziewiątą?

Skończymy? Zupełnie jakbym miała wizytę u dentysty albo krawcowej. To, co zamierzałam rozpocząć tej nocy, nigdy się nie skończy.

- Tak - powiedziałam. - Proszę przyjsz o dziewiątej.

Dotknął czapki i chciał już odejść, ale odwrócił się i przyjrzał mi się

zwięzonymi oczami w nikłym świetle padającym z latarni po drugiej stronie ulicy.

- Niech panienka koniecznie na mnie zaczeka, cokolwiek się stanie. Nie chcę, żeby panienka wracała sama po ciemku do gospody.

Ponownie dotknął czapki i ruszył z powrotem. Miękki śnieg tłumił odgłos jego kroków. Zobaczyłam jego ciemną sylwetkę w blasku pierwszej ulicznej latarni, potem zniknął za rogiem i zostałam sama.

Nad drzwiami świeciła lampa. Przez długi czas stałam i wahałam się, pomimo zimna i strachu przed nacierającą zewsząd ciemnością. W końcu zebrałam się na odwagę i pociągnęłam za sznur dzwonka.

Dzwonek zabrzączał gdzieś daleko, na końcu długiego korytarza. Mijały minuty. Za moimi plecami wiatr zawodził żałośnie. Zadrżałam i postawiłam kołnierz. Rozległy się kroki i drzwi się otwały. Na progu stanęła kobieta w średnim wieku, w stroju pokojówki.

- Tak, panienko? Czym mogę służyć?
- Szukam... pani Manners. Czy to jej dom?
- Tak, panienko. Ale pani Manners dzisiaj nikogo nie przyjmuje. Chodzi pani o komunikację?

- Kom...? Nie... to znaczy, muszę się pilnie z nią widzieć.
- Niech panienka przyjdzie jutro. O ósmej jest spotkanie. Przyjmą panienkę z radością. Ale nie dzisiaj.

- Koniecznie muszę się widzieć z panią Manners. Proszę jej powiedzieć... - Rozpaczliwie usiłowałam wymyślić jakiś sposób, żeby pokonać tę przeszkodę. - Proszę jej powiedzieć, że przyszła przyjaciółka Caroline Ayrton. Że muszę się z nią widzieć dziś wieczorem. Że mam bardzo poważne kłopoty.

Pokojówka chyba się zawahała.

- Proszę tu poczekać. Jakie to nazwisko?
- Caroline Ayrton. Proszę powiedzieć, że jestem przyjaciółką panny Ayrton.

Zamknęła drzwi. Czas mijał; zaczęłam się obawiać, że potraktowano mnie jak nieproszonego gościa i pani Manners kazała pokojówce

zostawić mnie na progu, dopóki zimno mnie nie przepędzi. Wreszcie jednak drzwi znowu się otwały i wpuszczono mnie do holu.

Spodziewałam się czegoś dramatycznego, sama nie wiem - grubych aksamitnych zasłon, marmurowych posągów, obrazów przedstawiających orientalne bóstwa. Ale hol wyglądał całkiem zwyczajnie, zwyczajny korytarz w zwyczajnym angielskim domu, jasno oświetlony i dość przestronny.

Pokojówka zaprowadziła mnie do salonu po lewej stronie. W fotelu na lewo od kominka czekała na mnie kobieta. Wstała, kiedy weszłam.

- Pani Manners, to jest ta młoda dama, która chciała się z panią widzieć.

- Dziękuję, Florence. Możesz wracać do kuchni. Zadzwoń, jeśli będę cię potrzebować.

Przeniosła uwagę na mnie.

- Proszę usiąść.

Zauważyłam, że nie poprosiła mnie, żebym zdjęła płaszcz. Stanowiła jeszcze większą niespodziankę niż sam dom. Drobną kobietą po pięćdziesiątce, jak przypuszczałam, ubrana skromnie, ale nie biednie, z włosami ułożonymi w całkiem nowoczesnym stylu. Widocznie spostrzegła, że jej się przyglądam.

- Nie tego się pani spodziewała?

Zarumieniłam się i pokręciłam głową.

- Nie spełniam oczekiwań większości ludzi.

Usiadła naprzeciwko mnie i przez ponad minutę nie spuszczała wzroku z mojej twarzy.

- Nie znam nikogo nazwiskiem Caroline Ayrton - powiedziała wreszcie.

- Myślałam... - zawahałam się.

- Tak?

- Myślałam, że znała pani jej matkę, Antonię Ayrton.

Zapadło krótkie milczenie.

- Spodziewałam się usłyszeć coś takiego. Antonia Ayrton. Tak, znam ją. Ale nie widziałam jej od ładnych paru lat.

- Caroline była jej córką.
- Tak. Tak pani mówi. Podobno była pani przyjaciółką tej Caroline.

- Jestem kuzynką Antonii - wyjaśniłam. - Przyjechałam dzisiaj z Barras Hall.

Zmarszczyła brwi. Widziałam, że gwałtownie wciągnęła powietrze. Potem odezwała się zmienionym głosem:

- Rozumiem. Pani tam mieszka?

- Już nie. Ale spędziłam tam jakieś dwa miesiące.

- Tak. Zaczynam rozumieć, dlaczego pani do mnie przyszła. No cóż, chyba dosyć od pani usłyszałam. Niech się pani nie gniewa, ale muszę panią prosić o opuszczenie tego domu. Nie mogę nic dla pani zrobić. Przykro mi, ale taka jest prawda.

- Błagam, nie mogę odejść. Nie pozwoliła mi pani wytłumaczyć, po co przyszłam. Tylko pani może mi pomóc. Mój brat nie żyje. Podejrzewam, że został zamordowany. Tylko pani może mi pomóc z nim porozmawiać.

- Nie! - Nagle jej głos stał się piskliwy. Odetchnęła szybko kilka razy i trochę się uspokoiła. - Przykro mi, ale... to niewskazane.

- Pani się boi - powiedziałam. - Dlaczego? Czego pani się boi?

- Pani - odparła. Zawahała się. - Ayrtonów. Barras Hall. Nie chcę mieć nic wspólnego z tą rodziną. Ani z tym miejscem.

- Więc pani wie, co tam się dzieje.

- Naprawdę powinna pani odejść.

- Nie mogę - oświadczyłam. - Nie mam się do kogo zwrócić.

- Panno Ayrton...

- Nazywam się Metcalf. Charlotte Metcalf.

- Doskonale, panno Metcalf. Musi pani zrozumieć. Jestem bardzo zwyczajną kobietą obdarzoną... dziwnymi zdolnościami. Nie zostałam medium z wyboru. Kiedy zmarł mój mąż, miałam zaledwie trzydzieści lat. Wpadłam w rozpacz, ponieważ byliśmy małżeństwem zaledwie od paru lat i bardzo go kochałam. Próbowałam... z nim rozmawiać. I on odpowiedział. Potem odkryłam, że stałam się otwarta na... pewne wrażenia. Nie

jestem bogata, ale mam prywatny dochód z majątku męża. Od dwudziestu lat przyjmuję wizyty ludzi, którzy stracili kogoś bliskiego. Nie pobieram opłaty, nie czerpię materialnych korzyści z mojej pracy. Przychodzą do mnie bardzo zwyczajni ludzie. Raz na tydzień odbywa się seans, przez dwa inne wieczory przyjmuję indywidualne osoby i od czasu do czasu umawiam się na specjalne spotkania. Przyjeżdżają do mnie nawet z daleka: z Newcastle, Gateshead, nawet z Sunderland. Wielu z Berwick i znad szkockiej granicy. Mam do czynienia ze zwyczajną śmiercią. Duchy, które przychodzą do tego domu, są łagodne. Nie przekazują wstrząsających wiadomości, tylko słowa pociechy dla osieroconych bliskich. Rozumie mnie pani? To nie jest miejsce dla niespokojnych duchów. Cokolwiek pani widziała czy słyszała w Barras Hall, nie chcę się w to mieszać.

- Zabili mojego brata - powiedziałam. - Jestem pewna, że zabili Caroline. A przed nią wielu, wielu innych. I wiem, że mnie też chcą zabić.

W tamtej chwili dotarłam do granicy wytrzymałości. Nerwy miałam w strzępach. Wszystko zważyło się na mnie jednocześnie i zalałam się łzami, gorzkimi, palącymi łzami rozpacz.

Pamiętam tylko, że pani Manners tuliła mnie w ramionach, uciszała mnie, uspokajała. Myślę, że widziała sporo cudzych łez w tym małym saloniku. Kiedy się rozplakałam, nagle stałam się częścią jej normalnego świata i mogła potraktować mnie tak jak innych gości.

Kiedy trochę się uspokoiłam, przyniosła mi kieliszek brandy i zmusiła, żebym wypila łyk.

- Lepiej powiedz mi trochę więcej o sobie - zaproponowała.

- Pomoże mi pani?

Spochmurniała.

- Zobaczę, co się da zrobić.

Pokój, w którym odbywały się seanse, znajdował się na tyłach domu. Pani Manners tam mnie zaprowadziła. Wydawała się lekko zdenerwowana, jakby niepewna, na co się porwała. Myślę, że sporo wiedziała

o Barras Hall, znacznie więcej, niż sama odgadłam. Antonia na pewno dużo jej zdradziła, jeśli nie bezpośrednio w rozmowie, to podczas wspólnych seansów spirytystycznych. A jeśli w Morpeth czy okolicy krążyły pogłoski o duchach, z pewnością trafiły do uszu pani Manners.

Kazała służącej dopilnować, żeby nam nie przeszkadzano.

- Proszę - powiedziała - usiądź wygodnie w tym fotelu.

Usiadłam w wyściełanym fotelu z wysokim oparciem. Pokój był bardzo zwyczajny, niemal pozbawiony mebli. Żadnych ciężkich draperii ani przesłodzonych dekoracji, jakie kojarzą się współczesnym ludziom z salonami wiktoriańskich albo edwardiańskich mediów. Nigdzie nie dało się ukryć dzwonka, gipsowej ręki czy słoika z ektoplazmą. Pokój oświetlały gazowe lampy w ściennych kinkietach. Jediną ozdobę stanowiła samotna plakietka na ścianie z napisem: „Ty mnie widzisz, Boże”. Duży okrągły stół bez obrusa służył do cotygodniowych seansów spirytystycznych. W kominku rozpalono ogień.

Pani Manners cicho usiadła obok mnie.

- Charlotte - powiedziała - zanim zaczniemy, wyjaśnię ci, co się stanie. Usiądę naprzeciwko ciebie i wezmę cię za rękę. Będziesz kanałem, poprzez który mam nadzieję nawiązać kontakt z twoim bratem. Nie korzystam z pomocy duchowych przewodników czy innym wymyślnych urządzeń, o jakich pewnie czytałaś czy słyszałaś. To, co się stanie, wynika z mojej wrażliwości. Którą z kolei wzmacnia twoja miłość i potrzeba. Rozumiesz mnie? Masz skupić całą siłę umysłu na bracie. Na jego twarzy, jego głosie, jego charakterystycznych cechach. Czy wciąż pamiętasz go dostatecznie wyraźnie, żeby to zrobić?

Nie zahałam się.

- O tak - zapewniłam. - Jakbym widziała go wczoraj.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Ale pamiętaj, że mógł się znacznie zmienić od waszego ostatniego spotkania. To, co przeżył na ziemi, z pewnością go zmieniło. A śmierć wywołała dalsze zmiany.

- Czy to znaczy, że go nie poznam?

Pokręciła głową.

- Nie, nie w tym rzecz. Jeśli przyjdzie, poznasz go, bez obawy. Może spróbuje z tobą rozmawiać za pośrednictwem mojego głosu. Może poczujesz, że cię dotyka. I może... chociaż podkreślam, że to bardzo mało prawdopodobne... może spróbuje ci się pokazać. W fizycznej postaci. Nie licz na to, ale potraktuj jak dar, jeśli tak się stanie. Nie spodziewaj się, że przybierze postać popularnej zjawy. Nie zobaczysz powiewających prześcieradeł ani łańcuchów. Zobaczysz najwyżej jego twarz albo twarz i ramiona, możliwe, że całe ciało, tak jak wyglądał przed śmiercią.

Przerwała i wzięła mnie za rękę.

- Boisz się?

Przytaknęłam.

- To naturalne. Ale jeśli twój brat przyjdzie, musisz pamiętać, że nie ma się czego bać.

- Czy będę mogła z nim rozmawiać?

- Tak. Może nie odpowie na wszystkie twoje pytania. Zmarli zachowują wiele rzeczy dla siebie i wierzę, że podlegają wyższej potędze, która pozwala im tylko lekko unieść zasłonę tajemnicy. Niektórych rzeczy z tamtego świata nie wolno nam poznać na tym padole. Jeśli twój brat nie zechce odpowiadać, nie powinnaś go naciskać. Inaczej może zostać zabrany i nigdy więcej nie da się go sprowadzić.

- A co z moją matką i ojcem? Czy Arthur będzie z nimi?

Przytaknęła.

- To bardzo prawdopodobne. Ale na razie skupmy się na nim.

Urwała. Zauważyłam, że przygryzła dolną wargę, jakby miała wątpliwości co do całej sprawy.

- Charlotte, próbowałam ci wyjaśnić, z czym się zetkniesz. Ale postąpiłabym nieuczciwie, gdybym nie ostrzegła cię również, że obu nam grozi poważne niebezpieczeństwo w tym przedsięwzięciu. Zmarłych jako takich nie musimy się obawiać. Przynoszą nam pokój, nie strach. Lecz... czasami budzą się rzeczy, których lepiej nie tykać. Nienawiść.

Uraza. Pragnienie zemsty. To, co zamierzamy zrobić, może poruszyć je wszystkie. Spojrzałaś już na ciemniejszą stronę. Jeśli coś takiego spróbuje wtargnąć dzisiaj do naszego kręgu, musisz mi pozwolić natychmiast przerwać krąg. Rozumiesz? Nie zamierzam narażać żadnej z nas. Czy to jasne?

Powoli skinęłam głową. W pokoju wciąż panował chłód. Nie spodziewano się nas.

- Czy jesteś gotowa?
- Tak.
- Więc podaj mi rękę. I myśl o Arthurze.

29.

Teraz moje życie dobiega końca. Przebyłam długą drogę od tamtego miejsca i tamtego czasu. Lecz nie minął ani jeden dzień, żebym nie wspominała wypadków tamtego wieczoru. Niektóre rzeczy nigdy nas nie opuszczają. Gdyby Bóg był dobry, odebrałby mi te wspomnienia, nieważne, w jaki sposób ani jaką cenę musiałabym Mu zapłacić. Gdyż nawet teraz lękam się śmierci, wiedząc, jak wiedziałam prawie przez całe życie, że śmierć mnie nie uwolni. Istnieje życie po śmierci, ale takie życie... I nikt nigdy nie zazna spokoju.

Dotyk dłoni pani Manners nie przypominał niczego, co dotąd znałam. Miał w sobie siłę, energię; niemal inteligencję, chciałoby się powiedzieć. Zamknęłam oczy.

- Skup się - szepnęła. - Oddychaj powoli. Poczuj bicie swojego serca i poczuj, że zwalnia.

Zastosowałam się do jej wskazówek. W miarę upływu czasu odprężyłam się. Mój oddech i bicie serca rzeczywiście się uspokoiły. Pod powiekami zaczęłam dostrzegać przebłyski twarzy Arthura. Stopniowo te mignięcia się stabilizowały i widziałam go przez coraz dłuższe chwile. Nie słyszałam nic, tylko syczenie gazowego palnika,

potrzaskiwanie ognia i regularny oddech pani Manners tuż obok. W pokoju zrobiło się ciepłej. Oddychałam z coraz większą trudnością.

Otwarłam oczy. Pani Manners wciąż siedziała naprzeciwko. Głowa jej opadła na piersi, które wznosiły się i opadały z wielkim wysiłkiem. Krople potu wystąpiły jej na czole. Mocniej ścisnęła mnie za ręce. Nadal skupiałam się na Arthurze.

Zaczęło się niemal niezauważalnie. Najpierw spostrzegłam, że w pokoju robi się zimno, chociaż ogień wciąż płonął równie jasno jak przedtem. Tego samego nieprzyjemnego zimna doświadczałam w Barras Hall. Pani Manners zaczęła oddychać bardzo ciężko. A potem oprócz jej oddechu usłyszałam coś jeszcze. Nie głos Arthura, którego się spodziewałam, ale szelest jakby zeschniętych liści na wietrze. Początkowo nie potrafiłam określić tego dźwięku. Potem przybrał na sile i z dreszczem głębokiego niepokoju zrozumiałam, że słyszę kilka szepczących głosów. Dochodziły jakby znikąd i zewsząd jednocześnie.

Szept narastał. Próbowałam rozróżnić słowa, ale nie miały sensu, jakby głosy przemawiały w obcym języku albo w kilku językach naraz. Usłyszałam moje imię powtórzone kilkakrotnie różnymi głosami, „Charlotte, Charlotte”, za każdym razem intymnym tonem, jakby wzywali mnie bliscy przyjaciele. Potem spoza szeptów przebił się męski głos, szorstki i gniewny, również niezrozumiały.

Nagle szepty ucichły i zastąpił je dziecięcy śpiew:

*Prędko do kresu zmierza dzień naszego życia,
Przemija ziemska chwala, niknie jak we śnie.
Wszędzie, gdzie spojrzę, zmiana i rozkład, i gnicie.
O Ty, Wiecznie Niezmienny, nie odstępuj mnie!**

* „Nie odstępuj mnie” (*Abide with me*) - hymn anglikański, jego autorem jest Henry Francis Lyte (1793-1847) (przyp. tłum.).

Potem głos umilkł. Zapadła cisza, którą mącił tylko ciężki oddech pani Manners. Czulałam, że włosy stają mi dęba. Wiedziałam, że coś się stanie.

Bez uprzedzenia płomienie w obu gazowych palnikach zmalowały do niemal niewidocznych punkcików. Ogień na kominku zgasł, jakby ktoś chlusnął wodą na palenisko. W pokoju zapanowała niemal kompletna ciemność i z każdą chwilą robiło się zimniej. Pani Manners zaczęła jęczeć i rzucać głową, chociaż nie wypuściła moich rąk ani na chwilę.

Potem usłyszałam dźwięk, od którego przeszły mnie ciarki. Kroki w korytarzu za drzwiami pokoju. Takie same jak te, które słyszałam obok mojej sypialni w Barras Hall. Zbliżały się do drzwi.

- Proszę - modliłam się rozpaczliwie - niech to będzie Florence.

Ale wiedziałam, że to nie są kroki Florence. Gałka u drzwi szczerknęła. Pani Manners krzyknęła głośno i szarpnęła głową do tyłu.

W następnej chwili straszliwa siła rozwarła drzwi tak gwałtownie, że trzasnęły o ścianę. Na progu nie zobaczyłam nikogo, tylko pustkę. Ale teraz to czułam, tę samą mroczną obecność, którą poznałam w Barras Hall. Początkowo panowała cisza, potem coś usłyszałam: szelest, ten sam, który słyszałam wtedy w nocy w mojej sypialni. Rozlegał się w pokoju, tuż obok nas.

Nagle pani Manners otworzyła oczy. Szelest się nasilił.

- Charlotte! Pomóż mi, Charlotte, pomóż mi!

Dziewczęcy głos wydobywał się z gardła pani Manners, ale uświadomiłam sobie ze zgrozą, że to nie był jej głos.

- Charlotte, oni robią mi krzywdę! O Boże, zmiłuj się nade mną!

Usta pani Manners otwierały się i zamykały bez związku z wypowiedzianymi słowami, jak u kukielki brzuchomowcy.

- Chcą, żebyś wróciła, Charlotte. Musisz do nich pójść. On nie przestanie mnie krzywdzić, dopóki nie wrócisz.

- Kim jesteś? - zapytałam w desperacji.

- Caroline. Nazywam się Caroline. Musisz do nich wrócić. On mówi, że skrzywdzi Arthura, zrobi mu krzywdę, jeśli nie wrócisz.

- Gdzie jest Arthur? Chcę go zobaczyć.

- To niemożliwe. Nie tutaj. W Barras Hall, ale nie tutaj. Proszę, musisz wrócić.

Nagle oderwałam oczy od pani Manners, bo wyczułam w pokoju coś jeszcze. W kącie naprzeciwko zobaczyłam coś... lub kogoś... stał i chyba się poruszał, ale ruchy miał tak nienaturalne, tak zniekształcone, że wcale nie przypominały ruchów, tylko grę cieni, które go otaczały.

W tej samej chwili Caroline krzyknęła głosem pełnym tak potwornego bólu i przerażenia, że do dzisiaj słyszę jego echo w głowie. Pani Manners wygięła plecy w łuk, wyrwała mi ręce i przewróciła się do tyłu z krzesłem, jakby ktoś ją popchnął. Chciałam jej pomóc, ale gwałtownie pokręciła głową.

- Wynos się stąd! - syknęła. Głos miała słaby, ledwie dosłyszalny.
- Na litość boską, wyjdź.

Wyciągnęłam do niej ręce, żeby ją podnieść z krzesła i wyprowadzić, ale ona zebrała resztkę sił i odepchnęła mnie mocno w kierunku drzwi.

- Wyjdź! - krzyknęła.

Podniosłam się i chwiejnie wyszłam na korytarz. Teraz naprawdę się bałam i chciałam tylko jak najszybciej wyjść z tego domu na ulicę. Nogi mi zdrętwiały, ledwie mogłam chodzić. Szarpnięciem otwarłam frontowe drzwi i wygramoliłam się za próg. Kilka kamiennych stopni prowadziło do ulicy. Zeszłam na chodnik, z całej siły trzymając się poręczy. Mój oddech tworzył szybko rozkwitające i znikające obłoczki, białe i mroźne w świetle ulicznej latarni. Zostawiłam w pokoju pelerynę i rękawiczki, i teraz drżałam w mroźnym nocnym powietrzu. Ale za nic w świecie nie wróciłabym do tego domu.

W głowie miałam zamęt. Ledwie pamiętałam, z której strony przyszłam. Rozejrzałam się po ulicy; na pewno gospoda znajdowała się tam. Zrobiłam kilka kroków i zatrzymałam się, bo coś usłyszałam.

Po prawej stronie z cieni wynurzył się powóz i wjechał w wąski krąg światła latarni. Kopyta koni ostro stukwały w ciszy. Podniosłam wzrok na woźnicę. To był Hutton. Za nim siedzieli Anthony i Antonia. Przyglądali mi się z nieskrywanym zainteresowaniem.

Anthony wysiadł z wiktorii. W kilku krokach zrównał się ze mną. Wziął mnie za ramię tak silnym chwytem, że nawet nie próbowałam się wyrwać.

- Pora wracać do domu, Charlotte. Chodź z nami i nie wspominajmy o tym, co się dzisiaj wydarzyło.

Szarpnęłam się, ale tylko ścisnął mnie mocniej.

- Chcemy tylko twojego dobra, moja droga. Zawsze chcieliśmy dla ciebie jak najlepiej. No chodź, czeka nas daleka droga do domu.

Nic nie mówiłam. Co mogłam powiedzieć? Wciąż drżąca weszłam po schodkach do otwartego powozu. Antonia przechyliła się i pomogła mi zająć miejsce obok niej. Uśmiechnęła się i pocałowała mnie czule w policzek. Anthony usiadł naprzeciwko.

- Wracamy do domu, Hutton - rozkazał.

Kiedy powóz ruszył, rozejrzałam się dookoła. Pod latarnią stali dwaj prawnicy, odprowadzając nas wzrokiem. Stephen Melrose i John Parker. Zrozumiałam wtedy, jak zostałam zdradzona.

30.

Jechaliśmy do Barras Hall po drogach zasypanych śniegiem. Zimny księżyc wzeszedł nad polami i patrzył na nas przez cały czas, biały i bezlitosny. Drzewa po obu stronach drogi zdawały się uciekać w tył. Gałęzie miały oszronione. Wysokie drzewa, nieregularnie rozrzucone. Hutton wpędzał konia prosto w zasy i myślałam, że ugrzęźniemy, ale jakoś zawsze udawało nam się wykaraskać i toczyliśmy się dalej w stronę miejsca przeznaczenia. Dostałam koc, żeby się owinąć, ale nic więcej.

Prawie całą podróż odbyliśmy w ponurym, gniewnym milczeniu. Od czasu do czasu, kiedy przejeżdżaliśmy przez bezdrzewną kotlinę skąpaną w blasku księżyca albo wzniesienie wśród wrzosowisk, kuzyn

czy kuzynka mierzyli mnie wrogim, nieruchomym spojrzeniem.

Dopiero kiedy wjechaliśmy przez bramę posiadłości na podjazd prowadzący do domu, Anthony przerwał milczenie. Niezbyt dobrze go widziałam, ponieważ wysokie drzewa nie dopuszczały tutaj blasku księżyca. Ale jego głos docierał do mnie wyraźnie w mroźnym, rozdraganym powietrzu.

- Jesteśmy prawie w domu, Charlotte. To chyba odpowiednia chwila, żebym zamienił z tobą kilka słów. Ani moja siostra Antonia, ani ja nie pojmujemy, jakie motywy skłoniły cię do tej pochopnej ucieczki. Traktowaliśmy cię dobrze. Przyjęliśmy cię do rodziny. Okazywaliśmy ci życzliwość, której nie miałaś prawa ani powodu się spodziewać. Otworzyliśmy przed tobą nasz dom i nasze serca. A ty rzuciłaś nam w twarz to wszystko w akcie jawnej niewdzięczności. Gorzko nas rozczarowałaś. Pan Melrose opowiedział mi o szalonych oskarżeniach, jakie na nas rzuciłaś. Nie muszę ci mówić, jak to nami wstrząsnęło. Ale najbardziej zaszokowało mnie odkrycie, że weszłaś w moim gabinecie i wtykałaś nos w moje prywatne dokumenty. Co więcej, posunęłaś się do kradzieży niektórych dokumentów, żeby stworzyć jakąś wymyślną bajeczkę o mnie i Antonii. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mnie zasmuciło i zraniło to odkrycie. Na twoją obronę mogę tylko przytoczyć argument, że lata spędzone w przytułku nadwątlily twoją uczciwość i poczucie moralności.

Przerwał, spodziewając się pewnie jakichś usprawiedliwień czy zaprzeczeń z mojej strony. Milczałam, więc kontynuował:

- Z tej przyczyny wolimy uznać całą sprawę za zamkniętą. Co się stało, to się nie odstanie. Rozmawialiśmy z Parkerem i Melrose'em i uzyskaliśmy od nich solenne zapewnienie, że nie powiedzą więcej ani słowa na ten temat. Niemniej powinnaś się spodziewać pewnych zmian. W zamian za naszą pobłażliwość wymagamy od ciebie czegoś więcej. Powinnaś zmienić swoje zachowanie. Charlotte, musisz zrozumieć, że nasza rodzina jest stara, dużo starsza niż Barras Hall. Przetrwaliśmy, prosperowaliśmy nawet mimo przeciwności, ponieważ dochowaliśmy

wierności naszym tradycjom, tradycjom, o których ty niestety nie masz pojęcia. Ale ignorancja cię nie usprawiedliwia. Już wkrótce się nauczysz. Naszym świętym obowiązkiem jest sprawić, żebyś zrozumiała. Stawka jest zbyt wysoka, żebyśmy ci pozwolili biegać po okolicy i opowiadać niestworzone historie. Dowiesz się prawdy. Zobaczysz ją na własne oczy.

Zamilkł. Zatrzymaliśmy się przed domem. Księżyc schował się za dachem. Wokół gęstniały cienie. Kiedy Anthony otworzył drzwi powozu, Antonia nachyliła się do mnie.

- Masz dwa dni, Charlotte. Do twoich urodzin. Jeśli do tej pory nie nauczysz się wszystkiego, czego trzeba, gorzko tego pożałujesz.

Nie powiedziała nic więcej. Wsiadła z powozu i wyciągnęła rękę, żeby mi pomóc zejść. Zostawiłam koc w wiktorii i weszłam do domu. Przemarzałam tak, że przestałam już drżeć. Nic się nie zmieniło. Zupełnie jakbym zasnęła i znowu przeżywała koszmar, z którego przebudziłam się tylko na chwilę.

W salonie kazano mi usiąść i Antonia zadzwoniła po panią Johnson. Anthony zajął się gazetą. Antonia zwróciła się do mnie:

- Jak rozumiem, jadłaś obiad Pod Głową Królowej, Charlotte, więc nie jesteś głodna. Ale na pewno jesteś zmęczona i nadmiernie pobudzona po niedawnych wysiłkach. To zła kombinacja dla nerwów. Musisz się dzisiaj wyspać, inaczej poważnie obawiam się o twoje zdrowie. Poprosiłam panią Johnson, żeby przygotowała ci miksturę na sen. Nic szkodliwego; ona to przyrządza ze zwykłych ziół zbieranych w ogrodzie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła pani Johnson, niosąc tacę, na której stała wysoka szklanka wypełniona bladezielonym płynem.

Postawiła tacę na niskim stoliku przede mną, dygnęła i wyszła.

- Niczego nie wypiję - zaprotestowałam.

- Daj spokój. Chyba nie zamierzasz robić trudności, co, Charlotte? To tylko ciepłe mleko z niewielkim dodatkiem ziół. Trochę waleriany, szczypta rumianku, serdecznika, kilka nasionek sasanki. Dary z ogrodu Pana Boga.

Pokręciłam głową.

- Zabiliście mojego brata Arthura - oświadczyłam. - A teraz chcecie zabić mnie.

- Charlotte, przestań natychmiast. Nikt nie zabił Arthura. On żyje. Czy to jasne? Nie rozumiesz absolutnie nic z tego, co się dzieje, z tobą czy z Arthurem. Nie masz żadnych podstaw, żeby oceniać nasze postępowanie ani niczyje. Więc zachowuj się rozsądnie i wypij.

Pokręciłam głową.

Anthony podniósł wzrok znad gazety, w której pozornie się zagłębił.

- Charlotte - powiedział zniżonym głosem, przesyconym groźbą, której poprzednio w nim nie wyczułam. - Mówiłem ci w powozie, że spodziewam się zmian w twoim zachowaniu. Nie spodziewałem się upor. Moja siostra ostrzegła cię już ogólnie przed konsekwencjami krnąbrnego zachowania. Ja wyjaśnię ci to szczegółowo. Jeśli nie wypijesz lekarstwa do ostatniej kropli, będę musiał cię zbić. Może bito cię w przytułku i myślisz, że się zahartowałaś. Zapewniam cię, że nie wymierzili ci nawet jednej dziesiątej kary, którą ja zastosuję. A jeśli nadal będziesz trwać w uporze, znowu cię zbiję. Będę cię bił, dopóki nie ugniesz się przed moją wolą. Jeśli trzeba, każdy cal twojej skóry spłynie krwią pod moim batem.

Nie miałam już siły mu się opierać, chociaż najbardziej bałam się nie fizycznego bólu. Pozostała mi tylko jedyna nikła nadzieja, że wielbny Watkins wkrótce otrzyma mój list, może jutro, i wtedy natychmiast przyjedzie mi na ratunek. Anthony wspomniał, że pastor został przydzielony do katedry w Durham. Z pewnością nawet Ayrtonowie nie mogą się przeciwstawić Kościołowi, chociaż to rodzina stara i z tradycjami.

Z zamkniętymi oczami przyłożyłam szklankę do ust i wypiłam miksturę. Smakowała obrzydliwie, ale zmusiłam się, żeby wszystko przełknąć.

- Chciałabym teraz iść do mojego pokoju.

- Oczywiście, moja droga. Zaprowadzę cię.

Antonia wstała i pomogła mi się podnieść. Pocałowała brata na dobranoc, mocno chwyciła mnie za ramię i skierowała do drzwi.

- Powiedz „dobranoc” kuzynowi Anthony'emu - zażądała.
- Dobranoc, Anthony - powtórzyłam jak papuga.
- Dobranoc, Charlotte. Śpij dobrze.

Wchodziłyśmy po schodach na pierwsze piętro, kiedy ogarnęła mnie fala mdłości, a potem okropnie zakręciło mi się w głowie.

- Otrułaś... mnie - wykrztusiłam.
- Nonsens, Charlotte. To tylko pomoże ci zasnąć. Sama zobaczysz.

Widziałam, jak Antonia pochylała się nade mną, jej twarz falowała w blasku świecy. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa i nagle osunęłam się na podłogę. Rozpaczliwie próbowałam utrzymać oczy otwarte, żeby jak najdłużej zachować świadomość. Antonia pochyliła się niżej, jej dudniący głos dochodził jakby z bardzo daleka.

Potem skuliłam się, czując ostry skurcz w żołądku. Przekręciłam się i spojrzałam w górę, na szczyt schodów. Zanim straciłam przytomność, zobaczyłam jeszcze postać stojącą na podeście. Wysoką postać mężczyzny odzianego w czerń, w długim czarnym welonie, który spływał mu z głowy prawie do stóp.

31.

Obudziłam się po południu następnego dnia. Bolały mnie wszystkie kości i minęło dużo czasu, zanim odzyskałam jasność myśli. Siedząc na brzegu łóżka, z trudem utrzymywałam równowagę. Za każdym razem, kiedy próbowałam otworzyć oczy, światło raziło mnie tak niemiłosiernie, że musiałam zaciskać powieki. W głowie łomotał tępy ból. Przełykały ulotne wspomnienia strasznych snów, jakbym spędziła wiele dni w koszmarze.

Stopniowo doszłam do siebie. Ból głowy trochę się zmniejszył. Mogłam już ruszać rękami i nogami. Ostrożnie otworzyłam oczy.

Nie znajdowałam się w mojej dawnej sypialni. Przez chwilę nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Potem zobaczyłam kraty w oknach i zrozumiałam, dokąd mnie zabrano.

Zataczając się, podeszłam do drzwi, ale okazały się zamknięte na klucz. W desperacji rozglądałam się po pokoju. Jedyne umeblowanie stanowiło stare rozkładane łóżko, na którym spałam, nakryte kilkoma cienkimi kocami. Nie było stołu, krzesła, lustra. Za ozdobę służyły tylko kraty.

Wróciłam do drzwi i waliłam w nie pięściami, wołając o pomoc. W końcu ręce mnie rozboleły i głos ochrypl. Osunęłam się po ścianie, zakryłam twarz rękami i zapłakałam. Czas mijał. Łzy wyschły, pozostawiając wyczerpanie i strach. Czułam głód i coraz pilniejszą potrzebę skorzystania z toalety. Pod łóżkiem znalazłam nocnik. Po użyciu nakryłam go kocem i odstawiłam na bok.

Podeszłam do okna i stanęłam na palcach, żeby wyjrzeć na zewnątrz. W dole zobaczyłam obskurne podwórze, za nim zabudowania gospodarcze, wszystko przykryte grubym całunem śniegu. Śnieg wciąż sypał gęsto. Jeśli pogoda się nie zmieni, Barras Hall zostanie odcięty od świata. Na tę myśl ogarnęła mnie panika, bo wtedy wielebny Watkins nie dotrze tutaj na czas.

„Na czas”. Z niewiadomego powodu uważałam, że moje urodziny to punkt krytyczny. Coś zaplanowano na tę datę i coraz mocniej wierzyłam, że to spowoduje moją śmierć, podobnie jak dziesięć lat temu tego samego dnia spowodowało śmierć Caroline.

Wróciłam do łóżka i usiadłam, załamana i nieszczęśliwa. Próbowałam ucieczki i skończyłam w więzieniu. Cokolwiek teraz się stanie, już nie zależy ode mnie.

Zamarłam, kiedy w korytarzu na zewnątrz zabrzmiały kroki. Szczękniętą klucz w zamku i pojawiła się pani Johnson, niosąc tacę. Na tacy stał nakryty talerz, karafka wody i szklanka. Gospodyni zamknęła

drzwi bez słowa, postawiła tacę na podłodze i podeszła do łóżka.

- Korzystała panienka z nocnika, panienko Charlotte?
- Tak.

Znalazła go, zdjęła koc i nakryła nocnik grubą szmatą, którą przyniosła pod pachą.

- Na tacy jest jedzenie - oznajmiła. - Nie dostanie panienka nic do jutra, więc radzę zjeść wszystko.

- Pani Johnson, dlaczego pani im pomaga mnie więzić? Myślałam, że pani jest moją przyjaciółką. Przecież przyszła pani wtedy na cmentarz. Myślałam, że pani chce mi pomóc.

Chciała chyba coś powiedzieć, potem rozmyśliła się i odwróciła. Przy drzwiach dodała:

- Odniosę nocnik, kiedy wrócę po tacę. Proszę zjeść szybko, zanim wystygnie.

Wyszła i usłyszałam klucz obracany w zamku.

Posiłek okazał się obfity; widocznie nie zamierzali mnie głodzić. Pamiętałam, co mi dali poprzedniego wieczoru, ale głód okazał się silniejszy niż podejrzliwość i pochłonęłam wszystko. Ze sztućców dostałam tylko łyżkę. Czyżby obawiali się, że użyję noża albo widelca do następnej próby ucieczki? Albo że targnę się na swoje życie?

Pani Johnson wróciła po pół godzinie. Znowu próbowałam ją wciągnąć w rozmowę, ale ostentacyjnie mnie zignorowała i wyszła z pośpiechem. Tym razem nie zaniknęła drzwi na klucz. Po chwili znowu się otwały.

Wszedł Anthony, uśmiechnął się zyczliwie i zatrzasnął drzwi za sobą. Ubrany był w strój do konnej jazdy i wyglądał, jakby przed chwilą wrócił z przejażdżki. Twarz miał zaczerwienioną z zimna i wydawał się trochę zdyszany. Stał przede mną przez chwilę, nie mówiąc nic. Kiedy wreszcie się odezwał, głos miał spokojny i lekko drwiący.

- No, panienko, jak się podoba nowy apartament? Przypuszczam, że teraz żałujesz, że nie zostałam grzecznie tam, gdzie przedtem. No,

pociesz się, że nie jesteś pierwsza. Zapewne wkrótce spotkasz kilku pozostałych. Pamiętaj, żeby zwracać się do nich uprzejmie; niektórzy nie lubią zuchwalstwa.

Obszedł łóżko i zbliżył się do okna.

- Noce wciąż są coraz dłuższe - zauważył. - Zbliżył się dzień zimowego przesilenia. Szkoda, że go nie zobaczysz. Widzisz, oni nie chcą czekać. Błagam ich, ale nie chcą czekać. Są głodni. Za każdym razem coraz bardziej głodni. Ale powstrzymam ich aż do twoich urodzin, te rzeczy trzeba robić jak należy. Liczy się właściwa chwila. Trzeba przestrzegać tradycji.

- Co ja zrobiłam - zapytałam - że tak mnie traktujecie?

- Zrobiłaś? - Odwrócił się. - Nic nie zrobiłaś. Nie na tym polega twoje przeznaczenie.

- Moje przeznaczenie? Jakie przeznaczenie?

- Dowiesz się już niedługo.

Pomaszerował do drzwi. Na progu przystanął, jakby coś sobie przypomniał, sięgnął do kieszeni i coś wyjął. Kartkę papieru. Rzucił ją nie dbale na podłogę.

- To chyba twoje.

Po czym wyszedł i zamknął drzwi za sobą na klucz. Schyliłam się i podniosłam papier, który mi rzucił. To był mój list do pastora w Kirkwhelpington, zgnieciony i zabrudzony. W kartkę zawinięto moje błagalne pismo do jego poprzednika, podarte na strzępki.

Nie dodali narkotyku do jedzenia. I tej nocy sen nie przyszedł, chociaż oddałabym wszystko, żeby zasnąć. Zasnąć lub stracić przytomność, nawet umrzeć. Kiedy zapadał zmierzch, pokój wypełniły niespokojne cienie. Ciemność ustąpiła tylko na krótki czas. Leżałam w łóżku, zakutana w koce, i słyszałam, jak cienie wokół mnie budzą się do życia. W desperacji zakryłam uszy rękami, ale zrobiło się jeszcze gorzej, ponieważ czego nie słyszałam, to sobie wyobraziłam.

Zaczęła płakać wkrótce po zmroku. Wiedziałam, że jest tutaj przy mnie, skulona na podłodze, niewidoczna. Chwilami płacz cichł i wtedy

rozlegał się szelest. Budził we mnie odrazę większą niż kiedykolwiek. Kilkakrotnie za drzwiami przesuwały się kroki. Za każdym razem płacz przycichał do przerażonego kwilenia.

Gdzieś w środku tej długiej nocy wszystkie odgłosy ucichły. W pokoju zrobiło się bardzo cicho. I usłyszałam gdzieś daleko słaby, śliski szmer, bardzo powolny, stłumiony i nieprzyjemny, jakby coś bezkształtnego i bardzo starego po omacku pełzło przez dom. Odgłos trwał przez długi czas, ale wreszcie rozplynął się w oddali i przestałam go słyszeć.

Przez chwilę panowała błogosławiona cisza, potem odezwały się głosy w korytarzu niedaleko od mojego pokoju, jakby kilka osób się kłóciło. Nie rozpoznałam żadnego. Z pewnością nie było wśród nich Anthony'ego ani Antonii.

Brzask dotarł do mojego okna bardzo powoli i bardzo późno. Dalej siedziałam w łóżku i patrzyłam, jak ciemność się roztapia i zmienia w szachownicę cieni. Początkowo nie dostrzegałam nic niezwykłego. Ale w pewnej chwili, kiedy światło nabrało mocy i mogłam rozróżnić poszczególne przedmioty, zauważyłam szary kształt skulony przy drzwiach. Nie mogłam od niego oderwać oczu. W blaskach świtu zobaczyłam dziewczynę w moim wieku, ubraną w szarą sukienkę. Skórę miała nienaturalnie białą, oczy czerwone, jakby płakała. Siedziała, po prostu siedziała i patrzyła na mnie.

- Caroline? - szepnęłam. - Ty jesteś Caroline?

Nie odpowiedziała. Światło narastało, ale ona nawet nie drgnęła, niczym obraz z magicznej latarni rzucony na ścianę.

- Caroline - zwróciłam się do niej błagalnie. - Ty wiesz, co się dzieje. Nie pomożesz mi? Nie powiesz mi, co oni zamierzają?

Początkowo myślałam, że nie odpowie. Potem powoli, jakby z bólem rozpięła lewy rękaw sukienki i zaczęła go podwijać. Odsoniła ramię trochę powyżej łokcia i wyciągnęła w moją stronę. Przez całe przedramię biegly głębokie, bezkrwawe rany, sięgające od nadgarstka do łokcia.

Chyba zemdlałam. Kiedy znowu oprzytomniałam, w pokoju była pani Johnson, a Caroline zniknęła bez śladu.

32.

Pani Johnson przyniosła nową jaskrawo czerwoną sukienkę, uszytą specjalnie dla mnie, jak powiedziała.

- To na dziś wieczór, panienko Charlotte. Na panienki urodzinowy wieczór. Przyjdę później, żeby pomóc panience się ubrać. Panna Antonia chce, żeby panienka wyglądała jak najlepiej.

- Ale ja nie mam lustra - zwróciłam jej uwagę. - Nie mam nawet miednicy, żeby się umyć.

- Przyniosę je później - obiecała. - I trzeba panienkę uczesać. Panna Antonia chce, żeby panienka była ładna jak z obrazka.

- Czy Caroline była ładna?

Drgnęła.

- Pytałam, czy Caroline była ładna.

- Nie wiem, o kogo panience chodzi. - Odzyskała zimną krew.

- O córkę Antonii - oświadczyłam bez ogródek. - Umarła tutaj dziesięć lat temu. Pani dobrze wie, o kogo mi chodzi.

Cofnęła się, miętoszając skraj szmaty zakrywającej nocnik.

- Nie wiem, o czym panienka mówi. Tutaj nigdy nie mieszkał nikt o takim imieniu.

- Widziałam ją dziś rano, pani Johnson. Pani na pewno też ją widywała. Dlaczego ona jest taka blada? Co oni jej zrobili? Co zrobili Anthony i Antonia?

Nie próbowała już odpowiadać. Odprowadzałam ją wzrokiem, kiedy wychodziła. Wiedziałam, że miała klucz do prawdy, że mogła mi wszystko powiedzieć, gdyby tylko chciała. Czego się bała? Właściwie jaką władzę mieli nad nią moi kuzyni?

Zostawiono mnie samą aż do wczesnego wieczora, kiedy zaczęło się ściemniać. Pani Johnson wróciła z obiecanyimi przedmiotami: miednicą i dzbankiem gorącej wody, ręcznikiem, mydłem, grzebieniem i szczotką

oraz małym lusterkiem w oprawie z kości słoniowej. Wydawała się dziwnie skrępowana.

- Panna Antonia odwiedzi później panienkę - oznajmiła. - Żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Proszę zdjąć sukienkę, pomogę panience z włosami.

Ściągnęłam sukienkę przez głowę i położyłam na łóżku obok nowej. Pani Johnson napełniła miednicę do połowy i kiedy się pochyliłam, dokładnie zmoczyła mi włosy i obficie namydliła.

- Panienko Charlotte - powiedziała. - Nie powinnam tego mówić, ale panienska zawsze była dla mnie miła i nie mogę panienki zostawić bez jednego dobrego słowa. Dzisiaj... dzisiaj panienska musi być dzielna. Cokolwiek się stanie, niech panienska nie okazuje strachu: to tylko pogorszy sytuację. Sir Anthony przyjdzie po panienkę bardzo późno. Zabiorą panienkę do starej świątyni w lesie. Tam to się zawsze odbywa. Rozumie panienska?

Zaczęła splukiwać mi włosy, lejąc powoli wodę z dzbanka.

- Zostawię panience świecę. Żeby nie siedziała panienska po ciemku dziś wieczorem.

- Czy nie może pani nic zrobić? Jeśli mnie pani stąd wypuści, ucieknę.

- Nie, panienko, nic nie mogę zrobić. Próbowałam pomóc panience Caroline i w rezultacie straciłam własnego synka. Niech panienska nie próbuje uciekać; znajdą panienkę na pewno i tylko dodatkowo ukarzą, jeśli panienska narobi im kłopotu. Po prostu niech panienska spróbuje być dzielna. - Zawahała się. - Ma panienska jeszcze ten krzyżyk ode mnie?

Kiwnęłam głową.

- Niech panienska go trzyma przy sobie. Zawsze to jakaś pociecha.

Wysuszyła i uczesała mi włosy, potem pomogła mi nałożyć czerwona sukienkę.

- Muszę iść - oświadczyła. - Nabiorą podejrzeń, jeśli zostanę za długo. Proszę samej dokończyć. Zabiorę później te rzeczy.

Odwróciła się i uściskała mnie. Miała łzy w oczach.

- Niech panienkę Bóg błogosławi. Żałuję, że nic nie mogę zrobić. Naprawdę żałuję.

Podziękowałam jej. Zabrała moją starą sukienkę i wyszła, nie mówiąc już nic więcej. Zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Zapadła już ciemność i wokół zapalonej świecy zdawały się gromadzić gęstsze cienie. Dom czekał w ciszy, równie cichy jak grobowiec Jamesa Ayrtona po drugiej stronie lasu. Poruszał się tylko czas: wyobrażałam go sobie pod postacią olbrzymiego zegara, tykaniem odmierzającego resztkę mojego życia. Skazana kobieta wie, co na nią czeka za drzwiami więzienia. Wyobraża sobie sznur i długi upadek. Ja nie wiedziałam nic.

Postawiłam świecę na wąskim gzymsie kominka, w jej świetle umyłam twarz, ręce i szyję. Miałam te same stare buty, które nosiłam, odkąd przybyłam do Barras Hall; w tamtych czasach spódnice były takie długie, że kobiety nie przywiązywały wagi do obuwia. Z pomocą lustra uczesałam się na nowo, żałując, że nie mam szczotki, żeby nadać włosom większą puszystość.

Usiadłam i czekałam na sir Anthony'ego. Słowa pani Johnson bynajmniej mnie nie pocieszyły, tylko dodatkowo wytrąciły z równowagi. Ciska wydawała się jeszcze bardziej złowroga. Potem gdzieś w tej ciszy znowu rozległy się głosy, budząc słabe echo. Tym razem nie sprzeczały się, tylko mamrotały bez przerwy. A wśród nich rozróżniłam pojedyncze głosy, które śpiewały. Gdzieś również grała muzyka, cicha muzyka na harfie albo klawesynie. Wytężałam słuch, żeby określić, skąd dochodzą te dźwięki, ale daremnie: były zbyt ciche i dalekie.

Jakąś godzinę później drzwi się otworzyły i weszła Antonia. Zarumieniona i zaafetowana, wydawała się czymś zmartwiona. Twarz miała upudrowaną i urozowaną, ale makijaż nie maskował jej własnych rumieńców i niezdrowo błyszczących oczu. Zamknęła drzwi i kazała mi wstać.

- Obróć się, obróć się. Chcę zobaczyć, jak wyglądasz.

Obróciłam się niezręcznie. Cmoknęła z niezadowolaniem, odstawiła szklankę, którą trzymała w ręku, i zaczęła poprawiać mi sukienkę i włosy. Ciągnęła i szarpała, tu wyprostowała szew, tam przyglądała lok.

- Co się stanie, Antonio? Boję się, chcę wiedzieć.
- Lepiej, żebyś nie wiedziała, dziecko. Nie martw się, to nie potrwa długo.
- Zabijecie mnie, prawda? Jak Caroline i Arthura.
- Zabijemy? Gdybyż to było takie proste, moja droga. Gdybyż to było takie łatwe.

- Co to za głosy? I słyszę muzykę.

- Muzykę?

Znieruchomiała i nasłuchiwała. Blaszane echa klawesynu wciąż brzęczały niemal poza zasięgiem słuchu.

- Za kilka godzin twoje urodziny, Charlotte. Zbierają się na przyjęcie. Wkrótce ich poznasz.

- Poznam? Kogo?

- Nie zadawaj pytań, Charlotte. Dowiesz się już niedługo.

Odstąpiła do tyłu i obejrzała mnie krytycznie.

- Ujdzie - oceniła.

Zauważyłam, że obgryzała paznokcie. Ruchy miała urywane, niepewne. Sprawiała wrażenie, że z trudem zachowuje zdrowe zmysły, balansując na krawędzi szaleństwa.

Podbiegłam do niej myśląc, że ona musi ustąpić, że muszę do niej dotrzeć. Uczepiłam się jej sukienki, próbowałam zarzucić jej ręce na szyję.

- Na litość boską, Antonio, nie zostawiaj mnie tak. Jesteś moją kuzynką, moją przyjaciółką. Dlaczego nie pomożesz mi stąd uciec?

Popatrzyła na mnie, jakby jej serce pękało. Myślę, że nie widziała mnie, tylko swoją córkę Caroline.

- Och, gdybym tylko mogła, gdybym tylko mogła. Ale to nie ode mnie zależy, nie rozumiesz?

Odsunęła się, odepchnęła moje ręce. Chwiejnie podeszła do drzwi, otworzyła je i wybiegła. Szczęknięt zamek, potem jej buty zastukały na schodach.

Po chwili znowu zaczęłam czesać włosy. Przesuwając lustro w bok, drgnęłam. Za mną, skąpana w blasku świecy, widniała druga twarz. Twarz Caroline, biała, z czarnymi oczami, które wpatrywały się we

mnie twardo. Odwróciłam się, ale zobaczyłam tylko cienie.

- Caroline? Widziałam, że na mnie patrzysz. Nie boję się ciebie. Chcę z tobą porozmawiać. Proszę. Proszę, nie bój się. Wróciłam, jak chciałaś. Przeczytałam twój dziennik. Wiem, co się stało.

Tym razem odpowiedziała. Jej głos rozbrzmiewał bardzo blisko, ale nie dochodził z żadnego określonego miejsca. Miałam tylko pewność, że nie wydobywał się z mojej głowy.

- Posłuchaj mnie, Charlotte - powiedziała. - Posłuchaj uważnie. Chcę ci pomóc, ale nie wiem jak. Inni są przy mnie, tuż obok.

- Inni? Jacy inni?

- Wkrótce ich spotkasz. Niektórzy są bardzo starzy. Są tu od wieków. Zanim jeszcze zbudowano ten dom. Chcą ciebie, tak jak chcieli mnie. W ten sposób zachowują siłę, pokonują samotność i ból starości. Potrzebują towarzystwa, naszego towarzystwa. Nie rozumiesz? Nie rozumiesz, Charlotte? O to właśnie chodzi. Zawsze potrzebują więcej, nigdy nie są zadowoleni. Im starsi się robią, tym więcej potrzebują. Nie zostawiają żywych w spokoju, dopóki nie dostaną, czego chcą. A potem jeszcze i jeszcze. To się nigdy nie kończy. Nigdy.

Teraz ją widziałam. Była raczej pospolita, nieładna szara figurka siedząca na łóżku, patrząca na mnie smutnymi, smutnymi oczami. Przypomniałam sobie oczy Annie, ich udręczony wyraz, powracający ból i upokorzenie ojcowskich gwałtów. Oczy Caroline wyrażały coś jeszcze gorszego. Wspomnienie jeszcze głębszej, jeszcze bardziej plugawej przemocy.

- Co widziałaś na trawniku? - zapytałam, bo rozpaczliwie chciałam wiedzieć wszystko, przygotować się na każdą ewentualność. - Co to było?

Gwałtownie odsunęła się ode mnie, kręcąc głową w prawo i w lewo, odwracając wzrok.

- Musisz mi powiedzieć - nalegałam. - Muszę wiedzieć.

Przestała kręcić głową i powoli osunęła się na podłogę. Widziałam już u niej tę pozę, świadczącą o krańcowym przygnębieniu. Ta nieszczęsna istota już nie wzbudzała we mnie strachu. Przeszłam przez pokój i

ukłękłam przed nią. Ostrożnie wyciągnęłam rękę, żeby jej dotknąć, ale moje palce przeszły przez powietrze. Nie, nie tylko powietrze, coś więcej: zimno.

- Proszę - powiedziałam.

Spojrzała na mnie łagodnie.

- Chcę, żebyś była moją przyjaciółką - szepnęła.

Kiwnęłam głową.

- Tak.

- James Ayrton zajmował się zakazanymi rzeczami - zaczęła głosem dochodzącym jakby z bardzo daleka. - Pragnął potęgi. Wiecznego życia. Dla tego celu gotów był zaryzykować potępienie. Ale... przywołał coś, czego nie powinien. Nie ducha. Istnieją inne byty. Był już bardzo stary i to go zniszczyło. A potem zawładnęło jego grobowcem. Karmi to, kiedy może.

- Karmi...?

Pokręciła głową.

- Nie ciałem. To nie znaczy... przynajmniej nie całkiem, nie mam pewności. To... - urwała. - Wystarczy, proszę. Widziałam to. Nie chcę o tym mówić.

Tylko tyle zdążyła powiedzieć. Temperatura w pokoju nagle spadła z alarmującą szybkością, jakby ktoś syknął lodem. Caroline podniosła wzrok. Zobaczyłam, że się cofa i kręci głową. Chwycałam świecę i podeszłam do niej, jakbym chciała własnym ciałem osłonić ją przed tym, co jej zagrażało. W następnej chwili zniknęła. Usłyszałam szelest, potem zapadła cisza. Wroga, nienawistna cisza.

33.

Anthony przyszedł zgodnie z zapowiedzią na pół godziny przed północą. W przeciwieństwie do siostry wydawał się całkowicie spokojny

i opanowany. Otaksował mnie wzrokiem od stóp do głów niczym sędzia na pokazie szacujący jałówkę. Po raz pierwszy w życiu doświadczyłam tak krytycznego spojrzenia męskich oczu, tak uważnej oceny mojego ciała. Nawet teraz nie jestem pewna, czy kryło się w tym coś seksualnego. Jeśli tak, zostało dobrze zamaskowane, stłumione przez inny rodzaj głodu. Anthony Ayrton za wszelką cenę pragnął spokoju, a ja stanowiłam tylko kolejną ratę odwiecznego długu, który spłacał swoim dręczycielom.

- Znakomicie - mruknął, przesuwając ręką po moich długich włosach. - On będzie zadowolony. Oni wszyscy będą zadowoleni.

- On? - zapytałam. - Jaki „on”?

- Jeszcze nie zgadłaś? Myślałem, że jesteś sprytniejsza. Oczywiście mój przodek James, James Ayrton.

- Widziałam go - oznajmiłam.

- Tak, wiem. Wszyscy go widzieliśmy.

- Dlaczego on nosi welon? Dlaczego zasłania twarz?

Zmieszał się, potem pokręcił głową.

- Za wiele pytań. Dowiesz się wszystkiego na końcu. Obiecuję. A teraz, Charlotte, pora iść. Nie każmy im czekać.

Wziął mnie za lewe ramię bardzo mocnym uściskiem i otworzył drzwi. Korytarz u stóp schodów był rzęsiście oświetlony. Co kilka metrów rozmieszczono świeczniki wszelkich rodzajów: ozdobne lichtarze, pękate kandelabry na wysokich podstawach, wieloramienne żyrandole zawieszane na ścianach, kinkiety po obu stronach każdego okna; we wszystkich płonęły wysokie białe świece.

- To wszystko dla ciebie - oświadczył Anthony. - Z okazji twojej pełnoletniości.

- Skończę dopiero piętnaście lat - sprostowałam.

- Dzisiejszej nocy staniesz się pełnoletnia. To twoje przeznaczenie.

Poprowadził mnie korytarzem i przez cały dom skąpany w blasku świec. Głosy i muzyka ucichły. Tylko nasze kroki rozbrzmiewały na dywanach i kamieniach to ciszej, to znów głośniej.

Przy drzwiach czekała na mnie peleryna podbita futrem. Anthony nałożył gruby czarny płaszcz i futrzany kapelusz.

- Gdzie jest Antonia? - zapytałam.

- Zostanie tutaj, dopóki nie wrócę - odparł. - Kazała przekazać, że przeprasza.

Wyjął zegarek z kieszeni i cmoknął ze zniecierpliwieniem.

- Chodź. Już prawie północ.

Na dworze szczypał mróz. Pospiesznie weszliśmy do lasu znajomą ścieżką, która prowadziła do pawilonu. Anthony niósł w lewej ręce sztormową latarnię, a prawą trzymał mnie mocno. Latarnia oświetlała jego profil, ostry i surowy, usta mocno zaciśnięte jak u żołnierza przed bitwą. Pewnie traktował mnie jak łup wojenny albo bojowy porporzec.

Spodziewałam się... nie, nie pamiętam dokładnie, jakie wyobrażenia przechodziły mi przez głowę. Ale na pewno światła, iluminacja podobnie jak w domu; i hałasy, może śpiewy, zmarli w całunach zgromadzeni, żeby mnie powitać. Lecz w lesie panowały martwa cisza i ciemność. Tylko przypadkowo dostrzegłam zarysy pawilonu, odcinające się na tle nieba, kiedy wychodziliśmy z kotliny. Wyglądał jak ciemna masa kamienia. W następnej chwili znowu zniknął za zasłoną drzew.

Po paru minutach minęliśmy zakręt wąskiej ścieżki i ujrzeliśmy świątynię. Teraz zobaczyłam, że przed budowlą paliły się dwa niewielkie światła, pomiędzy którymi ziały czernią szeroko otwarte drzwi. Reszta tonęła w mroku.

Sam widok tych otwartych drzwi nappełnił mnie zgrozą. Zatrzymałam się gwałtownie i zmusiłam Anthony'ego, żeby przystanął.

- Nie - powiedziałam. - Nie pójdę.

- Do diabła, pójdziesz, gdzie ci każe.

- Nie tam!

Nie mówił nic więcej, tylko szarpnął mnie za ramię i pociągnął dalej ścieżką. Był silny; nie mogłam mu się opierać.

Dotarliśmy do drzwi. W środku panowała ciemność. Czulałam już zapach, ciężki odór stęchlizny, od którego mnie zemdliło. Anthony

wciągnął mnie za próg. W pobliżu drzwi do ściany przymocowano łańcuch, zakończony jakby kajdanami. Anthony bez słowa zapiął mi kajdanki na przegubie ręki i odszedł.

Usłyszałam odgłos zamykanych drzwi. Potem Anthony zapalił świeczkę. Płonęła słabo w gęstym powietrzu i oświetlała tylko jego mroczną sylwetkę. Usłyszałam, że westchnął jakby z bólu albo jak ktoś, kto poznawszy ból, wyczuwa jego nawrót. Zaczął teraz zapalać świece, pęczki grubych białawych świec na wysokich stojakach, rozmieszczonych w regularnych odstępach pod ścianami pawilonu.

Powoli przybywało światła, cienie budziły się z głębokiego snu. I nie tylko cienie, ale szepty, jakby one również kryły się w ciemności. Z cieni wyłoniło się coś jeszcze. Spodziewałam się pustki, wysokiej, opustoszałej sali zamkniętej wśród kamiennych ścian. Ale tu wyglądało całkiem inaczej. Z sufitu zwisały ogromne festony pajęczyn, gęste i ciężkie, pociemniałe od stu pięćdziesięcioletniego kurzu. Pajęczyny pokrywały ściany, tłumiły dźwięki, pochłaniały powietrze.

Pomiędzy świecznikami stały kolumny z czarnego marmuru. Na szczycie każdej umieszczono figurkę lub głowę z brązu, podobną do popiersi zdobiących marmurowe kolumny w wejściu do Barras Hall. Ale te postacie nie przypominały greckich atletów ani rzymskich cezarów. Te, które widziałam ze swojego miejsca, wyglądały groteskowo: czarne anioły ze skrzydłami nietoperzy, demony z rogami baranów lub kozłów, gryfy ze szponami jak brzytwy. Głowy szczyrzyły się w obłąkańczych, złowieszczych uśmiechach. Każdą okrywały pajęczyny, wśród których gramoliły się lub wisały bez ruchu ciemne kształty.

Wszędzie porozstawiano pozłacane krzeselka, stare krzesła z aksamiitnymi siedzeniami, które dawno zgniły, z połamanymi drewnianymi poręczami, obrośnięte kurzem i pajęczynami. Na ścianach wisały ogromne lustra w złożonych ramach, teraz zmatowiałe, popękane i brudne; w mętnych taflach z rzadka odbijały się zagubione płomyki świec. Obok wystrzępionych gobelinów wisały obrazy, zapleśniałe, obłąające z farby, na których rozróżniałam niewyraźne postacie mężczyzn w dziwacznym strojach, na przykład księdza lub kata.

Światło wspomagało światło. Anthony niemal zakończył obchód. Szepty przerodziły się w nieustający pomruk. I teraz po raz pierwszy zobaczyłam, że w drugim końcu pawilonu coś jest, że zgromadzone tam cienie żyją i się poruszają.

Mało nie zemdląłam. Smród, stęchłe powietrze, ruchome postacie w ciemności, nastrój łapczywego wyczekiwania - od tego wszystkiego zakręciło mi się w głowie. Zamknęłam oczy, spuściłam głowę i oddychałam głęboko, żeby się uspokoić. Kiedy ponownie otwarłam oczy, dostrzegłam coś na podłodze obok mnie, przy samych drzwiach, coś czerwonego i jaskrawego. Powodowana ciekawością wychyliłam się jak najdalej i podniosłam ten przedmiot. Był to ołowiany żołnierz, malowany żołnierz w czerwonej kurtce i bermudy, identyczny w każdym szczególe z tym, którego podarowałam Arthurowi na Gwiazdkę przed dwoma laty. Im dłużej na niego patrzyłam, tym większej nabierałam pewności, że to ten sam żołnierz.

Wrócił Anthony.

- Przepraszam, że musiałem cię przykuć - powiedział. - Ale gdybyś spróbowała ucieczki... Sprowadziłabyś kłopoty. Rozumiesz? On by się rozgniewał.

Pokazałam mu żołnierzyka.

- Mówiłeś mi, że Arthur nigdy tu nie dotarł. Udawałeś, że go szukasz. Dlaczego? Dlaczego mnie okłamałeś?

Wyciągnął rękę i wziął ode mnie żołnierzyka. Obracał go w dwóch palcach, niczym kolekcjoner oglądający rzadki i cenny okaz.

- Widocznie to upuścił - powiedział. - Dziwne, że tego nie zauważyłem.

- Więc przyznajesz, że on tu był?

Oddał mi żołnierzyka.

- Oczywiście. Był tu przez cały czas. Nadal jest tutaj.

- Tutaj?

- W pawilonie. Gdzie przebywał niemal od dnia, kiedy tu się zjawił. Oczywiście musieliśmy zaczekać. Wiedzieliśmy, że cię tutaj przyciągnie jak pszczołę do miodu. Sir James nalegał, żeby nic z nim nie robić aż do dzisiejszej nocy.

- Trzymaliście tu Arthura? W tym śmierzącym miejscu?

- Proszę, uspokój się, Charlotte. Miał dobrą opiekę. Może nie tak dobrą jak ty, ale sir James życzył sobie tego.

- Zabierz mnie do niego. Chcę go zobaczyć. Proszę, nie dbam o nic, chcę tylko zobaczyć Arthura.

Przyjrzał mi się, jakby rozważając za i przeciw, potem kiwnął głową.

- Więc zobaczysz. O tak, zobaczysz.

Rozpiął kajdanki, uwolnił moje ramię i szybko złapał mnie za drugie.

- Nie wolno ci uciekać, mała Charlotte - wyszeptał. - Bo nie masz się gdzie schować. On cię znajdzie wszędzie. Jest twoim przodkiem tak samo jak moim. Masz go we krwi. On jest częścią nas obojga.

Budził we mnie obrzydzenie, jego dotyk, oddech i głos. Próbowałam się wyrwać, ale trzymał mocno. Powoli szliśmy na środek pawilonu. Widziałam, jak migają wśród cieni figurki dzieci, wszystkie w moim wieku, o białych twarzach, wytrzeszczonych oczach, zbite w gromadkę. I z najgłębszą odrazą uświadomiłam sobie, że wkrótce do nich dołączę, że zostanę tu na zawsze. Podniecenie, jakie w pierwszej chwili poczułam na wiadomość, że Arthur żyje, całkowicie ze mnie wyparowało, bo cóż znaczyło żyć? Jakie to wszystko miało znaczenie - być bratem i siostrą, być znowu razem, być młodym, pięknym i dobrym?

Arthur leżał na niskim składanym łóżku, na stosie brudnych koców. Miał na sobie stare ubranie, to samo, w którym przyszedł do przytułku i z którego już wyrósł. Początkowo zdawał się nas nie dostrzegać, jakby spał. Widziałam tylko jego plecy, ponieważ leżał tyłem do nas, zwinięty w kłębek jak małe dziecko, które boi się ciemności.

Potem, jakby przebudzony, poderwał się, wyprostował na łóżku i

przez długą chwilę leżał nieruchomo, nadsluchując naszych kroków, jak się wydawało. Chciałam go zawołać, widząc, że żyje i oddycha wbrew moim obawom; ale bałam się go przestraszyć, więc stałam obok Anthony'ego i czekałam, aż Arthur się odwróci. Dopiero wtedy zauważyłam, że lewą nogę miał przykutą do ciężkiej klamry osadzonej w podłodze.

Nie poruszył się, tylko lekko się uniół na lewym ramieniu. Spojrzałam na Anthony'ego, on jednak zachował obojętność i z jego twarzy nie mogłam wyczytać żadnej podpowiedzi. Co się stało? Chciałam podejść bliżej, lecz Anthony położył mi rękę na ramieniu i powstrzymał mnie lekko, choć zdecydowanie.

- Mów bardzo cicho - szepnął. - Nie wolno ci go przestraszyć.

Powoli nabrałam powietrza.

- Arthur - powiedziałam - nie bój się. To ja, Charlotte. Twoja siostra, Charlotte.

Zobaczyłam, że jego chude ciało sztywnieje. Ale nie odwrócił się natychmiast, jak się spodziewałam. Zamiast tego dźwignął się wyżej i obracał twarz na boki, jakby próbował odnaleźć mój głos wśród cieni.

Wymówiłam jego imię po raz drugi, bardzo cicho.

- Proszę, Arthurze, nie jestem duchem. Nie umarłam. To naprawdę ja. - Zawahałam się, po czym skłamałam: - Przyszłam cię stąd zabrać. Wracamy do domu.

Odwrócił się. Dobry Boże, jakże tego żałowałam. Ale odwrócił się i zobaczyłam, co mój kuzyn mu zrobił.

Zanim jeszcze krzyknęłam i zakryłam twarz rękami, Anthony chwycił mnie w objęcia, szepcząc mi gorączkowo do ucha:

- Charlotte, Charlotte, musisz uwierzyć, że zrobiłem to dla jego dobra, naprawdę dla jego dobra. Żeby nie widział. Opaska nie wystarczyła. Mógł ją zerwać albo jedno z nich mogło znaleźć sposób, żeby ją zsunąć. Uwierz mi, dałem mu laudanum.

Ale z laudanum czy bez laudanum wylupił cudne oczy mojego brata i krwawe jamy, które na mnie spjrzały, złamały mi serce, jak złamałaby

wiadomość o jego śmierci. Bez słowa wyrwałam się ze słabnącego uścisku Anthony'ego i przebiegłam kilka kroków dzielących mnie od Arthura.

Zesztywniał, kiedy usiadłam na łóżku obok niego, chwyciłam go w ramiona, ścisnęłam i całowałam tak, jak sobie wyobrażałam od dawna. Lecz kiedy go obejmowałam, łkając i powtarzając jego imię, poczułam, że zwiotczał i niemal odplynał. Znosił moje pocałunki, jak mógłby znosić pieszczoty lub ciosy kogoś obcego, z nieudawaną obojętnością. Mówiłam do niego, szeptałam jego imię, wciskałam mu do ręki ołowianego żołnierzyka, tłumaczyłam, kim jestem, lecz on tylko leżał bezwładnie w moich objęciach jak szmaciana lalka.

Czy na skutek przedawkowania laudanum, czy ze strachu, czy z powodu całkowitej wewnętrznej przemiany istota, którą trzymałam w ramionach, nie była już moim bratem, jakiego znałam, tylko pustą skorupą, wypatroszoną powłoką, z której dawno uleciała dusza. Prócz oczu ten stwór miał twarz Arthura, te same rysy. Był starszy, chudszy i bledszy, niż zapamiętałam. Ale to już nie był mój brat. Mój prawdziwy brat.

Z furią odwróciłam się do Anthony'ego.

- Jak długo? - wrzasnęłam. - Jak długo on taki jest?

Spuścił wzrok zmieszany, na wpeł wyczekujący.

- Niedługo - odparł. - Kilka tygodni. Dlatego ciebie trzymaliśmy w domu. Żeby przedłużyć twoją żywotność. Załamałabyś się szybciej. Sir James chciał cię tutaj, ale się sprzeciwiliśmy.

- Zniszczyłeś go - krzyknęłam. - Nie widzisz? Nie widzisz, co się z nim stało?

Anthony pokręcił głową.

- To nieważne, droga Charlotte. Tylko jedno tutaj się liczy: żeby zaspokoić głód.

- Powiedz mu, że jego miejsce jest w piekle - krzyczałam. - Nic z tego nie jest potrzebne, nic. Nie widzisz?

Znowu pokręcił głową ze smutkiem.

- On już jest w piekle - szepnął. - Oni wszyscy są w piekle. Na tym to polega, Charlotte. Na tym zawsze polegało.

- Nie wierzę ci. Nie wierzę.

Wtedy się pojawił. Mroczny. Usiany perełkami blasku. Cichszy niż grobowiec, w którym spoczywały jego zwłoki. Nosił swój czarny welon, który spływał z głowy prawie do kostek, okrywał całe ciało. Przez cienką tkaninę niemal rozróżniałam rysy twarzy, białe i niematerialne, świadectwa wieku. Powiało smrodem, cmentarnym smrodem, którego nie czułam wcześniej. Zrobił krok w naszą stronę. Jego stopy przesuwały się bezszelestnie, w całkowitej ciszy.

34.

Pierwszy zareagował Arthur, wyrwał mi się i odpełznął po łóżku jak najdalej od Jamesa Ayrtona, na ile mu pozwalał łańcuch wokół kostki. Nie mógł go widzieć, lecz na jego twarzy malowało się przerażenie. Wydał cichy, przejmujący jęk. Chciałam go zatrzymać, lecz Anthony chwycił mnie za przegub i brutalnie odciągnął od łóżka, sycząc, żebym się zachowywała przyzwoicie. Jakby przyzwoite zachowanie miało tutaj znaczenie.

Jęki Arthura przeszły w bojaźliwe skomlenie. Ayrton wyciągnął do niego rękę i Arthur cofnął się gwałtownie, zupełnie jakby widział.

- On go widzi - powiedziałam. - Oślepienie go nic nie zmieniło. Prawda?

Anthony nie odpowiedział, ale wiedziałam, że trafiłam w sedno. James Ayrton był widoczny nie gołym okiem, ale okiem wewnętrznym, jakie wszyscy posiadamy. A raczej, jak sobie wytłumaczyłam po tych wszystkich latach, nie tyle widoczny, ile wewnętrznie obecny, jakby scalony, spojony, złączony w najbardziej intymny sposób z duszą mojego brata. Kuzyn Anthony, pomimo wszelkich wysiłków, nie zdołał oślepić wewnętrznego oka Arthura. Dopóki James Ayrton nie nadszedł w postrzępionym welonie i w smrodzie kostnicy, żeby do końca zgasić nikle światelko, które jeszcze tam migotało.

Chudą ręką Ayrton pociągnął za welon, powoli zsunął go z wyniszczzonej głowy i przewiesił przez ramię. Twarz miał jak wyrzeźbioną z gliny, z białej gliny, jednocześnie rozciągniętą i ściśniętą, pofałdowaną we wzgórza i doliny nieskończonego cierpienia.

- Gratulacje - wyszeptał upiornym głosem, niewyraźnie artykułując słowa, jakby przebijały się przez glinę albo przez stulecia. - Mam nadzieję, że świętujemy twoje urodziny z całym należnym ceremoniałem.

Nie mogłam oderwać oczu. Groza, czysta groza. Jego twarz, jego biała twarz, jego oślizła twarz zaczęła falować, jakby nie miała prawdziwego kształtu, fałdy skóry trzepotały niczym zmięta chusteczka.

- Nigdy nie miało tak być - powiedziały kłapiące usta. Zobaczyłam małe zęby pojawiające się i znikające w czarnej jamie, jak nasiona w zgniłym jabłku. - To była świątynia światła; chciałem ją wypełnić wiecznym weselem. Wiecznym życiem, nie... tym. Byłabyś tu księżniczką, włożyłbym koronę z róż na twoją śliczną główkę. Ale to przyszło z zewnątrz. Błąd. Pomyłka, kwestia słów, zwykłe przejęzyczenie w formule. Lecz tutaj nie ma przebaczenia, nie w tym świecie, który zamieszkujemy.

Oczy obracały się jak płomyki dogasających świec, walcząc z otaczającą je woskową bielą.

- Kiedy skończy z wami obojgiem, nadejdzie moja kolej. Bardzo wychudłem, znowu zostały ze mnie skóra i kości.

Przerwał, jakby czegoś nadśluchiwał. Usłyszałam w mroku odgłos pełzania. Ayrton spojrzał na mnie, potem na Arthura, który wciąż kulił się na łóżku i skomlał cicho. Pełzanie stało się głośniejsze.

W tej samej chwili rozległo się łomotanie do drzwi. Anthony ścisnął mnie za ramię, zaskoczony i przestraszony. Rozejrzałam się, myśląc, że nadeszła niespodziewana pomoc, i w mgnieniu oka podjęłam decyzję. Nagłym szarpnięciem wyrwałam się Anthony'emu i zataczając się skończyłam w stronę wyjścia. Anthony potrzebował kilku sekund, żeby otrząsnąć się z zaskoczenia. Potem usłyszałam za plecami tupot jego nóg.

Dotarłam do drzwi, które rozwarły się gwałtownie. Wrzasnęłam, nie wiedząc, czego się spodziewać. Po chwili poczułam rękę Anthony'ego na ramieniu, palce ściskające mnie jak stal. A potem nagle wszystko się zmieniło. Z ciemności za progiem odezwał się głos. Głos Huttona, na skraju paniki.

- Sir Anthony, musi pan przyjść.
- Co to ma znaczyć, do diabła?
- Pańska siostra, sir. Oszałała. Podpaliła dom, nie można opanować pożaru. Próbowaliśmy ją powstrzymać, ale daremnie. Musi pan przyjść, sir.

Za nami rozległ się szmer. Pełzający stwór się zbliżał. Zobaczyłam, że Ayrton przysuwa się do Arthura.

Anthony wahał się tylko przez chwilę, potem szarpnął mnie za ramię i wywlókł za drzwi.

- Nie możesz zostawić Arthura! - krzyknęłam. - Nie możesz go tam zostawić!

Nie słuchał mnie. Pobiegliśmy razem długą, krętą ścieżką, Hutton deptał nam po piętach. Przecieliśmy kotlinę, wdarliśmy się na wzniesienie i przed nami na tle nocnego nieba zajaśniał południowo-zachodni narożnik Barras Hall, płonący jak pochodnia. Brnęliśmy dalej w ciemności wśród drzew, przez gęste poszycie.

W końcu wydostaliśmy się z lasu na otwarty teren przed domem. Ogień rozprzestrzenił się szybko. Antonia widocznie biegła z jednego pokoju do drugiego, podpalając zasłony, pościel, wszystko, co łatwo się zajmowało.

Pobiegliśmy przed front budynku. Na podjeździe zgromadził się mały tłumek. Sierżant policji siedział na frontowych stopniach, obok zdjętego hełmu, z głową między kolanami, kaszląc rozpaczliwie. Nad nim stał konstabl i próbował mu pomóc. Pani Johnson i Hepple stały trochę dalej i patrzyły bezradnie.

Anthony wepchnął mnie w ręce Huttona, kazał mu mocno trzymać i pobiegł w stronę domu. Przebiegł zaledwie kilka kroków, kiedy ktoś wyskoczył z cienia i złapał go. W blasku szalejących płomieni rozpoznałam

obcego jako Johna Parkera, adwokata. Anthony zaczął się wrywać, krzycząc dziko:

- Na litość boską, puszczaj! Muszę ją ratować! Zabieraj ręce, niech cię szlag!

Szamotanina trwała krótko, Anthony był zbyt silny i zbyt rozjuszony. Wyrwał się i wbiegł po stopniach do domu. Parker zrobił ruch, jakby chciał go gonić, potem zobaczył mnie walczącą z Huttonem i podbiegł do nas.

- Puść ją - warknął.

Hutton, który już zobaczył policjantów, wzruszył ramionami i uwolnił mnie. Zamiast dołączyć do pani Johnson i Hepple, oddalił się samotnie, bez wątplenia zamierzając przypilnować stajni.

- Panno Metcalf? Nic się pani nie stało? Strasznie się martwiłem, że pani jest w domu.

- Co się dzieje? Gdzie jest Antonia? - zawołałam.

- Ciągle w środku. Nie wiadomo gdzie. Nikt się do niej nie dostanie. Jeśli sama nie wyjdzie, już po niej.

Spojrzałam na dom, potem znowu na niego. Staliśmy dość daleko; płomienie objęły parter i wzbijały się coraz wyżej.

- Dlaczego pan przyjechał? - zapytałam.

Widocznie usłyszał gorycz w moim głosie.

- Przepraszam - powiedział. - Chciałem przyjechać wcześniej, ale drogi były nieprzejezdne.

- Pan mnie wydał - powiedziałam. - Zaufałam panu, a pan pozwolił, żeby mnie zabrali.

- Nic nie mogłem zrobić, proszę mi wierzyć. Ten łajdak Melrose powiedział wszystko sir Anthony'emu. Pani kuzyni przyjechali wieczorem do jego domu, domyślając się, że pani uciekła do Morpeth. Stałem w pani obronie, ale nie chcieli słuchać żadnych argumentów. Powiedziałem Melrose'owi, żeby sobie poszukał innego partnera. Ale dzięki Bogu, jest pani bezpieczna.

W tej samej chwili rozległ się głośny trzask. Z okna na piętrze wyleciały szyby i wylądowały z brzękiem na zwirowanym podejździe. Wszyscy podnieśli wzrok. Antonia stała w wybitym oknie, z długimi

włosami rozsypanymi na ramionach, obramowana przez płomień. Przebrała się w ślubną suknię. W jednej ręce trzymała zapaloną świecę, która oświetlała twarz wykrzywioną strachem, rozpaczą i szaleństwem.

- Pokonałam was! - krzyknęła załamującym się głosem, zniekształconym przez ryk płomieni. - Pokonałam was wszystkich!

Zaczęła się śmiać, a potem równie nagle zamilkła. Przez chwilę - może to był tylko cień - przez chwilę zdawało mi się, że widzę drugą postać w oknie obok niej, spoglądającą na nas z góry. Kobieta w szarej sukni. Młodą kobietę z długimi jasnymi włosami. Spojrzała smutno prosto na mnie. Potem ogień buchnął z wnętrza pokoju i pochłonął Antonię. Stara suknia ślubna, koronki i falbanki, zajęły się natychmiast. Antonia zapłonęła jak pochodnia i zniknęła.

Odwróciłam się do Parkera.

- Mój brat - powiedziałam. - Był tutaj przez cały czas. Trzymają go w pawilonie, przykutego łańcuchem.

Wytrzeszczył na mnie oczy.

- Dopiero co go widziałam - ciągnęłam. - Proszę, niech pan się pośpieszy. Nie wiem, co się dzieje.

- W porządku - powiedział. - Teraz będzie bezpieczny.

- Nie, pan nie rozumie. On nie jest bezpieczny. Jest w straszliwym niebezpieczeństwie.

- Ale przecież tam nikogo nie ma...

Chyba zobaczył to w moich oczach, jakby rzeczy, które widziałam, odcisnęły się w moich żrenicach. W następnej chwili odwrócił się do konstabla i kazał mu iść za sobą.

- Którędy? - zapytał.

- Pójdę z wami.

Pokręcił głową.

- Nie, pani zostanie tutaj z sierżantem. Czy ona wie? - Wskazał panią Johnson.

- Tak - potwierdziłam.

Zmusili ją, żeby ich zaprowadziła do pawilonu, wyraźnie wbrew jej woli. Usiadłam na kamiennym postumencie z dala od domu, obok sierżanta, który

powoli odzyskiwał oddech. Hepple wciąż stała i wpatrywała się w płomień jak zauroczona. Dom płonął i płonął. W ciszy rozlegał się tylko huk płomieni, trzaskanie pękającego drewna, brzęk wypadających szyb. Siedzieliśmy, patrzyliśmy i czekaliśmy.

Dużo później wrócili John Parker i konstabl. Sami. Wydawali się wstrząśnięci, ale żaden nie chciał powiedzieć ani słowa o tym, co widzieli. Zapytałam o Arthura, ale John powiedział tylko, że nikogo nie znaleźli. Widzieli łóżko i łańcuch, ale Arthur zniknął.

- Szukać go po nocy to strata czasu - oświadczył adwokat. - Przykro mi, ale taka jest prawda. Wrócimy o pierwszym brzasku z większym oddziałem i przeprowadzimy należyte poszukiwania. A teraz odwieziemy panią do miasta.

Wrócili do Barras Hall następnego ranka, zgodnie z obietnicą, pół tuzina ludzi, wszyscy zobowiązani solenną przysięgą do dochowania absolutnej tajemnicy. Ponieważ John domyślał się, że mogą odkryć coś, co się nie nadaje do publicznej wiadomości, a pozostali przyznali mu rację.

Znaleźli Arthura, nie tamtego dnia, ale jakiś czas później, idąc za moją sugestią. Jego ciało pozostawiono w grobowcu Jamesa Ayrtona. Zidentyfikowali go po ubraniu oraz ołowianym żołnierzyku, którego miał w kieszeni. Zachowałam go do dziś. Stoi przede mną na biurku nawet teraz, kiedy to piszę. John nigdy mi nie powiedział, co mu zrobiono. Ale nie pozwolili mi zobaczyć ciała i kiedy próbowałam pytać, John zawsze odpowiadał, że lepiej, żebym nie wiedziała.

Nigdy więcej nie zobaczyłam Antonii ani Anthony'ego. Zanim ogień zgasł, nie zostało po nich ani śladu. Nigdy nie odnaleziono ich szczątków. Wtedy już wyjechałam, John Parker zabrał mnie do Morpeth. Zanim wrócił, żeby przeszukać grobowiec Jamesa Ayrtona, z Barras Hall zostały tylko poczerńnięte mury. Nie żałowałam tego domu, nawet jego utraconego piękna. Nie zamierzałam nigdy tam wracać.

Nie wiadomo, co się stało z panią Johnson, Huttonem i Hepple. Wszyscy zniknęli w noc pożaru, rozplynęli się w mroku, zabierając ze sobą wspomnienia. Takie wspomnienia.

Po latach, kiedy wreszcie dopełniono wszelkich formalności, odziedziczyłam Barras Hall wraz z przynależnymi gruntami. John był już wtedy moim mężem; ożenił się ze mną, kiedy skończyłam osiemnaście lat, i żyliśmy szczęśliwie aż do jego śmierci w 1945 roku. Przed panem tylko on znał tę historię, doktorze.

Nigdy nie wróciłam do tamtego miejsca, chociaż postarałam się, żeby je oczyszczono. Spotkałam się wreszcie z wielebnym Watkinsem i opowiedziałam mu wszystko, co wiedziałam, i to on zrobił, co trzeba w Barras Hall. Pawilon i grobowce wciąż stoją, lasy zdziczały, wszystko zarosło. Może pan tam pojechać, ale nic pan nie znajdzie.

Od tamtej pory dwukrotnie widziałam Arthura. Pojawił się raz przy narodzinach mojej córki i raz przy narodzinach wnuka. To potomkowie rodu Ayrtonów, chociaż nic im nie mówiłam o ich dziedzictwie. Są szczęśliwi. Lepiej, żeby nie wiedzieli.

Niekiedy w ciągu tych lat dostrzegałam coś kątem oka, coś ulotnego i nierzeczywistego, może tylko cień. A raz czy dwa chyba widziałam Jamesa Ayrtona. Na rogu ulicy albo na ścieżce przede mną, albo patrzącego z okna. Złudzenie optyczne - możliwe. Ale widziałam go w zeszłym tygodniu. To nie było złudzenie optyczne. Czekał. Oni wszyscy czekają. Po tylu latach ciągle na mnie czekają.

Plebania
Kirkharle
obok Kirkwhelpington
Northumberland
10 października 1992

Dr John Simpkins
Kolegium św. Botulfa
Elvet Place
Uniwersytet Durham
Durham City

Drogi Johnie,

dziękuję. No, może niezupełnie. Nie śpię od kilku nocy przez twoją panią Parker. Czy powinienem raczej ją nazywać Charlotte Metcalf? Ale miałeś rację, to mnie zainteresowało. Nawet bardzo.

Pewnie się zastanawiasz, dlaczego dopiero teraz odpisałem. No cóż, chciałem sprawdzić kilka rzeczy. Jej historia bardzo dobrze pasuje do pewnych plotek, które słyszę czasami od starszych parafian. Oczywiście większość osób z jej pokolenia już odeszła, ale w pierwszych latach po objęciu tej parafii poznałem ich wielu. I wkrótce potem pocho-
wałem.

Udało mi się wygrzebać trochę dokumentów należących do wielob-
nego Watkina - tego, do którego młoda Charlotte próbowała napisać i
z którym się później spotkała. Skończył jako prebendarz katedry w
Durham i zmarł w 1942 roku w wieku osiemdziesięciu lat. Katedralne
archiwa nadal przechowują jego listy i papiery, i kilka tygodni temu

pozwolili mi je przejrzeć. Nie odwiedziłem cię, kiedy tam byłem, bo wiedziałem, że będziesz chciał rozmawiać, a ja wolałem najpierw przejrzeć jego rzeczy.

Zwłaszcza jeden list powinien cię zainteresować. Nie powinien leżeć w teczce, gdzie go znalazłem, chyba trafił tam przypadkiem. Napisał go do biskupa w 1905 roku. Wynotowałem najważniejsze fragmenty. Oto próbka:

„Wasza Ekscelencjo,

chwilowo przebywam w Kirkwhelpington, gdzie Michael Collins udzielił mi gościny. Wypełnia nader skrupulatnie swoje obowiązki i parafia kwitnie pod jego opieką. Pierwszego wieczoru rozmawialiśmy bardzo poważnie, po czym spędziliśmy dwie godziny w kościele, prosząc o boską pomoc przy czekającym nas zadaniu. Pani Parker wyrażała się bardzo dokładnie, a moje własne doświadczenia z młodą Caroline Ayrton w pewnym stopniu mnie przygotowały. Niemniej nie ukrywam, że byłem pełen obaw podczas tej nocy i następnego ranka.

Collins i ja wyruszyliśmy wcześniej do Barras Hall. Domu już nie ma, jak wiadomo, a grunty bardzo zarosły w ciągu trzech lat po pożarze. Z trudem znaleźliśmy drogę do starego pawilonu, naszego pierwszego celu. Widziałem go przedtem tylko raz i od tego czasu popadł w ruinę. Część dachu się zawaliła, resztę porosły chwasty. Gęsty mech pokrywa ściany z zewnątrz i od środka. A jednak budynek wciąż stoi, niezmienny w tym drugim sensie, o jakim rozmawialiśmy.

Poczułem to, jak tylko zobaczyłem budynek: zło tak przemożne, że zaparło mi dech w piersiach. Wielebny Ojcze, nie potrafię powiedzieć, co mogło się stać w tym miejscu, żeby pozostawić tak plugawe wrażenie. Collins też to poczuł.

Odprawiliśmy ceremoniał zgodnie z instrukcją. Opowiem więcej, kiedy się spotkamy twarzą w twarz. Pewnych rzeczy nie należy przelewać na papier. Czuję się ogromnie wstrząśnięty na duchu i potrzebuję pańskiej rady. Potrzebuje pana jako przyjaciela, nie tylko jako biskupa.

Groby zostały poświęcone, ale nie mogę o nich myśleć spokojnie. Pan Parker mówi, że znaleziono tam kości kilkorga dzieci, kiedy je rozkopano przed dwoma laty. Myślę, że należy rozważyć przeniesienie szczątków do należycie poświęconej ziemi.

Egzorcyzm grobowca Ayrtona okazał się trudniejszy niż w pawilonie i nie jestem pewien sukcesu. Potrzebna będzie chyba jeszcze jedna wizyta, może samego biskupa. Ale nawet wtedy... Wielebny Ojczy, nie jestem już pewien, że mocy Kościoła nic nie pokona. Nawet mówiąc w Jego imieniu, czuję się bezbronny. Tam jest ciemność, której nawet światło Ewangelii nie zdoła rozproszyć. Wiem, że to graniczy z herezją, i martwię się tym; ale gdybyś widział to, co ja widziałem...

Collins leży w łóżku. Ma gorączkę i ciężką depresję. Boję się o niego i żałuję z całego serca, że zabrałem go w tamto miejsce. Na razie nie mogę wyjechać, ale jak tylko Collins zacznie wracać do zdrowia, proszę o pozwolenie na powrót do Durham. Musimy porozmawiać. Słyszę różne rzeczy w nocy. Słyszę głosy. Wielebny Ojczy, modlę się do Boga, żeby mnie nie ściągały, kiedy stąd wyjadę”.

To chyba wystarczy, prawda, John? Dotarłem do rejestrów diecezjalnych dotyczących wielbego Michaela Collinsa. Miał trzydzieści cztery lata, kiedy Watkins pisał ten list. Został w Kirkwhelpington jeszcze przez kilka lat, potem odszedł z kościoła i zajął się nauczaniem. W jego aktach jest notatka, że popełnił samobójstwo w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Znaleziono go - uwierz mi, John, ja tego nie wymyśliłem - przy bramie Barras Hall. Strzelił sobie w głowę z dubeltówki.

John, wczoraj sam odwiedziłem cmentarz. Jest strasznie zarośnięty, ale pasuje do opisu Charlotte Metcalf. Widziałem kopczyki, o których pisała, i mam wrażenie, że nikt nie pofatygował się przenieść kości do poświęconej ziemi. Grobowiec Ayrtona wciąż stoi. Wciąż ma dziurę w boku; trzymałem się z daleka.

Muszę ci coś powiedzieć, kiedy się spotkamy. O tym, co słyszałem w pobliżu pawilonu. Tylko przez chwilę; może mi się zdawało. Ale przysięgłbym przed Bogiem, że coś słyszałem. Jakby głosy dzieci.

Śpiewały. Nie rozróżniałem słów.

John, powinieneś coś wiedzieć. Ta kobieta miała wnuka; wspomina o nim pod koniec swojej relacji. Chłopiec imieniem Roger. Urodził się w 1936 roku, więc ma teraz... ile? Pięćdziesiąt sześć lat. W każdym razie okazuje się, że Roger Parker odziedziczył posiadłość Ayrtonów po śmierci matki, kilka lat temu. Roger jest przedsiębiorcą budowlanym, grubą szychą w Newcastle. Pewnie widziałeś jego ciężarówki z napisami Parker Construction na bokach.

Roger chyba uważa, że posiadłość Barras Hall idealnie nadaje się pod zabudowę. Zamierza wyburzyć resztki starej rezydencji i wzniesć replikę. Planuje tam urządzić wiejski hotel. Z polem golfowym, polowaniami i łowieniem ryb na terenie. Tu i tam małe domki. Widziałem się z nim kilka dni temu. Pokazał mi rysunki, które sporządził. Pawilon stanie się „ciekawostką”. Nawet stary cmentarz. Chce wyryć na bramie dawne motto Ayrtonów: „I posiadają na wieki”. Próbowałem mu opowiedzieć, co wiem, ale mnie wyśmiał.

Chciałbym, żebyś zamienił z nim parę słów. Wyjaśnił mu prawdziwą naturę jego dziedzictwa. Ale wątpię, czy cię wysłucha.

Zobaczmy się za kilka dni, John. Tymczasem proszę, zrób coś dla mnie. Zamykaj w nocy drzwi sypialni na klucz.

Twój
Norman

PODZIĘKOWANIA

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy pomagali przy moim drugim horrorze: moim redaktorom, Patricii Parkin w Londynie oraz Karen Solem i Katie Tso w Nowym Jorku, których łagodny krytycyzm powołał ten tekst do życia; mojemu niezmordowanemu agentowi Jeffreyowi Simmonsowi; mojej żonie Beth, której wrażliwość w tych sprawach jest niezrównana; i Barbarze Heathcote, bibliotekarce zarządzającej działem lokalnym w Bibliotece Centralnej w Newcastle, za bezpośredni dostęp do jej specjalnej kolekcji oraz liczne rady.